

TERRY PRATCHETT

Wyprawa Czarownic

*Dedukuję wszystkim tym – bo dlaczego nie
którzy po publikacji „Trzech wiedźm” zasypali autora
swoimi wersjami tekstu piosenki o jeżu.
Co ja narobiłem...*

Oto świat Dysku, sunący przez kosmos na grzbietach czterech słoni, które z kolei stoją na skorupie Wielkiego A'Tuina, niebiańskiego żółwia.

Dawno, dawno temu taki wszechświat uważany był za niezwykle, a być może nawet całkiem niemożliwy.

Ale z drugiej strony... dawno, dawno temu wszystko było tak proste...

Ponieważ wszechświat był wtedy pełen ignorancji, a uczony przyglądał mu się jak poszukiwacz schylony nad górskim potokiem i wypatrujący złota wiedzy pośród żwiru głupoty, piasku niepewności i małych, wąsatych, ośmionożnych pływających stworków zabobonu.

Od czasu do czasu prostował się i wołał coś w rodzaju: „Hurra! Właśnie odkryłem trzecie prawo Boyle’a”. I wszyscy wiedzieli, na czym stoją. Problem w tym jednak, że ignorancja stała się ciekawsza, zwłaszcza ignorancja dotycząca spraw wielkich i ważnych, takich jak materia i kreacja. Ludzie zaprzestali cierpliwej budowy swych domków z patyczków racjonalności wśród chaosu, a zaczęli się interesować samym chaosem - po części dlatego, że o wiele łatwiej być ekspertem od chaosu, ale głównie z tego powodu, że chaos skutkował naprawdę ładnymi deseniami, które można umieścić na koszulkach.

I zamiast zajmować się prawdziwą nauką¹, uczeni zaczęli nagle tłumaczyć, że poznanie czegokolwiek jest niemożliwe i że nie ma czegoś takiego, co można by nazwać rzeczywistością, którą da się poznawać, i jakie to wszystko strasznie ciekawe... A przy okazji, słyszeliście, że dookoła może latać mnóstwo różnych małych wszechświatów, tylko nikt ich nie widzi, bo są zakrzywione i zwinięte w sobie? Nawiasem mówiąc, ładna ta koszulka, prawda?

W porównaniu z czymś takim, spory żółw ze światem na grzbiecie jest całkiem zwyczajny. Przynajmniej nie udaje, że nie istnieje; nikt też na Dysku nie próbował tego nieistnienia udowodnić - by się przypadkiem nie okazało, że ma rację i nagle znajdzie się zawieszony w kosmicznej pustce. Dysk istnieje na samej granicy realności. Najmniejsze małe obiekty potrafią przebić się przez nią na drugą stronę. Dlatego na świecie Dysku ludzie traktują różne rzeczy z należytą powagą.

Na przykład opowieści.

Ponieważ opowieści są ważne.

Ludzie wierzą, że to oni wpływają na opowieści. Tymczasem jest odwrotnie.

¹ Na przykład odszukaniem tego przekłętego motyla, który - trzepocząc skrzydełkami - powoduje wszystkie burze, jakie ostatnio nas nachodzą, i zmuszenie go, żeby przestał.

Opowieści istnieją niezależnie od osób, które w nich występują. Dla kogoś, kto o tym wie, wiedza to potęga.

Opowieści - szerokie, falujące wstęgi ukształtowanej czasoprzestrzeni - powiewały i rozwijały się w całym wszechświecie od początków czasu. I ewoluowały. Najslabsze wymarły, a najsilniejsze przetrwały i z każdym powtórzeniem nabierały mocy... Opowieści, wijące się i płynące w ciemności.

Samo ich istnienie narzuca delikatny, ale trwały wzorzec chaosowi, którym jest historia. Opowieści ryją rowki dość głębokie, by ludzie podążali nimi w taki sam sposób, w jaki woda spływa po zboczu pewnymi trasami. A za każdym razem, kiedy nowi aktorzy podążają ścieżką opowieści, rowek staje się głębszy.

Nazywa się to teorią przyczynowości narracyjnej i oznacza, że opowieść, kiedy już się zacznie, nabiera kształtu. Przejmuje wszelkie wibracje wszystkich innych swoich realizacji, jakie się kiedykolwiek zdarzyły.

Właśnie dlatego historia przez cały czas się powtarza.

I dlatego tysiąc bohaterów wykradło ogień bogom. Tysiąc wilków pożarło babcię, tysiąc księżniczek zostało pocałowanych. Miliony nieświadomych aktorów poruszało się mimowolnie po ścieżkach opowieści.

Jest już praktycznie niemożliwe, by trzeci i najmłodszy syn dowolnego króla, wyruszywszy z misją, w której wcześniej zginęli jego starsi bracia, nie odniósł sukcesu.

Opowieści nie dbają o to, kto bierze w nich udział. Ważne jest tylko, by były opowiadane, by się powtarzały. Albo też, jeśli wolicie, można sobie to wyobrazić inaczej: opowieść to forma pasożytnicza, naginająca życie ludzi tak, by służyło jej samej².

Trzeba bardzo szczególnej osobowości, by mogła się temu oprzeć i stać się sodą oczyszczoną historii.

Dawno, dawno temu...

² Ludzie myślą się też co do miejskich legend. Logika i rozsądek przekonują, że to wymysły, powtarzane przez ludzi, którzy bardzo chcieliby zobaczyć niezwykle zbiegi okoliczności, sprawiedliwość dziejową i tak dalej. To nieprawda. Legendy miejskie przydarzają się bez przerwy i wszędzie, gdyż opowieści odbijają się i przelatują tam i z powrotem po całym wszechświecie. W dowolnej chwili setki martwych teściowych są wywożone na bagażniku skradzionych samochodów, a wieme owczarki alzackie dławią się palcami nocnych włamywaczy. Legendy nie są ograniczone do jednego świata. Setki żeńskich merkuriańskich jivpts zwraca cztery oczka na ratowników i mówi „Mój trzoda-mąż będzie wściekły. To byt jego moduł podróżny”. Legendy miejskie żyją.

Szare dłonie ujęły młot i uderzyły w słupek tak mocno, że, wbił się na całą stopę w miękką ziemię. Jeszcze dwa uderzenia i nie dało się go wyrwać.

Na drzewach wokół polanki ptaki i węże obserwowały wszystko w milczeniu. W bagnie, niby plamy brudnej wody, dryfowały aligatory.

Szare dłonie podniosły poprzeczkę krzyża, umieściły na odpowiedniej wysokości i przywiązały lianami tak mocno, że aż trzeszczało.

Przyglądała mu się. Po chwili przywiązała na szczycie krzyża kawałek lustra.

- Płaszcz - poleciała.

Wziął płaszcz i włożył na ramiona krzyża. Poprzeczka była trochę za krótka, więc ostatnie kilka cali rękawów zwisało pusto.

- I kapelusz - dodała.

Był wysoki, okrągły i czarny. Lśnił lekko.

Lustro błyszczało pomiędzy czernią kapelusza i płaszczem.

- Czy to podziela? - zapytał.

- Tak. Nawet lustra mają swoje odbicia. Musimy zwalczać lustra lustrami. - Zerknęła na smukłą białą wieżę za lasem. - Trzeba odszukać jej odbicie.

- Musi więc sięgnąć daleko.

- Tak. Przyda się każda pomoc. Rozejrzała się po łące.

Wezwała pana Tesco, lady Bon Annę, Hotalogę Andrewsa i Kroczącego Szeroko. Prawdopodobnie nie byli najlepszymi bogami. Ale byli najlepsi, jakich potrafiła wymyślić.

To jest opowieść o opowieściach.

Albo o tym, co naprawdę znaczy być wróżką i matką chrzestną.

Ale też, zwłaszcza, o zwierciadłach i odbiciach.

W całym wszechświecie żyją prymitywne plemiona³, które nie ufają lustram i obrazom. Uważają bowiem, że lustra kradną część duszy, a przecież tej duszy nikt nie ma aż tak dużo. Ludzie, którzy noszą więcej odzieży, twierdzą, że to przesady. Twierdzą tak, mimo że ci, którzy przez całe życie pojawiają się na takich czy innych

³ Uznawane za prymitywne przez ludzi, którzy noszą więcej odzieży niż członkowie tych plemion.

obrazach, zwykle stają się chudzi i przezroczyści. Składa się to na karb przepracowania i niedożywienia.

Zwykły przesąd. Ale przesady nie muszą być fałszywe.

Lustro może wessać skrawek duszy. Lustro może pomieścić odbicie całego wszechświata, niebo pełne gwiazd w kawałku posrebrzonego szkła, nie grubszego niż tchnienie.

Kto rozumie lustra, ten rozumie prawie wszystko.

Spójrzmy w lustro...

...głębiej...

...na pomarańczowe światelko na nagim górskim wierzchołku, tysiące mil od roślinnego ciepła bagien...

Miejscowi nazywali ją Lisią Górą. Nie z powodu dużej liczby lisów, ale dlatego że była łysą górą. Fakt ten wywołał jednak sporo zyskowego zamieszania; w najbliższych wioskach często pojawiali się przybysze uzbrojeni w kusze, sidła i wnyki, po czym wyniosłe żądali przewodników, którzy doprowadzą ich do lisich stad. Większość miejscowych potrafiła całkiem nieźle się z tego utrzymać - sprzedawali poradniki dla wędrujących po górze, mapy lisich siedlisk, ozdobne zegary z lisami wskazującymi godzinę, laski z lisią główką i ciastka wypiekane w kształcie lisa. Jakoś nikt nie znalazł czasu, żeby wyjaśnić nieporozumienie⁴.

Ta góra była chyba tak łysa, jak to tylko możliwe dla góry.

Większość drzew rezygnowała w połowie drogi na szczyt, dokąd docierało tylko parę sosenek. Sprawiały wrażenie bardzo podobne do kilku pasemek włosów na czaszce kogoś łysego, kto nie chce się pogodzić z losem.

Było to miejsce, gdzie spotykały się czarownice.

Dziś w nocy na samym wierzchołku płonęło ognisko. W migotliwym świetle poruszały się ciemne sylwetki.

Księżyc sunął leniwie nad plamami chmur.

Wreszcie ktoś wysoki, w szpiczastym kapeluszu, powiedział:

⁴ Błędna wymowa może mieć fatalne skutki. Pewien chciwy szeryf Yl-Abi został kiedyś przeklęty przez niewykształcone bóstwo i wszystko, czego dotknął, zmieniało się w Zółto, który okazał się niedużym krasnoludem z oddalonej o setki mil górskiej osady. Kłątwa magicznie ściągała go do królestwa i kopiowała bezlitośnie. Jakies dwa tysiące Zółtów później kłątwa się wreszcie wyczerpała. Obecnie mieszkańcy Yl-Abi znani są z niezwykle niskiego wzrostu i skłonności do irytacji.

- To znaczy, że wszystkie przyniosłyśmy tylko sałatkę ziemniaczaną?

W Ramtopach pozostała jedna czarownica, która nie brała udziału w sabacie. Oczywiście, czarownice lubią przyjęcia tak samo jak wszyscy inni, jednak ta konkretna miała dzisiaj ważniejsze spotkanie. I to nie takie, które można łatwo przesunąć na kiedy indziej.

Dezyderata Hollow pisała testament.

Kiedy Dezyderata Hollow była jeszcze małą dziewczynką, babcia udzieliła jej czterech ważnych rad, które miały pokierować jej krokami na zaskakująco krętych ścieżkach życia.

Oto te rady:

Nigdy nie ufaj psu z pomarańczowymi brwiami.

Zawsze zapisuj nazwisko i adres młodego człowieka.

Nigdy nie stawaj między dwoma lustrami.

I zawsze noś absolutnie czystą bieliznę, codziennie, bo nigdy nie wiesz, czy nie przewróci cię i nie strąci na śmierć spłoszony koń, a kiedy ludzie zobaczą, że masz na sobie brudną bieliznę, umrzesz ze wstydu.

Później Dezyderata urosła i została czarownicą. Jedną z korzyści tego stanu jest, że człowiek dokładnie wie, kiedy umrze, więc może nosić taką bieliznę, na jaką ma ochotę⁵.

Działo się to osiemdziesiąt lat temu, gdy pomyślał, że będzie dokładnie wiedzieć, kiedy umrze, wydawał się całkiem atrakcyjny. Ponieważ - w tajemnicy, oczywiście - dobrze wiedziała, że będzie żyła wiecznie.

To było wtedy.

A to było teraz.

Wieczność okazała się trwać o wiele krócej niż kiedyś.

Kolejna kłoda rozpadła się w kominku na popiół. Dezyderata nie zamawiała opału na zimę. Przecież nie warto.

Oczywiście, była jeszcze jedna rzecz...

Starannie owinęła wąski, długi pakunek. Złożyła liścik, zaadresowała i wsunęła pod sznureczek. Załatwione.

⁵ Co wiele wyjaśnia w kwestii czarownic.

Rozejrzała się. Od trzydziestu lat była niewidoma, ale nie sprawiało jej to kłopotów. Los pobłogosławił ją -jeśli to właściwe określenie - darem jasnowidzenia. Kiedy więc zwykle oczy przestały funkcjonować, nauczyła się widzieć teraźniejszość, i tak o wiele łatwiejszą od przyszłości. A że okultystyczna siatkówka nie jest uzależniona od światła, Dezyderata oszczędzała na świecach. Każda sytuacja ma swoje dobre strony, jeśli tylko wie się, gdzie patrzeć. W przenośni, oczywiście.

Na ścianie wisiało lustro. Ale oblicze w nim nie było twarzą Dezyderaty, zaróżowioną i krągłą. Wręcz przeciwnie.

- Umierasz, Dezyderato - oświadczyła kobieta w lustrze.
- Owszem.
- Zestarzałaś się. Takim jak ty zawsze się to zdarza. Twoja moc już prawie zanikła.

- To prawda, Lilith - zgodziła się spokojnie Dezyderata.
- I twoja magia przestaje ją chronić.
- Obawiam się, że tak.
- Czyli teraz pozostałam tylko ja i ta zła kobieta z bagien. I ja zwyciężę.
- Niestety, na to wygląda.
- Powinnaś znaleźć sobie następczynię.
- Nigdy nie miałam na to czasu. Nie wychodzi mi planowanie przyszłości.

Twarz w lustrze urosła - to postać zbliżyła się do swojej strony zwierciadła.

- Przegrałaś, Dezyderato Hollow.
- Tak bywa.

Dezyderata wstała trochę niepewnie i sięgnęła po serwetę.

Postać wyraźnie się irytowała. Pewnie uważała, że ludzie, którzy przegrywają, powinni być załamani, a nie zachowywać się tak, jakby bawili się żartem zrobionym zwycięzcom.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co oznacza przegrana?
- Niektórzy bardzo wyraźnie mi to tłumaczyli - odparła Dezyderata. - Żegnam, droga pani.

I zasłoniła zwierciadło serwetą.

Spod materiału dobiegło jeszcze gniewne syknięcie, a potem zapadła cisza.

Dezyderata stała przez chwilę nieruchomo, jakby zatopiona w myślach.

Potem uniosła głowę.

- Przed chwilą zagotowała się woda - powiedziała. - Może wypijesz filiżankę herbaty?

NIE, DZIĘKUJĘ, odezwał się głos za jej plecami.

- Od dawna czekasz?

OD ZAWSZE.

- Nie zatrzymuję cię, mam nadzieję.

TO SPOKOJNA NOC.

- Przygotuję herbatę. Zostało chyba jedno ciasteczko.

NIE, DZIĘKUJĘ.

- Gdybyś był głodny, to nad kominkiem stoi słój. To prawdziwy klatchiański wyrób, wiesz? Od prawdziwego klatchiańskiego garncarza. Z Klatchu - dodała.

NAPRAWDĘ?

- Za młodu sporo podróżowałam.

TAK?

- Piękne czasy. - Dezyderata szturchnęła pogrzebaczem palenisko. - Taką miałam pracę, rozumiesz. Zresztą pewnie u ciebie jest podobnie.

TAK

- Nigdy nie wiedziałam, kiedy mnie wezwą. Ty, naturalnie, wiesz takie rzeczy. Głównie do kuchni... Zawsze jakoś trafiałam do kuchni. Czasem na bale, ale zwykle do kuchni. - Podniosła czajnik i nalała wrzątku do imbryka nad ogniem.

RZECZYWIŚCIE?

- Spełniałam ich życzenia.

Śmierć zdziwił się.

CO? TO ZNACZY... NA PRZYKŁAD ZABUDOWANE KREDENSY? NOWE ZLEWY? TAKIE RZECZY?

- Nie, nie. Życzenia ludzi. - Dezyderata westchnęła. - To wielka odpowiedzialność, taka praca chrestnej wróżki. Trzeba wiedzieć, gdzie się zatrzymać. No wiesz... Ludzie, którym spełnia się życzenia, często okazują się nie całkiem mili. Czy więc powinno się im dać to, czego chcą, czy raczej to, czego potrzebują?

Śmierć uprzejmie skinął głową. Z jego punktu widzenia ludzie dostają to, co im się daje.

- Jak ta sprawa w Genoi... - zaczęła Dezyderata. Śmierć gwałtownie podniósł głowę.

GENOA?

- Znasz ją? No tak, oczywiście, że znasz...

JA... ZNAM WSZYSTKO, NATURALNIE.

Dezyderata rozmarzyła się wyraźnie. Jej wewnętrzny wzrok spoglądał gdzieś daleko.

- Było nas dwie. Wiesz pewnie, że matki chrzestne zawsze występują parami. Ja i lady Lilith. Matka chrzestna ma wielką moc. To jak być częścią historii. W każdym razie urodziła się dziewczynka: z nieprawego łoża, ale wcale przez to nie gorsza. Nie chodzi o to, że nie mogli się pobrać, po prostu jakoś im to nie przyszło do głowy... I Lilith życzyła jej urody, władzy i żeby poślubiła księcia. Ha! Od tamtego dnia ciągle nad tym pracuje. Co mogłam zrobić? Nie można się spierać z takimi życzeniami. Lilith zna potęgę opowieści. Zrobiłam co mogłam, ale to Lilith ma moc. Słyszałam, że sama rządzi miastem. Zmienia cały kraj, żeby opowieść mogła się spełnić. Teraz i tak już za późno, przynajmniej dla mnie. Dlatego postanowiłam przekazać odpowiedzialność. Tak to już jest z wrózkami chrzestnymi. Nikt nie chce taką zostać. Oprócz Lilith, ma się rozumieć. Bzika ma i tyle. Dlatego posyłam kogoś innego. I tak chyba powinnam wcześniej o tym pomyśleć.

Dezyderata miała dobre serce. Wróżki chrzestne osiągają głębokie zrozumienie ludzkiej natury, dzięki czemu te dobre stają się łagodne, a te złe potężne. Dezyderata nie należała do osób, które używają ostrych sformułowań. Ale można było mieć pewność, że wykorzystując stosunkowo delikatne określenie „ma bzika”, ma na myśli kogoś, kto jej zdaniem znalazł się już parę mil poza horyzontem obłędu i ciągle przyspiesza.

Nalała herbaty.

- To problem z jasnowidzeniem - mówiła dalej. - Człowiek widzi, co się dzieje, ale nie wie, co to oznacza. Widziałam przyszłość. Jest tam karetka zrobiona z dyni, a to niemożliwe. Oraz woźnice z myszy, co mało prawdopodobne. Jest też zegar wybijający północ i coś ze szklanym pantofelkiem. To wszystko się wydarzy, ponieważ tak właśnie działają opowieści. I wtedy pomyślałam sobie: znam kilka osób, które zmuszają opowieści, by działały na ich sposób.

Znowu westchnęła.

- Chciałabym sama pojechać do Genoi - wyznała. - Stęskniłam się za ciepłem. I zbliża się Tłusty Wtorek. Za dawnych lat zawsze odwiedzałam Genoę w Tłusty Wtorek.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza.

Po chwili odezwał się Śmierć.

CHYBA NIE PROSISZ MNIE O SPŁNIENIE ŻYCZENIA?

- Ha! Nikt nie spełnia życzeń wróżki chrzestnej. - Dezyderata znów jakby spojrzała w głąb siebie. - Widzisz? Muszę wysłać je wszystkie trzy do Genoi. Muszą tam trafić, bo widziałam, że tam są. I koniecznie wszystkie trzy. To niełatwe z takimi osobami jak one. Muszę użyć głowologii. Muszę sprawić, żeby same się wysłały. Powiesz Esme Weatherwax, że ma gdzieś jechać, to z czystej przekory się nie ruszy. Ale jeśli jej powiesz, że nie wolno jej jechać, pobiegnie choćby po tłuczonym szkłe. Tak już jest z Weatherwaxównymi. Nie umięją przegrywać.

Nagle przyszło jej do głowy coś zabawnego.

- Ale jedna z nich będzie się musiała nauczyć.

Śmierć milczał. Z jego punktu widzenia, pomyślała Dezyderata, przegrywanie to coś, czego każdy w końcu się uczy.

Dopiła herbatę. Potem wstała, ceremonialnym gestem wcisnęła na głowę szpiczasty kapelusz i wyszła przez kuchenne drzwi.

Kawałek za domem, między drzewami ktoś wykopał głęboki dół, do którego przewidująco wstawił krótką drabinę. Dezyderata zeszła na dno i z wysiłkiem wyrzuciła drabinę w krzaki. Położyła się. I usiadła.

- Pan Czert, troll, mieszka koło tartaku, ma bardzo dobre ceny na trumny. Jeśli nie przeszkadza ci sosna. NA PEWNO BĘDĘ O TYM PAMIĘTAŁ.

- Kazałam kłusownikowi Hurkerowi wykopać dla mnie ten dół - wyjaśniła Dezyderata. - W drodze do domu zajrzy tu jeszcze i go zasypie. Lubię porządek. Do dzieła, maestro.

SŁUCHAM? AHA, TAKIE POWIEDZENIE.

Wzniósł kosę.

Dezyderata Hollow odeszła na wieczny spoczynek.

- No tak - powiedziała. - To było łatwe. I co teraz?

A oto Genoa. Magiczne królestwo. Diamentowe miasto.

Szczęśliwa kraina.

W samym środku miasta między dwoma zwierciadłami stoi kobieta i przygląda się sobie, odbijanej w nieskończoność.

Same zwierciadła także stoją pośrodku ośmiokąta zbudowanego z luster i otwartego na niebo, na najwyższej wieży w pałacu. Dają tyle odbić, że tylko z najwyższym wysiłkiem można odróżnić, gdzie kończą się lustra, a zaczyna prawdziwa osoba.

Nazywa się lady Lilith de Tempscire, choć w czasie swego długiego i pełnego wydarzeń życia nosiła wiele imion. To coś, jak odkryta, czego człowiek uczy się bardzo wcześnie. Jeśli chce do czegoś dojść - a ona na samym początku postanowiła, by dojść tak daleko, jak to tylko możliwe - powinien traktować imiona lekko i gromadzić moc wszędzie, gdzie ją znajdzie. Pochowała trzech mężów, z których co najmniej dwóch było już martwych.

I trzeba dużo podróżować. Większość ludzi prawie wcale nie podróżuje. Wystarczy zmieniać kraje i imiona, a jeśli ma się odpowiedni sposób bycia, świat jest otwartym mięczakiem. Na przykład wystarczyło przejechać ledwie sto mil, by stać się lady.

Teraz nie zawaha się przed niczym...

Dwa główne zwierciadła stoją prawie, ale niezupełnie naprzeciw siebie. Dzięki temu Lilith, zerkając przez ramię, może oglądać swoje obrazy powtarzające się wokół wszechświata w lustrze.

Wyczuwa siebie wlewającą się w siebie, pomnożoną przez nieskończone odbicia.

W końcu wzdycha i opuszcza przestrzeń między lustrami. Efekt jest zadziwiający: obrazy wiszą za nią jeszcze przez chwilę jak trójwymiarowe cienie, zanim się w końcu rozwiewają.

Zatem... Dezyderata umiera. Wścibski tłumok. Zasłużyła na śmierć. Nigdy nie rozumiała, jaką mocą dysponuje. Należała do osób, które boją się czynić dobro ze strachu, by kogoś nie skrzywdzić, które traktują wszystko z taką powagą, że raczej zadławiają się moralnymi wątpliwościami, niż spełnią życzenie choćby jednej mrówki.

Lilith patrzy w dół, na miasto. Teraz nic jej już nie powstrzyma. Ta głupia kobieta voodoo z bagna to tylko drobna przeszkoda. Niczego nie rozumie.

Nic już nie stoi na drodze do tego, co Lilith lubi najbardziej ze wszystkiego.

Do szczęśliwego zakończenia.

Sabat na szczycie nieco się uspokoi}. Malarze i pisarze zawsze mieli trochę przesadzone wyobrażenia o tym, co dzieje się podczas sabatu czarownic. Wynika to z czasu spędzanego w niewielkich pomieszczeniach za spuszczoneymi kotarami, zamiast na świeżym powietrzu.

Na przykład kwestia tańczenia nago. W klimacie umiarkowanym tylko kilka nocy w roku nadaje się do tańca bez ubrania - pomijając nawet problem kamieni, ostów i nie wiadomo skąd się pojawiających jeży.

Jest też cała ta sprawa z koziogłowymi bóstwami. Większość czarownic nie wierzy w bogów. Wiedzą naturalnie, że bogowie istnieją. Czasami ubijają z nimi różne interesy. Ale nie wierzą w nich. Zbyt dobrze ich znają. To tak jakby wierzyć w listonosza.

Albo jedzenie i picie - kawałki gadów i tak dalej. W rzeczywistości czarownice nawet nie próbują takich rzeczy. Najgorsze, co można powiedzieć o przyzwyczajeniach dietetycznych starszych czarownic, to skłonność do pierniczków maczanych w herbacie tak słodkiej, że łyżeczka staje w niej sztorcem. I czasami piją tę herbatę ze spodeczka, jeśli uznają, że jest za gorąca. W dodatku wydają przy tym odgłosy aprobaty, zwykle kojarzone z tańszymi systemami instalacji wodnokanalizacyjnej. Nawet uдка ropuchy i temu podobne specjały byłyby chyba lepsze niż coś takiego.

Albo rozważmy maści magiczne. Czystym przypadkiem malarze i pisarze mają tu trochę racji. Większość czarownic jest już w wieku, kiedy maści zaczynają być atrakcyjne. Przynajmniej dwie z obecnych dzisiaj miały na sobie słynne mazidło z gęsiego smalcu i szałwi babci Weatherwax. Nie pozwalało ono latać ani nie sprowadzało wizji, ale chroniło od przeziębień. Choćby dlatego że przykry zapach, jaki powstawał około drugiego tygodnia stosowania, trzymał wszystkich w takiej odległości, że nie można było się od nich niczym zarazić.

I wreszcie same sabaty. Przeciętna czarownica z natury nie jest istotą towarzyską, przynajmniej jeśli chodzi o inne czarownice. Występuje konflikt dominujących osobowości. Czarownice przypominają grupę przywódców pozbawionych zespołów do przewodzenia. Podstawowa niepisana zasada czarownictwa mówi: „Nie rób, co chcesz; rób, co ja mówię”. Naturalna liczebność

konwentu wynosi jeden. Czarownice spotykają się tylko wtedy, kiedy nie mogą tego uniknąć.

Tak jak teraz.

Rozmowa, ze względu na nieobecność Dezyderaty, zeszła na pogłębiający się problem braku czarownic⁶.

- Jak to? Nikt? - upewniła się babcia Weatherwax.
- Nikt - potwierdziła babunia Brevis.
- To przecież straszne - orzekła babcia. - To obrzydliwe.
- Co? - wtrąciła matula Dismass.
- Mówi, że to obrzydliwe! - krzyknęła babunia Brevis.
- Co?
- Nie ma żadnej dziewczyny! Żeby zastąpiła Dezyderatę!
- Oj.

Wnioski powoli docierały do wszystkich.

- Gdyby któraś nie jadła skórek, to ja je wezmę - oznajmiła niania Ogg.
- Za czasów mojej młodości takie rzeczy się nie zdarzały - stwierdziła babcia. -

Zawsze było przynajmniej tuzin czarownic tylko po tej stronie gór. Oczywiście, potem przyszło to... - skrzywiła się - ...szukanie sobie rozrywki. W dzisiejszych czasach za dużo jest tego szukania sobie rozrywki. Kiedy byłam dziewczyną, nie szukałyśmy sobie rozrywki. Nie miałyśmy czasu.

- Tempers fuggit - wtrąciła niania Ogg.
- Co?
- Tempers fuggit. To znaczy, że tamto było wtedy, a to jest teraz - wyjaśniła niania.

- Nie musisz mi o tym przypominać, Gytho. Sama wiem, kiedy jest teraz.
- Trzeba iść z duchem czasu.
- Niby dlaczego? Nie rozumiem, czemu...
- Czyli znowu musimy przesunąć granice - uznała babunia Brevis.
- To niemożliwe - zaprotestowała natychmiast babcia Weatherwax. - I tak już obsługuję cztery wioski. Miotła ledwie zdąży wystygnać.

⁶ Dezyderata za pośrednictwem matuli Dismass wysłała liścik, w którym przeproszała, że nie może przybyć, ponieważ jest martwa. Dar jasnowidzenia pozwala ściśle przestrzegać norm towarzyskich.

- No cóż, po odejściu matki Hollow zdecydowanie brakuje nam ludzi - przypomniała babunia Brevis. - Wiem, że niewiele robiła, bo miała inne obowiązki, ale przynajmniej była. A to jest najważniejsze: być. Musi być miejscowa czarownica.

Cztery czarownice zapatrzyły się smętnie w ogień. No, w każdym razie trzy z nich się zapatrzyły. Niania Ogg, która zawsze wolą szukać w życiu jaśniejszych stron, robiła sobie grzanekę.

- W Więcierskich Źródłach sprowadzili sobie maga - poinformowała babunia Brevis. - Nie było komu objąć posady, kiedy odeszła babcia Hopliss, więc posłali do Ankh-Morpork po maga. Prawdziwego. Ma tam sklep i wszystko, i na drzwiach mosiężną tabliczkę. Z napisem „Mag”.

Czarownice westchnęły.

- Pani Singe odeszła - mówiła dalej babunia Brevis. - I babunia Peavey odeszła.

- Naprawdę? Stara Mabel Peavey? - wykrzyknęła niania Ogg wśród gradu okrucichów. - Ile miała lat?

- Sto dziewiętnaście. Mówiłam jej: „W twoim wieku nie można się wspinać po górach”, ale nie słuchała.

- Niektórzy ludzie tacy właśnie są - stwierdziła babcia. - Uparci jak muły. Powiesz, że nie wolno im czegoś robić, a nie spoczną, dopóki nie spróbują.

- Słyszałam jej ostatnie słowa - dodała babunia.

- A co powiedziała?

- „A niech to”, o ile dobrze pamiętam.

- W taki właśnie sposób chciałyby odejść - zapewniła niania Ogg. Pozostałe czarownice pokiwały głowami.

- Wiecie co? Być może, oglądamy właśnie koniec czarownictwa w tej okolicy - zmartwiła się babunia Brevis.

Znów zapatrzyły się w płomienie.

- Nikt nie przyniósł prawoślazu? - upewniła się z nadzieją niania Ogg.

Babcia Weatherwax przyjrzała się swym siostrom czarownicom. Babuni nie znosiła - Brevis uczyła w szkole po drugiej stronie gór i miała paskudny zwyczaj bycia rozsądną, gdy tylko ktoś ją sprowokował. A matula Dismass była chyba najbardziej bezużyteczną jasnowidzącą w całej historii objawień przyszłości. Babci trudno też było wytrzymać z nianią Ogg, jej najlepszą przyjaciółką.

- A co z młodą Magrat? - zaproponowała niewinnie matula Dismass. - Jej teren przylega do Dezyderaty. Może zajęłaby się dodatkowym kawałkiem.

Babcia Weatherwax i niania Ogg wymienili znaczące spojrzenia.

- W głowie jej się przewracało - stwierdziła krótko babcia.

- No wiesz, Esme... - zaprotestowała niania.

- W każdym razie ja uważam to za przewracanie. Nie wmówisz mi, że te bzdury o szukaniu krewnych to nie skutek przewracania w głowie.

- Tego nie powiedziała. Mówiła, że chce odnaleźć siebie, nie krewnych.

- No właśnie, przecież o to chodzi - rzekła babcia Weatherwax. - Powiedziałam jej: znam twoją rodzinę od lat. Simplicity Garlick była twoją matką, Araminta Garlick była twoją babką, Yolande Garlick jest twoją ciotką, a ty jesteś twoją... jesteś twoją sobą.

Usiadła wygodniej z zadowoloną miną kogoś, kto odgadł wszystko, co można wiedzieć o kryzysie osobowości.

- Nie chciała słuchać - dodała jeszcze. Babunia Brevis zmarszczyła czoło.

- Magrat?

Usiłowała przywołać w myślach wizerunek najmłodszej czarownicy Ramtopów i zobaczyła... no, może nie twarz, ale lekko rozmazany wyraz beznadziejnej dobrej woli wbity pomiędzy ciało niczym badył i włosy podobne do stogu siana po burzy. Nieustraszona wykonawczyni dobrych uczynków. Wiecznie się zamartwiająca. Osoba z rodzaju tych, które ratują małe ptaszki wypadające z gniazda, i płaczą, kiedy pisklęta zdychają, co jest funkcją, jaką dobra Matka Natura zwykle przeznacza małym ptaszkom wypadającym z gniazd.

- To do niej niepodobne - uznała.

- I jeszcze powiedziała, że chce być bardziej asertywna - oświadczyła babcia.

- Nic w tym złego - zapewniła niania. - Bycie czarownicą właśnie na asertywności polega.

- Nie mówiłam, że jest w tym coś złego - odparła babcia. - Powiedziałam jej, że nic w tym złego. Możesz być tak asertywna, jak tylko ci się podoba, powiedziałam, bylebyś robiła, co ci każą.

- Trzeba nacierać, a za tydzień czy dwa wszystko przejdzie - zapewniła matula Dismass.

Trzy czarownice spojrzały na nią wyczekująco, na wypadek gdyby miała do powiedzenia coś jeszcze. Nie miała.

- I w dodatku prowadzi... Co ona takiego prowadzi, Gytho? - spytała babcia.

- Kursy samoobrony - odparła niania.

- Przecież jest czarownicą - zdumiała się babunia Brevis.

- Też jej to mówiłam - zapewniła babcia Weatherwax, która przez całe życie bez lęku kroczyła nocami przez pełne zbójców górskie lasy, absolutnie pewna, że ciemność nie skrywa niczego straszniejszego niż ona. - Powiedziała, że to nie przeszkadza. Tak właśnie powiedziała.

- I tak nikt do niej nie przychodzi - uspokoiła ją niania Ogg.

- Miała chyba wyjść za króla... - przypomniała sobie babunia Brevis.

- Wszyscy tak myśleli - potwierdziła niania. - Ale znasz Magrat. Ma skłonność do otwierania się na Idee. Teraz twierdzi, że nie ma zamiaru być obiektem seksualnym.

Wszystkie rozważyły tę kwestię. W końcu babunia Brevis odezwała się tonem osoby wpływającej na powierzchnię z głębin zamyślenia.

- Przecież nigdy nie była obiektem seksualnym.

- Z satysfakcją stwierdzam, że nawet nie wiem, co to jest obiekt seksualny - oświadczyła stanowczo babcia Weatherwax.

- A ja wiem - pochwaliła się niania Ogg. Spojrzały na nią.

- Nasz Shane przywiózł mi kiedyś taki z obcych stron. Dalej na nią patrzyły.

- Był brązowy i gruby, miał na sobie paciorki i miał twarz, i dwie dziurki do przewleczenia rzemyka. Wciąż nie odwracały wzroku.

- W każdym razie mówił, że to właśnie to - dokończyła niania.

- Wydaje mi się, że opisujesz bożka płodności - podpowiedziała babunia Brevis.

Babcia pokręciła głową.

- To niepodobne do Magrat... - zaczęła.

- Nie wmówisz mi, że to jest ważne dwa pensy - wtrąciła matula Dismass z tej chwili czasu, gdzie aktualnie przebywała.

Nikt nigdy dokładnie nie wiedział, która to chwila.

Była to choroba zawodowa osób obdarzonych darem jasnowidzenia. Umysł ludzki nie został stworzony, by pędzić tam i z powrotem po wielkiej autostradzie czasu. Dlatego często zrywa się z kotwicy. Spogląda wtedy losowo w przyszłość albo przeszłość, i tylko z rzadka w teraźniejszość. Matula Dismass była osobą temporalnie rozogniskowaną. To znaczy, że jeśli ktoś odezwał się do niej w sierpniu,

prawdopodobnie słuchała go w marcu. Najlepszą metodą było zwracanie się do niej teraz - w nadziei że treść dotrze do niej, kiedy następnym razem umysł będzie miał tę chwilę.

Babcia na próbę pomachała rękami przed niewidzącymi oczami matuli Dismass.

- Znowu ją wciąło - stwierdziła.

- Cóż, jeśli Magrat nie może przejąć obowiązków, jest jeszcze Millie Hopgood spod Kromki - przypomniała babunia Brevis. - To pracowita dziewczyna. Co prawda ma większego zęza niż Magrat.

- Nic w tym złego - zaprotestowała babcia Weatherwax. - Zęz dobrze wygląda u czarownicy.

- Ale trzeba wiedzieć, jak z niego korzystać - wtrąciła niania Ogg. - Stara Gertie Simmons miała zęza i zawsze rzuciła zły urok na czubek własnego nosa. Nie można ludziom sugerować, że jeśli ziryтую czarownicę, ona mamrocze coś, przeklina, a potem odpada jej czubek nosa.

Znowu spojrzęły w płomienie.

- Przypuszczam, że Dezyderata nie wskazała następczyni? - upewniła się babunia Brevis.

- Nie mogła - odparła babcia Weatherwax. - Nie tak załatwiamy sprawy u nas.

- To prawda, ale Dezyderata niewiele czasu tu spędzała. Taką miała pracę. Ciągle wyjeżdżała w obce strony.

- Nie znoszę obcych stron.

- Byłaś w Ankh-Morpork - przypomniała delikatnie niania. - To obce strony.

- Nie, wcale nie. Ankh-Morpork jest tylko bardzo daleko stąd. To nie to samo co obce. Obce strony są tam, gdzie bełkoczą w pogańskim języku, jedzą zagraniczne paskudztwa i oddają cześć... no wiecie... obiektom - wyjaśniła babcia, prawdziwa ambasadorka dobrej woli. - Obce strony mogą leżeć całkiem blisko, jeśli nie zachowuje się czujności. Ha! - dodała ze wzgardą. - Tak, z obcych stron mogła przywieźć właściwie wszystko.

- Mnie kiedyś przywiozła bardzo ładny biało-niebieski półmisek - wtrąciła niania Ogg.

- O to właśnie chodzi - podsumowała babunia Brevis. - Ktoś powinien pójść do niej i rozejrzeć się po chacie. Miała tam sporo cennych rzeczy. Straszna jest sama myśl, że jakiś złodziej mógłby się włamać i tam szperać.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś złodziej odważył się włamać do domku czarownicy... - zaczęła babcia i urwała nagle. - Tak -zgodziła się potulnie. - To dobry pomysł. Zajmę się tym natychmiast.

- Nie, ja się tym zajmę - zaprotestowała niania Ogg, która także miała dość czasu, żeby coś sobie uświadomić. - Zajrzę tam po drodze do domu. Żaden problem.

- Nie, na pewno chciałabyś wrócić wcześniej - powiedziała z naciskiem babcia.

- Nie przejmuj się. Mogę tam wpaść.

- Ależ to naprawdę nie sprawi kłopotu - zapewniła niania.

- Nie powinnaś się przemęczać w twoim wieku - przypomniała jej babcia.

Patrzyły na siebie wyzywająco.

- Nie rozumiem, o co wam chodzi - wtrąciła babunia Brevis. - Możecie przecież iść tam razem, zamiast się kłócić.

- Jutro będę trochę zajęta - poinformowała babcia. - Może po obiedzie?

- Zgoda - ustąpiła niania Ogg. - Spotkajmy się przy jej chacie. Zaraz po obiedzie.

- Mieliśmy kiedyś taką, ale ten odkręcany kawałek wypadł gdzieś i się zgubił - powiedziała matula Dismass.

Kłusownik Hurker rzucił do dołu ostatnią łopatę ziemi.

Uznał, że wypada powiedzieć kilka słów.

- No, to by było na tyle - rzekł.

Stanowczo była jedną z lepszych czarownic, pomyślał w mroku przedświt, zmierzając w stronę chaty. Niektóre inne - choć są, oczywiście, wspaniałymi istotami ludzkimi, dodał do siebie pospiesznie, tak znakomitą grupą kobiet, jakiej tylko można mieć nadzieję uniknąć - były nieco władcze. Pani Hollow należała do tych, które potrafią człowieka wysłuchać.

Na kuchennym stole leżał długi pakunek, niewielki stosik monet i koperta.

Hurker otworzył kopertę, choć nie była zaadresowana do niego. Wewnątrz znalazł mniejszą kopertę i liścik.

Liścik brzmiał: „Paczę na ciebie, Albercie Hurker. Odniesiesz paczkę i kopertę, a gdybyś spróbował zajrzeć do śrotka, czeka cię coś strasznego. Jako zawodowa dobra wróżka i matka chszesna nie mogę nikogo pszeklinać, ale przewiduję, że to

coś będzie związane z ugryzieniem przez wściekłego wilka, aś noga ci zsinieje, zaropieje, a w końcu odpadnie, i nie pytaj mnie nawet skąd wiem, zresztą i tak nie możesz, bo jestem martwa. Wszyskiego najlepszego, Dezyderata”.

Wziął pakunek z zamkniętymi oczami.

W potężnym polu magicznym Dysku światło biegnie powoli, a zatem czas także. Jakby to ujęła niania Ogg: kiedy - w Genoi podają herbatkę, u nas jest środa...

W rzeczywistości w Genoi wstawał świt. Lilith siedziała w wieży i przy użyciu zwierciadła posyłała swe obrazy, by przemierzały świat.

Szukała...

Gdziekolwiek słońce błysnęło na szczycie fali, gdzie tylko gładko zamarł lód, gdzie było lustro albo odbicie, stamtąd mogła wyrzeć Lilith. Nie potrzebowała magicznego zwierciadła. Każde lustro się nadaje, trzeba tylko wiedzieć, jak go używać. A Lilith, roziskrzona mocą milionów obrazów, wiedziała to doskonale.

Dręczyła ją jedna wątpliwość. Dezyderata zapewne się jej pozbyła. Takie jak ona zawsze tak postępują. Sumienne. I prawdopodobnie oddalają tej głupiej dziewczynie z wodnistymi oczami, która czasami odwiedzała ją w chacie - tej noszącej tanią biżuterię i nie-gustowne suknie. Świetnie by pasowała.

Ale Lilith wołała się upewnić. Nie dotarłaby tutaj, gdzie była dzisiaj, gdyby nie upewniała się w takich sprawach.

W kałuzach i oknach w całym Lancre pojawiała się na moment i znikła twarz Lilith...

Teraz świt dotarł też do Lancre. Jesienne mgły kłębiły się . wśród lasu.

Babcia Weatherwax pchnęła drzwi chaty. Nie były zamknięte. Jedyny gość, którego oczekiwała Dezyderata, nie należał do takich, których mogłyby zniechęcić zamki.

- Kazała się pochować na tyłach - odezwał się głos zza jej pleców. Należał do niani Ogg.

Babcia zastanowiła się nad swoim następnym posunięciem. Gdyby wytknęła niani, że specjalnie przyszła wcześniej, by sama przeszukać dom, zapewne

sprovokowałaby pytania dotyczące własnej tu obecności. Z pewnością potrafiłaby na nie odpowiedzieć, gdyby miała na to dość czasu. W sumie, lepiej zająć się właściwym celem wizyty.

- Aha. - Kiwnęła głową. - Zawsze lubiła porządek. Cała Dezyderata.

- To przez tę pracę - stwierdziła niania Ogg. Przecisnęła się obok i w zadumie zbadała wzrokiem pokój. - Przy takiej pracy zawsze trzeba wiedzieć, gdzie co leży. O rany, ależ wielgachny kocur!

- To lew - wyjaśniła babcia Weatherwax, zerkając na wypchany łeb nad kominkiem.

- Cokolwiek to było, musiało walnąć w ścianę z piekielną szybkością.

- Ktoś go zabił. - Babcia rozejrzała się badawczo.

- No pewno - zgodziła się niania. - Gdybym zobaczyła, jak coś takiego przegryza mi się przez ścianę, sama bym to walnęła pogrzebaczem.

Oczywiście, nie istnieje nic takiego jak typowa chatka czarownicy. Gdyby jednak istniało coś takiego, jak nietypowa chatka czarownicy, to z pewnością właśnie w takiej się znalazły. Poza głowami zwierząt o szklistych oczach, ściany pokrywały półki z książkami i akwarelowe obrazy. W stojaku na parasole tkwiła włócznia. Zamiast zwykłej gliny i fajansu w kredensie stały zagraniczne z wyglądu mosiężne naczynia i delikatna błękitna porcelana. W całym domu nie znalazłoby się ani jednego suszonego zioła, było za to mnóstwo książek, większość wypełniona drobnym, starannym pismem Dezyderaty. Na całym stole leżały arkusze papieru, wyglądające na pracowicie wykreślone mapy.

Babcia Weatherwax nie lubiła map. Instynktownie wyczuwała, że spłaszczają krajobraz.

- Trzeba przyznać, że bywała w świecie - uznała niania Ogg. Wzięła wachlarz z kości słoniowej i pomachała nim kokieterijnie⁷.

- Dla niej było to łatwe - przyznała babcia, Otworzyła kilka szuflad. Przejechała palcami po półce nad kominkiem i przyjrzała im się krytycznie.

- Mogłaby poświęcić chwilę i popracować trochę miotełką do kurzu - stwierdziła odruchowo. -Ja tam bym nie umierała, zostawiając dom w takim stanie.

- Zastanawiam się, gdzie zostawiła... no wiesz... to? - mruknęła niania. Otworzyła drzwiczki stojącego zegara i zajrzała do wnętrza.

⁷ Niania Ogg nie wiedziała pewnie, kim jest kokietka. Ale chyba potrafiłaby zgadnąć.

- Wstydź się, Gytho! - oburzyła się babcia. - Nie przyszłyśmy tu, żeby jej szukać.

- Oczywiście że nie. Tak sobie tylko pomyślałam... - Niania Ogg stanęła na palcach, próbując ukradkiem zajrzeć na szczyt kredensu.

- Gytho! Jak możesz! Idź, zrób nam po filiżance herbaty.

- No dobrze...

Burcząc pod nosem, niania Ogg zniknęła w spiżarce. Po chwili dobiegł stamtąd zgrzyt ręcznej pompy.

Babcia Weatherwax od niechcenia zbliżyła się do fotela i szybko sięgnęła pod siedzenie.

W sąsiednim pomieszczeniu rozległ się głośny brzęk. Babcia wyprostowała się szybko.

- I nie przypuszczam, żeby była pod zlewem! - zawołała.

Odpowiedź niani Ogg była niezrozumiała.

Babcia odczekała chwilę, po czym podkradła się szybko do kominka. Wsunęła rękę do wnętrza i ostrożnie obmacała mur.

- Szukasz czegoś, Esme? - spytała z tyłu niania Ogg.

- Tam jest pełno sadzy - wyjaśniła babcia i odskoczyła nerwowo. - Sadzy tam pełno.

- Więc jej tam nie ma? - rzuciła niania głosem pełnym słodyczy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie musisz udawać. Wszyscy wiedzą, że musiała ją mieć. Należy do zawodu. Właściwie nawet jest zawodem.

- No... może - przyznała babcia Weatherwax. - Chciałam ją tylko chwilę potrzymać. Ale nie używać. Nie zobaczysz mnie używającej czegoś takiego. Widziałam je raz czy dwa. Niewiele ich już zostało.

Niania Ogg pokiwała głową.

- Nie ma odpowiedniego drewna.

- Nie sądzisz chyba, że jest z nią pochowana?

- Nie, raczej nie. Ja bym nie chciała, żeby mnie chować z czymś takim. To wielka odpowiedzialność. Zresztą nie pozostałaby pochowana. Takie rzeczy chcą być używane. Przez cały czas stukałaby ci w trumnę. Sama wiesz, jaki z nimi kłopot.

Uśmiechnęła się.

- Przyniosę serwis do herbaty - powiedziała. - A ty rozpal ogień.

Po czym wróciła do spiżarni.

Babcia Weatherwax sięgnęła nad kominek po zapalki, ale zaraz sobie uświadomiła, że ich nie znajdzie. Dezyderata zawsze powtarzała, że ma zbyt dużo zajęć, by nie korzystać z czarów w gospodarstwie. Nawet jej pranie samo się prało.

Babcia nie pochwałała takiego użytku z czarów, ale była zirytowana. Poza tym miała ochotę na herbatę.

Wrzuciła do kominka kilka polan i przyglądała się im tak długo, że wybuchnęły płomieniem z samego zakłopotania.

Wtedy właśnie jej wzrok przyciągnęło zasłonięte lustro.

- Zakrywała je? - mruknęła do siebie. - Nie wiedziałam, że stara Dezyderata bała się burzy.

Zdjęła serwetę.

Spojrzała.

Bardzo niewiele osób na całym świecie panuje nad sobą tak jak babcia Weatherwax. Jej samokontrola jest twarda niczym pręt z lanego żelaza. I tak samo elastyczna.

Strzaskala lustro.

Lilith wyprostowała się nagle w swej lustrzanej wieży.

Ona?

Twarz była inna, naturalnie. Starsza. Minęło już wiele lat. Ale oczy się nie zmieniają, a czarownice zawsze patrzą na oczy.

Ona!

Magrat Garlick, czarownica, także stała przed lustrem. W jej przypadku było ono całkiem niemagiczne i wciąż w jednym kawałku, choć kilka razy niewiele już brakowało.

Ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się swojemu odbiciu. Potem zajrzała do taniej, drzeworytowej broszurki, którą otrzymała poprzedniego dnia.

Wymamrotała pod nosem kilka słów, wyciągnęła przed siebie ręce i energicznie wyprowadziła kilka ciosów w powietrze.

- Haaaiiiiiieeeeehgh! - powiedziała. - Hm.

Magrat pierwsza byłaby skłonna przyznać, że posiada otwarty umysł. Był otwarty jak pole, jak niebo. Żaden umysł nie mógłby być bardziej otwarty bez specjalnej interwencji chirurgicznej. I ciągle czekała, aż coś go wypełni.

W tej chwili wypełniało go poszukiwanie wewnętrznego spokoju, kosmicznej harmonii i prawdziwej istoty Bytu.

Kiedy ktoś mówi: „Wpadła mi do głowy pewna myśl”, nie jest to zwykła metafora. Pierwotne natchnienie - maleńkie cząstki samodzielnych myśli - bez przerwy mkną przez kosmos. Są ściągane do takich umysłów jak Magrat w ten sam sposób, w jaki woda ścieka do dziury na pustyni.

Wszystko przez to, uważała zawsze, że jej matka miała braki w sztuce pisania. Kochająca matka poprawnie napisałaby: Margaret. A wtedy córka byłaby Peggy albo Maggie - solidne, krzepkie imiona, na których można polegać. Z Magrat niewiele daje się osiągnąć. Brzmi jak nazwa czegoś, co żyje w jamie na brzegu rzeki i ciągle jest zalewane wodą.

Myślała wprawdzie, czyby nie zmienić imienia, lecz w głębi serca wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Nawet gdyby stała się z wierzchu Chloe albo Isobel, i tak pod spodem pozostanie Magrat. Ale miło byłoby spróbować. Miło byłoby nie być Magrat - choćby przez kilka godzin.

Takie właśnie myśli popychają człowieka na drogę Odnalezienia Własnego Ja. A jedną z pierwszych rzeczy, jakich Magrat się nauczyła, to że ktoś, kto Odnalazł Własne Ja, nie powinien o tym wspominać babci Weatherwax. Babcia uważała, że emancypacja to kobiece dolegliwości, o których nie należy mówić w obecności mężczyzn.

Niania Ogg okazywała więcej zrozumienia, choć jej komentarze - zdaniem Magrat - były zwykle dość dwuznaczne. Zdaniem niani były prawdopodobnie wręcz całkiem jednoznaczne i bardzo z tego dumne.

Krótko mówiąc, Magrat zrezygnowała z prób nauczania się czegokolwiek od starszych czarownic i zarzuciła sieć poszukiwań dalej. O wiele dalej. Tak daleko, jak to tylko możliwe.

Niezwyczajną cechą wszystkich poszukiwaczy mądrości jest to, że nieważne, gdzie się akurat znajdują, zawsze szukają jej bardzo daleko. Mądrość to jedna z tych rzeczy, które wydają się tym większe, im są dalej⁸.

W tej chwili Magrat poszukiwała swojego ja, podążając Drogą Skorpiona, która oferowała kosmiczną harmonię, wewnętrzne zespolenie i możliwość wybicia napastnikowi nerek przez uszy. Posłała po podręcznik.

Oczywiście, pojawiły się wątpliwości. Autor, wielki mistrz Lobsane Dibbier, mieszkał w Ankh-Morpork. Nie wydawało się to odpowiednim siedliskiem kosmicznej mądrości. Poza tym, choć wiele razy podkreślał, że Droga Skorpiona nie powinna być wykorzystywana dla agresji, jedynie dla zyskiwania kosmicznej mądrości, wszystko to wypisał drobnym drukiem pomiędzy ilustracjami przedstawiającymi ludzi, którzy entuzjastycznie okładają się ryżowymi cepami i wołają „Hai!”. Później człowiek uczył się, jak dłonią rozbijać cegły i chodzić po rozżarzonych węglach, i opanowywał inne kosmiczne umiejętności.

Magrat uznała, że Niania to ładne imię dla dziewczyny.

Znowu wyprężyła się przed lustrem.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła.

- Hai? - spytała.

Kłusownik Hurker cofnął się o krok. Był trochę zdenerwowany - wściekły wilk tropił go spory kawałek w lesie.

- Tego... - powiedział. Pochylił się i troska zastąpiła zdumienie. - Zraniła się panienka w głowę?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Po chwili dopiero zdała sobie sprawę, o co mu chodzi, i ściągnęła z głowy opaskę z rysunkiem chryzantemy, bez której

⁸ Na przykład Ścieżka Pani Cosmopolite, bardzo popularna wśród młodych ludzi zamieszkujących ukryte doliny powyżej linii wiecznego śniegu w wysokich Ramtopach. Gardząc naukami starszych, odzianych w żółte szaty i kręcących młynkami modlitewnymi, często wyruszają pod numer trzeci przy ulicy Quirmowej w płaskim, spowitym mgłami Ankh-Morpork, by szukać mądrości u stóp pani Marietty Cosmopolite, krawcowej. Nikt nie zna powodu takiego zachowania, innego niż wspomniana już atrakcyjność dalekiej mądrości. Zwłaszcza że nie rozumieją ani słowa z tego, co do nich mówi, czy też - o wiele częściej - krzyczy. Wielu ogolonych młodych mnichów powraca do swych górskich twierdz, by medytować nad niezwykle mantrą im przekazaną, na przykład „Uciekaj stąd, ale już!” i „Jeśli jeszcze raz zobaczę, że któryś z was, pomarańczowych łobuzów, się na mnie gapi, poczuje kant mojej dłoni, jasne?” albo „Dlaczego przyłazicie tu, głupki, i wpatrujecie się w moje stopy?”. Młodzi mnisi opracowali nawet specjalną szkołę walki opartą na tych doświadczeniach. Polega na krzyczeniu niezrozumiale na przeciwnika i uderzaniu go miotłą.

praktycznie niemożliwe jest poszukiwanie kosmicznej mądrości przy równoczesnym wykręcaniu łokci przeciwnika o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- Nie - odparła krótko. - Czego chcesz?

- Mam paczkę dla panienki.

Wręczył jej przesyłkę. Miała jakieś dwie stopy długości i była bardzo wąska.

- Jest też liścik - odpowiedział.

Przesunął się w bok i usiłował czytać jej przez ramię.

- To prywatna wiadomość - oświadczyła Magrat.

- Naprawdę? - zdziwił się uprzejmie Hurker.

- Tak!

- Powiedziała mi, że dostanę pensa za doręczenie - przypomniał sobie kłusownik.

Magrat sięgnęła do sakiewki.

- Pieniądze wykuwają łańcuch, który wiąże klasę robotniczą - ostrzegła, wręczając mu monetę.

Hurker, który nigdy w życiu nie pomyślałby o sobie jako o klasie robotniczej, pokiwał tylko głową. Za pensa skłonny był wysłuchać wszystkiego.

- Mam nadzieję, że głowa przestanie panienkę boleć - rzucił jeszcze na pożegnanie.

Kiedy Magrat została sama w swojej kuchni-doju, rozwinęła pakunek. Znalazła cienki biały pręcik.

Zajrzała do listu. Dezyderata pisała: Jakoś nie miałam czasu wyszkolić następczyni, więc musisz wystarczyć. Masz jechać do miasta Genoi. Sama bym to zrobiła, ale nie mogę, ponieważ jestem martwa. Ella Saturday NIE MOŻE wyjść za księcia. PS To ważne”.

Magrat spojrzała na swoje odbicie w lustrze. A potem znowu na list.

„PSPS Powieć tym 2 Staruchom że mają nie jechać z tobą, bo tylko wszystko popsują”.

Było jeszcze coś.

„PSPSPS Czasem przełącza się na dynie, ale szypko się zorientujesz”.

Magrat znowu popatrzyła w lustro. I na różdżkę.

W jednej chwili jej życie było całkiem proste, a w następnej zaroilo się od komplikacji.

- O rany - powiedziała. - Jestem chrzestną wróżką!

Kiedy wbiegła niania Ogg, babcia Weatherwax wciąż stała , wpatrzona w błyszczące odłamki.

- Esmo Weatherwax, coś ty narobiła? To przynosi pecha, takie... Esme?

- Ona? Ona?

- Dobrze się czujesz?

Babcia Weatherwax na chwilę zacisnęła powieki i potrząsnęła głową, jakby chciała usunąć jakąś myśl nie do pomyślenia.

- Co?

- Strasznie zbladłaś. Nigdy jeszcze nie widziałam cię takiej bladej.

Babcia powoli zdjęła z kapelusza odprysk szkła.

- Wiesz... Trochę się wystraszyłam, kiedy tak nagle pękło... - wymamrotała.

Niania zerknęła na dłoń przyjaciółki - krwawiła. Popatrzyła na twarz babci i uznała, że nigdy się nie przyzna do spojrzenia na rękę.

- To mógł być znak - stwierdziła, losowo wybierając bezpieczny temat. - Kiedy ktoś umiera, takie rzeczy często się zdarzają. Obrazy spadają ze ścian, zegary stają... wielkie szafy zjeżdżają po schodach... Różne takie.

- Nigdy nie wierzyłam w te bajki, to przecież... Jak to szafy zjeżdżają po schodach? - zdumiała się babcia. Oddychała głęboko.

Gdyby nie to, że -jak powszechnie wiadomo - babcia Weatherwax była twarda, można by pomyśleć, że właśnie przeżyła szok swojego życia. I że rozpaczliwie usiłuje wziąć udział w zwyczajnej, codziennej sprzeczce.

- Tak było, kiedy umarła siostra mojej babki, Sophie - wyjaśniła niania Ogg. - Trzy dni, cztery godziny i sześć minut po jej śmierci, co do minuty, jej szafa spadła ze schodów. Nasz Darren i nasz Jason próbowali przeciągnąć ją przez zakręt, a ona tak jakby się wymknęła. Niesamowite. W każdym razie nie miałam zamiaru zostawiać jej tam dla Agathy, prawda? Odwiedzała matkę tylko w Noc Strzeżenia Wiedźm. To ja pielęgnowałam Sophie przez cały czas, aż do końca...

Babcia nie słuchała już znajomej, kojącej litanii o sporach w rodzinie niani Ogg. Niepewnie sięgnęła po filiżanki.

Oggowie tworzyli rozległy ród. Nie tylko rozległy, ale też długi, długowieczny i wytrwały. Żadna kartka papieru nie zdołałaby pomieścić ich drzewa

genealogicznego, które zresztą bardziej przypominało gąszcz mangrowców. A każda gałąź prowadziła cichą, ale chroniczną wojnę ze wszystkimi innymi gałęziami. Wrogość opierała się na tak tradycyjnych causes celebres, jak Co Kevin Powiedział Do Naszego Stana Na Ślubie Kuzynki Di i Kto Dostał Srebrne Sztućce, Które Ciocia Em Obiecała Po Śmierci Naszej Doreen, Bardzo Chciałabym Wiedzieć, Jeśli Wolno Spytać, Dziękuję Uprzejmie.

Niania Ogg, bezdyskusyjna matrona rodu, wspierała wszystkie strony jednocześnie. Było to dla niej czymś w rodzaju hobby.

Oggowie w jednej rodzinie kontynuowali tyle zatargów, że kilku zwykłym wioskom wystarczyłyby na całe stulecie.

Czasami zachęcony tym nierozsądny przybysz próbował się włączyć. Na przykład wygłaszał jakąś niepochlebną uwagę o jednym z Oggów do innego. I wtedy wszyscy Oggowie zwracali się przeciw niemu, jak dobrze naoliwiona maszyna zwierając szeregi, by natychmiast i bezlitośnie zniszczyć intruza.

Mieszkańcy Ramtopów wierzyli, że wojny Oggów są błogosławieństwem. Sama myśl, że mogliby skierować swoją straszliwą energię na świat, budziła przerażenie. Na szczęście Ogg z nikim nie kłócił się chętniej niż z innym Oggiem - w końcu byli rodziną.

Dziwne są te rodziny, kiedy się nad nimi zastanowić...

- Esme! Co z tobą?

- Co?

- Te filiżanki grzechoczą jak nie wiem co. I całą tacę zalałaś herbatą.

Babcia nieprzytomnie spojrzała na rozlaną herbatę i spróbowała się bronić - najlepiej, jak w tej chwili potrafiła.

- Nie moja wina, że te przekłete filiżanki są takie małe -mruknęła.

Otworzyły się drzwi.

- Dzień dobry, Magrat - dodała babcia, nie oglądając się nawet. - Co tu robisz?

Coś było takiego w zgrzytnięciu zawiasów... Magrat nawet drzwi potrafiła otwierać przepraszająco.

Młoda czarownica bez słowa wsunęła się do środka. Twarz miała czerwoną jak burak, a ręce schowane za plecami.

- Zajrzałyśmy tu właśnie, żeby uporządkować rzeczy Dezyderaty, jak nakazuje nam obowiązek wobec siostry-czarownicy - wyjaśniła głośno babcia.

- I żeby poszukać jej magicznej różdżki - dodała niania.

- Gytho Ogg!

Niania Ogg zmieszała się i zwiesiła głowę.

- Przepraszam, Esme.

Magrat wyciągnęła ręce przed siebie.

- Ehm... - powiedziała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Znalazłaś ją! - zawołała niania.

- Raczej nie. - Magrat unikała wzroku babci. - Dezyderata mi ją dała.

Cisza aż trzeszczała i brzęczała.

- Dała ją tobie? - upewniła się babcia Weatherwax.

- No... tak.

Niania i babcia porozumiały się wzrokiem.

- Cóż... - stwierdziła niania.

- Ona cię znała, prawda? - zapytała groźnie babcia, zwracając się znowu do Magrat.

- Zaglądałam tu dość często, żeby poczytać książki - przyznała

Magrat. - I jeszcze... Ona lubiła gotować zagraniczne potrawy, ale nikt w okolicy nie chciał ich jeść, więc przychodziłam, żeby jej dotrzymać towarzystwa.

- Aha! Chciałaś się przypodobać! - zawołała babcia.

- Ale nie przypuszczałam nawet, że zostawi mi różdżkę. Naprawdę!

- Pewnie zaszła jakaś pomyłka - wtrąciła spokojnie niania Ogg.

- Prawdopodobnie chciała, żebyś ją przekazała jednej z nas.

- Rzeczywiście, tak musiało być - zgodziła się babcia. - Wiedziała, że można cię prosić o doręczenie i tak dalej. A teraz obejrzyjmy ją.

Wyciągnęła rękę.

Zaciśnięte na różdżce palce Magrat aż pobierały.

- ...dała ją mnie... - przypomniała słabym głosem.

- Pod koniec jej umysł nieco błędził - stwierdziła babcia.

- ...dała ją mnie...

- Być chrzestną wróżką to wielka odpowiedzialność - pouczyła ją niania. - Musisz być pomysłowa, elastyczna i taktowna, radzić sobie ze złożonymi sprawami serca i w ogóle. Dezyderata na pewno o tym wiedziała.

- ...tak, ale dała ją mnie...

- Magrat Garlick, jako najstarsza czarownica rozkazuję ci, żebyś natychmiast oddała różdżkę - rzekła babcia. - Pamiętaj, różdżki sprawiają tylko kłopoty.

- Chwileczkę, chwileczkę - uspokajała ją niania. - Nie należy posuwać się za...

- ...nie...

- Zresztą nie jesteś najstarszą czarownicą - przypomniała niania. - Matula Dismass jest starsza od ciebie.

- Cicho bądź. Poza tym ona jest psychicznie nieźrównana.

- ...nie możesz mi rozkazywać. Czarownice nie są hierarchiczne...

- To niegodne zachowanie, Magrat Garlick.

- Wcale nie - sprostowała niania Ogg. - Niegodne zachowanie jest wtedy, kiedy chodzisz bez żadnego ubrania i...

Urwała nagle.

Obie starsze czarownice wpatrywały się w kawałek papieru, który wysunął się Magrat z rękawa i spłynął na podłogę. Babcia rzuciła się pierwsza i podniosła go szybko.

- Aha! - zawołała tryumfalnie. - Teraz zobaczmy, czego naprawdę chciała Dezyderata.

Poruszając wargami odczytała list. Magrat usiłowała zebrać całą siłę woli.

Kilka mięśni drgnęło na twarzy babci. Potem spokojnie zmięła papier.

- Tak jak myślałam - powiedziała. - Dezyderata pisze, że mamy koniecznie pomagać Magrat, jako że jest młoda i w ogóle. Prawda, Magrat?

Magrat spojrzała jej w oczy.

Możesz zarzucić jej kłamstwo, myślała. List był całkiem jasny, w każdym razie w części o starszych czarownicach. Możesz kazać jej przeczytać na głos. Wszystko się wyda. Chcesz do końca życia pozostać trzecią czarownicą?

A potem ogień buntu, płonący na bardzo niesprzyjającym podłożu, zgasł.

- Tak - wymamrotała załamana. - Coś w tym rodzaju.

- Pisze, że mamy się udać w jakieś miejsce. To bardzo ważne. Tam musimy komuś pomóc poślubić księcia - mówiła dalej babcia.

- To Genoa - wyjaśniła Magrat. - Czytałam o niej w książkach Dezyderaty. Ale mamy dopilnować, żeby ona nie wyszła za księcia.

- Wróżka chrzestna nie pozwalająca dziewczynie wyjść za księcia? - zdziwiła się niania. - To trochę bez sensu.

- W każdym razie to życzenie jest chyba łatwe do spełnienia - zauważyła babcia.. - Miliony dziewcząt nie wychodzą za książąt. Magrat postanowiła chociaż spróbować.

- Genoa leży bardzo daleko stąd - ostrzegła.

- Mam nadzieję - odparła babcia Weatherwax. - Przecież nie chcemy, żeby obce strony leżały blisko.

- Chodziło mi o to, że to długa podróż. A wy jesteście... już nie takie młode jak dawniej.

Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila ciszy.

- Ruszamy jutro - zdecydowała babcia Weatherwax.

- A dlaczego nie mogę ruszyć sama? - protestowała rozpaczliwie Magrat.

- Bo nie masz żadnego doświadczenia w pracy wróżki - wyjaśniła babcia.

Tego było już za wiele, nawet dla spokojnej duszy Magrat.

- Wy też nie - oświadczyła.

- To prawda - przyznała babcia. - Ale chodzi o to... chodzi o to... chodzi o to, że nie mamy doświadczenia o wiele dłużej od ciebie.

- Jesteśmy bardzo doświadczone w braku doświadczenia - dodała z zadowoleniem niania Ogg.

- A to najważniejsze.

W domu babci było tylko jedno poplamione lustro. Kiedy wróciła, zakopała je głęboko w ogrodzie.

- Masz - mruknęła pod nosem. - Spróbuj mnie teraz szpiegować.

Wydawało się całkiem niemożliwe, by Jason Ogg, mistrz kowalski, był synem niani Ogg. W ogóle nie wyglądał, jakby mógł się normalnie urodzić, ale jakby go zbudowano. W stocznii. Do jego powolnej i łagodnej natury genetyka uznała za stosowne dołożyć mięśnie godne dwóch byków, ramiona jak konary dębu i nogi niczym cztery beczki piwa, zestawione parami jedna na drugiej.

Do jego kuźni sprowadzano rozplodowe ogiery, płomiennooch, spienionych królów końskiej rasy, bestie o kopytach jak talerze, które ludzi mniejszego kalibru wykopywały przez ściany. Ale Jason Ogg poznał tajemnicę mistycznego Zaklęcia Jeźdźców; samotnie wchodził do kuźni, grzecznie zamykał drzwi, a pół godziny później wyprowadzał zwierzę świeżo podkute i dziwnie pokorne⁹.

⁹ Babcia Weatherwax wypytała go kiedyś, a że przed czarownicą nie ma żadnych sekretów, wyznał zawstydzony: „No więc, pani Weatherwax, to się robi tak. Łapię takiego za uprząż i walę go miotem między oczy, zanim się

Za jego potężną, nieruchomą sylwetką skrywała się reszta licznej rodziny niani Ogg i grupa przypadkowych mieszkańców miasteczka, którzy - widząc jakieś niezwykle zdarzenie, w którym uczestniczą czarownice - nie mogli oprzeć się pragnieniu, by zobaczyć coś, co w Ram topach nazywa się „niezłym ubawem”.

- No to ruszamy, Jasonie - powiedziała niania Ogg. - Mówią, że ulice w obcych stronach są wybrukowane złotem. Pewnie zrobię tam majątek, jak myślisz?

Jason zmarszczył krzaczaste brwi w intensywnym wysiłku myślenia.

- Przydałoby się nowe kowadło - stwierdził po chwili.

- Jeśli wrócę bogata, już nigdy nie będziesz musiał pracować w kuźni.

Jason znów zmarszczył czoło.

- Ale ja lubię kuźnię - zapewnił. To nianię zaskoczyło.

- No to... No to będziesz miał kowadło z litego srebra.

- Nie nada się, mamó. Będzie za miękkie.

- Jeżeli ci przywiozę kowadło z litego srebra, to będziesz miał kowadło z litego srebra, mój chłopcze, czy ci się to podoba, czy nie! Jason zwiesił głowę.

- Tak, mamó - wymruczał.

- Dopilnuj, żeby codziennie ktoś tu przychodził i wietrzył dom. I co rano macie rozpalić ogień na palenisku.

- Tak, mamó.

- A wchodzić wolno tylko kuchennymi drzwiami, słyszysz? Rzuciłam klątwę na ganek. Gdzie są te dziewczuchy z moim bagażem?

Odbiegła, jak mały szary kogucik zaganiający stado kwok.

Magrat przysłuchiwała się temu z zainteresowaniem. Jej własny bagaż podróży składał się z dużego worka, w którym mieściło się kilka zmian odzieży pozwalających przetrwać wszystko, czym może zagrozić pogoda w obcych stronach, i drugiego, mniejszego, gdzie zapakowała kilka użytecznych książek z domku Dezyderaty Hollow. Dezyderata znakomicie notowała i wypełniała kilkanaście małych książeczek swoim drobnym pismem oraz tytułami rozdziałów w stylu „Z różdżką i miotłą przez pustynie Wielkiego Nefu”.

Nigdy jednak chyba nie przyszło jej do głowy, by zapisać jakiejkolwiek instrukcje obsługi różdżki. O ile Magrat się orientowała, trzeba było tylko pomachać nią i pomyśleć życzenie.

taki zorientuje, o co chodzi. A potem szeptał takiemu do ucha: Zrób jakiś numer, a położę na kowadle twoje jaja. Wiesz, że mogę”.

Kilka nieoczekiwanych dyń wzdłuż ścieżki prowadzącej od jej chaty dawało świadectwo niedostatków tej strategii. Jedna wciąż jeszcze myślała, że jest gronostajem.

Teraz Magrat została sama z Jasonem, który niepewnie przestępował z nogi na nogę.

Dotknął palcem grzywki. Wychowano go w szacunku dla kobiet, a Magrat mieściła się mniej więcej w tej kategorii.

- Będzie pani uważać na naszą mamę, panno Garlick? - upewnił się zmartwiony. - Ostatnio strasznie dziwnie się zachowuje. Magrat łagodnie poklepała go po ramieniu.

- Takie rzeczy często się zdarzają - wyjaśniła. - Rozumiesz, kiedy kobieta wychowała już dzieci i tak dalej, chce żyć własnym życiem.

- To czym życiem żyła do tej pory? Magrat spojrzała na niego zaskoczona. Jakoś nie kwestionowała sensu tej myśli, odkąd pierwszy raz przysła jej do głowy.

- Widzisz, to jest tak - zaczęła, błyskawicznie tworząc wytłumaczenie. - W życiu kobiety przychodzi taka chwila, kiedy chce odnaleźć siebie.

- To dlaczego nie zaczniesz szukać tutaj? - spytał smętnie Jason. - Znaczą się, nie chciałem się odzywać nie pytany, ale liczyliśmy na panią, panno Garlick, że przekona pani ją i panią Weatherwax. Zęby nie wyjeżdżały.

- Próbowałam - zapewniła Magrat. - Naprawdę. Mówiłam: wcale nie musicie jechać. Anno domini, mówiłam. Już nie jesteście takie młode jak kiedyś, mówiłam. To bez sensu, wyprawiać się setki mil stąd po głupstwo, zwłaszcza w waszym wieku.

Jason przechylił głowę. Zapewnię nie dotarłby do finału dyskowych mistrzostw szybkości orientacji, ale dobrze znał własną matkę.

- Powiedziała pani to wszystko naszej mamie? - upewnił się.

- Nie martw się - uspokoiła go Magrat. - Jestem pewna, że żadna krzywda...

Nad ich głowami rozległ się trzask. Kilka jesiennych liści powoli opadło na ziemię.

- Przekłęte drzewo... Kto tu postawił to drzewo? - dobiegł głos z góry.

- To pewnie babcia - domyśliła się Magrat.

Jedną ze słabych stron mocno na ogół ukształtowanego charakteru babci Weatherwax była nieumiejętność sterowania różnymi rzeczami. Sama idea wydawała się obca jej naturze. Uważała, że jej sprawą jest się poruszać, a do reszty świata należy takie ustawienie, żeby dotarła do celu. Oznaczało to, że czasami

musiała schodzić z drzew, na które wcale się nie wspinała. To właśnie zrobiła teraz; zeskoczyła z najniższej gałęzi i spojrzała wokół siebie, jakby wyzywając śmiazków, by spróbowali wygłosić jakąś uwagę.

- No to jesteśmy już wszystkie - oznajmiła wesoło Magrat. Nie udało się. Wzrok babci Weatherwax natychmiast skupił się w okolicy kolan młodej czarownicy.

- Co ty niby masz na sobie? - spytała groźnie.

- Aha. Hm. Pomyślałam... Znaczy, w górze jest zimno, bo wieje i w ogóle... - zaczęła Magrat.

Obawiała się tej rozmowy i nienawidziła samej siebie za tę słabość. Pomysł wpadł jej do głowy pewnej nocy i przekonała się, że naprawdę są praktyczne. Poza tym prawie niemożliwe było wykonywanie kosmicznie harmonijnych śmiertelnych kopnięć mistrza Lobsanga Dibbiera, kiedy nogi ciągle plątały się w spódnice.

- Spodnie?

- Nie są takie jak zwykle...

- Przecież mężczyźni patrzą - rzekła babcia. - Uważam, że to niegodne.

- Co takiego? - spytała niania Ogg, stając za jej plecami.

- Magrat Garlick, stojąca tak rozdwojona. - Babcia zadarła nos.

- Byle tylko zapisała nazwisko i adres tego młodego człowieka - rzuciła przyjaźnie niania.

- Nianiu! - zawołała Magrat.

- Mnie się to nie podoba - oświadczyła babcia. - Każdy może zobaczyć jej nogi.

- Wcale nie może - zaprotestowała niania. - Z tego powodu, że zasłania je materiał.

- Tak, ale widzą, gdzie te nogi są.

- Przecież to głupie. To tak jakby mieć pretensje, że każdy pod ubraniem jest nagi - zaprotestowała Magrat.

- Magrat Garlick, oby zostało ci wybaczone! - oburzyła się babcia Weatherwax.

- Przecież to prawda.

- Ja nie jestem - zapewniła z godnością babcia. - Mam jeszcze trzy kamizelki.

Wyrokiem zmierzyła nianię od stóp do głów. Gytha Ogg także poczyniła przygotowania do wizyty w obcych stronach. Babcia nie znalazła prawie nic, co mogłaby skrytykować, choć naprawdę się starała.

- Co to znowu za kapelusz? - mruknęła.

Niania uśmiechnęła się tylko. W końcu знаła Esme Weatherwax od siedemdziesięciu lat.

- Szczyt mody, co? Zrobiony u pana Vernissage z Kromki. Ma wiklinowe wzmocnienia aż do czubka, a w środku osiemnaście kieszonek. Wytrzymuje uderzenie młota. Taki to jest kapelusz. A co powiesz na to?

Niania uniosła brzeg spódnicy, demonstrując nowe buty. Jako butom, babcia Weatherwax nie mogła im nic zarzucić. Miały odpowiednią dla czarownic konstrukcję, to znaczy, że załadowany wóz mógłby po nich przejechać, nie pozostawiając żadnego wgniecenia w grubej skórze. Jedyne, co w nich było niewłaściwe, to kolor.

- Czerwone? - zdumiała się babcia. - To nie jest kolor dla butów czarownicy.

- Mnie się podoba - odparła niania. Babcia prychnęła niechętnie.

- Pewnie, możesz robić, co chcesz. I jestem pewna, że w obcych stronach godzą się z różnymi zagranicznymi pomysłami. Ale wiesz przecież, co ludzie mówią o kobietach, które noszą czerwone buty.

- Byle tylko mówili też, że mają suche nogi - stwierdziła wesoło niania.

Wcisnęła Jasonowi w rękę klucz do swojego domku.

- Będę pisać wam listy, jeśli obiecasz, że znajdziesz kogoś, kto ci je przeczyta.

- Tak, mam. A co z kotem?

- Greebo rusza z nami, oczywiście.

- Co? Przecież jest kotem! - zaprotestowała babcia Weatherwax. - Nie możemy brać ze sobą kotów! Nie mam zamiaru podróżować z żadnymi kotami! Wystarczy mi podróż ze spodniami i prowokacyjnymi butami!

- Będzie tęsknił za mamunią, jeśli go zostawimy. Prawda? - zagruchała niania Ogg, podnosząc Greeba z ziemi. Zwiślał bezwładnie, jak złapany w połowie bukłak z wodą.

Dla niani Ogg Greebo wciąż był małym kociakiem goniącym za kłębkami wełny.

Dla reszty świata był wielkim kocurem, wypchanym niewiarygodnie niezniszczalną siłą życiową opakowaną w skórę, która mniej przypominała futro, a bardziej kawałek chleba pozostawiony na dwa tygodnie w wilgotnym miejscu. Obcy często się nad nim litowali, bo praktycznie nie miał uszu, a jego morda wyglądała, jakby usiadł na niej niedźwiedź. Nie mogli wiedzieć, że przyczyną tego jest kocia duma Greeba, która kazała mu próbować walczyć albo gwałcić absolutnie wszystko,

aż do czworokonnego wozu z drewnem włącznie. Kiedy Greebo maszerował ulicą, groźne psy skamlały i chowały się pod schodami. Lisy trzymały się z daleka od wioski. Wilki starały się ją omijać.

- To taki wielki pieszczoł - rzekła niania.

Greebo obrzucił babcię Weatherwax żółtokim wzrokiem pełnym zadowolonej z siebie wrogości, jaką koty zwykle rezerwują dla osób, które ich nie lubią. I zamruczał. Był chyba jedynym kotem na świecie, który potrafił prychać drwiąco podczas mruczenia.

- Poza tym - dodała niania - czarownice powinny lubić koty.

- Nie. Takich jak on nie lubią.

- Zwyczajnie nie jesteś kocią osobą, Esme. - Niania mocniej przytuliła Greeba. Jason Ogg odciągnął Magrat na stronę.

- Nasz Sean przeczytał mi w almanachu, że w obcych stronach są takie straszne dzikie bestie - szepnął nerwowo. - Wielkie kosmate stwory, co to skaczą na wędrowców. Tak tam pisało. Nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby skoczyły na mamę albo babcię.

Magrat spojrzała na jego szczere, zaczerwienione oblicze.

- Dopilnuje pani, żeby nic złego im się nie stało, dobrze?

- Nie martw się - odparła w nadziei, że naprawdę nie musi. - Zrobię co w mojej mocy. Jason skinął głową.

- Bo w tym almanachu pisało, że niektóre i tak są już prawie wymarłe - dodał.

Słońce stało już wysoko, kiedy trzy czarownice wzbily się spiralą w niebo. Odlot trochę się opóźnił z powodu oporu miotły babci Weatherwax. Rozruch zawsze wymagał biegania tam i z powrotem. Miotła jakoś nigdy nie chciała zaskoczyć, póki nie popychano jej przez powietrze z dużą prędkością. Wszyscy krasnoludscy mechanicy przyznawali, że to dla nich tajemnica. Tuż z dziesięć razy wymieniali kij i witki.

Kiedy wreszcie miotła wleciała, rozległy się oklaski.

Maleńkie królestwo Lancre zajmowało niewiele więcej niż półkę skalną wyciętą w zboczu Ramtopów. Za nim wznosiły się ku masywom centralnym ostre szczyty przecinane mrocznymi, krętymi dolinami.

Z drugiej strony teren opadał stromo ku równinom Sto, ku błękitnej mgiele lasów, szerokiej płaszczyźnie oceanu, a gdzieś pośrodku ku brązowej plamie znanej jako Ankh-Morpork.

Zaśpiewał skowronek. A w każdym razie próbował, gdyż wznoszący się stromo tuż pod nim czubek kapelusza babci Weatherwax całkiem wybił go z rytmu.

- Wyżej nie lecę - oświadczyła babcia.

- Jeżeli wzniesiemy się wyżej, może zobaczymy, dokąd lecimy - zauważyła Magrat.

- Mówiłaś, że obejrzałaś mapy Dezyderaty - przypomniała jej babcia.

- Ale stąd wszystko wygląda inaczej - poskarżyła się Magrat. - Jest bardziej... sterczące. Myślę, że powinniśmy lecieć... tędy.

- Jesteś pewna?

Tego pytania nie należało zadawać. Zwłaszcza jeśli robiła to babcia Weatherwax.

- Oczywiście.

Niania Ogg przyjrzała się szczytom.

- Dużo wysokich gór z tamtej strony - zauważyła.

Wznosiły się pasmo za pasmem, przyprószone śniegiem, błyszczące spływającymi w dół językami lodowych kryształów. Nikt nie Jeździł na nartach w wysokich Ramtopach, w każdym razie nie dalej niż kilka stóp, zakończonych cichnym krzykiem. Nikt nie biegał po zboczach ze śpiewem, ubrany w dirndle. To nie były góry przyjazne. To były góry z rodzaju tych, do których zimy wyjeżdżają na letnie wakacje.

- Są między nimi przełęcze i różne takie zapewniła trochę niespokojna Magrat.

- Muszą być - zgodziła się niania.

Można użyć dwóch luster, jeśli tylko zna się właściwy sposób. Trzeba ustawić je tak, żeby odbijały siebie nawzajem. Jeśli bowiem obrazy mogą ukraść część duszy, to obrazy obrazów mogą ją wzmocnić, przekazywać ją w siebie, dawać moc...

A obraz sięga coraz dalej i dalej, w odbiciach odbić odbić, a każde z nich jest takie samo, ciągle, wokół całej krzywizny światła.

To prawda, ale niecała.

Lustra mieszczą w sobie nieskończoność.

A nieskończoność mieści w sobie więcej, niż można by przypuszczać.

Na przykład wszystko.

W tym także głód.

Ponieważ jest tam milion miliardów obrazów i tylko jedna dusza dla nich wszystkich.

Lustra dają wiele, ale odbierają mnóstwo.

Góry usuwały się, odsłaniając kolejne góry.

- Jestem pewna, że to właściwa droga - zapewniła Magrat.

Wokół rozciągały się pokryte lodem skały. Trzy czarownice leciały przez labirynt krętych wąskich kanionów, całkiem podobnych do siebie.

- Akurat - mruknęła babcia Weatherwax.

- Sama mi nie pozwoliłaś wznieść się wyżej - przypomniała Magrat.

- Za chwilę zacznie się śnieżyca - ostrzegła niania Ogg. Zbliżał się wieczór.

Światło jak gęsty syrop spływało z głębokich dolin.

- Myślałam... Myślałam, że spotkamy po drodze wioski i takie różne - powiedziała Magrat. - Gdzie można kupić ciekawe miejscowe produkty i znaleźć schronienie w prymitywnych chatach.

- Nawet trole by tu nie zamieszkały - uznała babcia. Trzy miotły wylądowały w nagiej dolinie, drobnym nacięciu w górskim grzbiecie.

- Jest wściekle zimno - powiedziała niania. - A właściwie dlaczego te chaty się nazywają prymitywne?

Babcia Weatherwax zsiadła z miotły i rozejrzała się dookoła. Podniosła i powąchała jakiś kamień. Podeszła do osypiska, które dla Magrat wyglądało całkiem tak samo, jak każde inne osypisko. Babcia szturchnęła je miotłą.

- Hmm - powiedziała.

Kilka płatków śniegu wylądowało jej na kapeluszu.

- No, no - powiedziała.

- Co robisz, babciu? - zdziwiła się Magrat.

- Rozważam.

Babcia podeszła do stromego urwiska i przeszła kawałek, pilnie przyglądając się skałom.

- Aż tutaj? - spytała niania.

- Tak sędzę.

- Trochę dla nich za wysoko, nie wydaje ci się?

- Te małe diabły wszędzie się wcisną. Kiedyś jeden wylazł mi spod kuchni. „Szedłem za żyłą”, powiedział.

- Na nic wtedy nie zważają, to fakt.

- Czy zechcecie mi wyjaśnić - wtrąciła Magrat - co takiego robicie? Co jest ciekawego w stosach kamieni? Śnieg padał coraz gęściej.

- To nie są kamienie. To odpadki - wyjaśniła babcia. Dotarła do płaskiej powierzchni zaśnieżonej skały, według Magrat niczym się nie różniącej od innych skał, dostępnych we wszelkich rozmiarach - odpowiednich, by na nich zamarznąć - wszędzie dookoła. Babcia zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę. Po chwili cofnęła się, uderzyła w skałę miotłą i przemówiła tymi słowy:

- Otwierać, małe łobuzy!

Niania Ogg kopnęła w kamień. Zahuczał głucho.

- Są tu ludzie, którzy zamarzają na śmierć - dodała.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem kawałek skały odsunął się na parę cali. Magrat dostrzegła błysk podejrzliwego oka.

- Słucham?

- Krasnoludy? - zdumiała się.

Babcia Weatherwax schyliła się tak, by jej nos znalazł się na poziomie oka.

- Nazywam się babcia Weatherwax - oznajmiła i wyprostowała się, dumna z siebie.

- A kto to taki? - zapytał głos, dobiegający gdzieś spod oka. Babcia znieruchomiała. Niania Ogg szturchnęła ją lekko.

- Jesteśmy pewnie z pięćdziesiąt mil od domu - przypomniała.

- W tej okolicy mogli o tobie nie słyszeć.

Babcia znów się pochyliła. Z jej kapelusza zsunęła się mała śnieżna zaspą.

- Nie mam do ciebie pretensji - rzekła. - Ale wiem, że macie tam króla, więc po prostu idź i powiedz mu, że jest tu babcia Weatherwax. Dobrze?

- Jest bardzo zajęty - odpowiedział głos. - Mamy drobne kłopoty.

- Na pewno nie zależy mu na większych.

Niewidoczny rozmówca zastanawiał się przez chwilę.

- Kazaliśmy wyryć napis na bramie - poinformował nadąsany.
- Niewidzialnymi runami. Takie porządne niewidzialne runy są bardzo drogie.
- Nie przyleciałam tu czytać bramy - odparła babcia. Rozmówca zawahał się.
- Weatherwax, mówiła pani?
- Tak. Przez W. Jak w słowie „wiedźma”.

Brama zatrasnęła się. Pozostała tylko ledwie widoczna rysa w skale.

Śnieg padał już gęsto. Babcia Weatherwax zrobiła kilka przysiadów, żeby się rozgrzać.

- Oto macie cudzoziemców - zwróciła się do zamrożonego świata.
- Nie sądzę, żeby krasnoludy można nazwać cudzoziemcami - sprzeciwiła się niania Ogg.
- A dlaczego? Krasnolud, który mieszka bardzo daleko, musi być cudzoziemcem. Tyle właśnie znaczy to słowo.

- Tak? Zabawne. Nigdy tak o nich nie myślałam. Wpatrywały się w bramę, a ich oddechy tworzyły trzy małe obłoczki w zapadającym mroku. Magrat przyjrzała się dokładniej.

- Nie widzę tu żadnych niewidzialnych run - stwierdziła.
- Pewnie że nie. - Niania wzruszyła ramionami. - To dlatego że są niewidzialne.

- Właśnie - zgodziła się babcia Weatherwax. - Nie bądź głupia, Magrat.

Brama otworzyła się wreszcie.

- Rozmawiałem z królem - poinformował głos.
- I co powiedział? - spytała zaciekawiona babcia.
- Powiedział: „Nie, tylko nie ona na dodatek”. Babcia rozpromieniła się.
- Wiedziałam, że musiał o mnie słyszeć - rzekła.

Istnieje tysiąc królów cygańskich. Na tej samej zasadzie istnieje tysiąc królów krasnoludów. Słowo to oznacza coś w rodzaju „głównego inżyniera”. Nie ma za to królowych krasnoludów. Krasnoludy bardzo niechętnie zdradzają swoją płęć, którą zresztą większość uważa za niezbyt ważną w porównaniu z takimi sprawami jak metalurgia czy hydraulika.

Król stał¹⁰ wśród tłumu krzyczących górników. Spojrzał na czarownice z miną tonącego, który nagle widzi szklankę wody.

- Rzeczywiście jesteście dobre? - zapytał.

Niania Ogg i babcia Weatherwax spojrzwały na siebie nawzajem.

- On chyba mówi do ciebie, Magrat - odezwała się babcia.

- Bośmy tu mieli duży zawał w sztolni dziewiętej - wyjaśnił król. - Marnie to wygląda. Nieodwracalnie zablokowało nam bardzo obiecującą żyłę złotonośnego kwarcu.

Któryś z krasnoludów mruknął coś niegłośnie.

- A tak. I jeszcze paru chłopaków - dodał ogólnikowo król. - A potem wyście się zjawiły. Tak że moim zdaniem to chyba zrzącenie losu.

Babcia Weatherwax strzepnęła śnieg z kapelusza i rozejrzała się wokoło.

Wbrew sobie, była pod wrażeniem. Obecnie rzadko widuje się prawdziwe krasnoludzkie hale. Większość krasnoludów wyniosła się z gór i zarabia duże pieniądze w miastach na równinach, gdzie o wiele łatwiej być krasnoludem. Na przykład nie trzeba prawie całego życia spędzać pod ziemią, obijać sobie młotkiem kciuków ani martwić się o fluktuacje na międzynarodowym rynku metali. Brak szacunku dla tradycji - oto podstawowy problem dzisiejszych czasów. Weźmy takie trolle. Więcej trolli mieszkało obecnie w Ankh-Morpork niż w całym paśmie górskim. Babcia Weatherwax osobiście nie miała nic przeciwko trollom, jednak instynktownie wyczuwała, że gdyby większa ich liczba przestała nosić garnitury i chodzić w pozycji wyprostowanej, a powróciła do mieszkania pod mostami, straszenia i pożerania ludzi, tak jak to zaplanowała Natura, świat byłby miejscem szczęśliwszym.

- Lepiej pokażcie nam, gdzie macie kłopoty - zaproponowała. - Rozumiem, że zawałiła się masa skał.

- Słucham? - nie zrozumiał król.

Mówi się często, że Eskimosi znają pięćdziesiąt słów określających śnieg¹¹.

To nieprawda.

Mówi się także, że krasnoludy mają dwieście słów określających skałę.

¹⁰ Wiele co bardziej tradycyjalistycznych plemion krasnoludów w ogóle nie posiada żeńskich form czasownikowych ani żeńskich zaimków. W związku z tym zaloty krasnoludów wymagają od nich niezwyklego taktu i wyczulonego zmysłu dotyku.

¹¹ No, może nie bardzo często. W każdym razie nie co dzień. A przynajmniej nie wszędzie. Ale prawdopodobnie w jakichś zimnych krainach ludzie powtarzają: „Wiecie, ci Eskimosi... Co za ludzie! Pięćdziesiąt określeń na śnieg! Dacie wiarę? Niesamowite!”. I robią to w miarę często.

Nie mają. Nie mają słów określających skały, tak jak ryby nie mają słów określających wodę. Krasnoludy mają określenia na skałę wulkaniczną, skałę osadową, skałę metamorficzną, skałę pod nogami, skałę spadającą na hełm z góry, skałę, która wydawała się interesująca i którą - mogliby przysiąc - zostawili wczoraj właśnie w tym miejscu. W ich języku nie ma tylko słowa oznaczającego „skałę”. Jeśli pokaże się krasnoludowi odłamek skały, on zobaczy niezbyt obiecujący kawałek krystalicznego siarczynu barytu.

Albo, w tym przypadku, około dwustu ton miękkich łupków. Kiedy czarownice przybyły na miejsce katastrofy, dziesiątki krasnoludów pracowało gorączkowo, by podstemplować pęknięty strop i oczyścić rumowisko. Niektórzy płakali.

- To straszne... straszne - wymruczał jeden z nich. - Co za nieszczęście.

Magrat podała mu chusteczkę. Głośno wytarł nos.

- To może oznaczać obsunięcie wzdłuż linii uskoku, a wtedy straciliśmy cały pokład - powiedział, kręcąc głową. Inny krasnolud poklepał go po ramieniu.

- Spójrz na to z innej strony - pocieszył. - Zawsze możemy pociągnąć poziomy tunel od sztolni piętnastej. W końcu znowu na nie trafimy, nie ma obawy.

- Przepraszam bardzo - wtrąciła Magrat. - Ale w tym tunelu utknęły krasnoludy, prawda?

- A tak - przyznał król.

Jego ton sugerował, że to zaledwie godny pożałowania uboczny skutek katastrofy, ponieważ uzyskanie nowych krasnoludów jest tylko kwestią czasu, a porządna złotonośna ruda nie trafia się często.

Babcia Weatherwax dokładnie obejrzała zawał.

- Wszyscy powinni stąd wyjść - oznajmiła. - To sprawa dość osobista.

- Rozumiem - zapewnił król. - Tajemnice zawodowe...

- Coś w tym rodzaju.

Król przegonił krasnoludów i czarownice zostały same w słabym świetle latarni. Kilka kamyków odpadło od sklepienia.

- Hmm - rzekła babcia.

- Wpakowałaś nas w kłopoty - poskarżyła się niania.

- Wszystko jest możliwe, jeśli się człowiek przyłoży.

- Więc lepiej się przyłoż, Esme, i to solidnie. Gdyby Stwórca chciał, żebyśmy przemieszczały kamienie z pomocą magii, nie stworzyłby łopat. Prawdziwa

czarownica to osoba, która wie, kiedy należy użyć łopaty. I zostaw te taczki, Magrat. Nie znasz się na maszynach.

- No dobrze - zgodziła się Magrat. - Ale możemy użyć różdżki. Babcia Weatherwax parsknęła z lekceważeniem.

- Phi! Tutaj? Kto słyszał o wróżce w kopalni?

- Gdybym to ja była uwięziona za masą kamieni pod górą, na pewno chciałabym o niej usłyszeć - odparła gniewnie Magrat. Niania Ogg kiwnęła głową.

- Ona ma rację, Esme. Nie ma reguł mówiących, gdzie można być wróżką.

- Nie ufam różdżkom - oświadczyła babcia. - Kojarzą mi się z magami.

- Bez przesady - zaprotestowała Magrat. - Używały jej całe pokolenia wróżek.

Babcia Weatherwax zamachała rękami.

- Dobrze, dobrze, dobrze - burknęła. - Rób, co chcesz. Najwyżej wyjdiesz na wariatkę.

Magrat wyjęła różdżkę z torby. Obawiała się tej chwili. Różdżka była zrobiona chyba z jakiejś kości, może słoniowej. Magrat miała nadzieję, że to jednak nie jest kość słoniowa. Kiedyś zapewne nosiła jakieś oznaczenia, ale pokolenia pulchnych, wróżkowych, matczyno-chrzestnych dłoni wytarły je prawie do gładkości. Wstawiono w nią kilka złotych i srebrnych pierścieni. I nigdzie nie zamieszczono instrukcji. Nawet jedna runa czy symbol nie wskazywały, jak właściwie powinno się różdżkę obsługiwać.

- Chyba powinnaś nią machnąć - podpowiedziała niania Ogg. - Jestem prawie pewna, że tak się to robi.

Babcia Weatherwax skrzyżowała ręce na piersi.

- To nie są przyzwoite czary - stwierdziła.

Magrat machnęła różdżką na próbę. Nic się nie stało.

- Może trzeba coś powiedzieć? - zgadywała niania. Magrat wyraźnie wpadła w panikę.

- Ale co mówią wróżki chrzestne? -jęknęła.

- Ehm... - odpowiedziała niania. - Nie wiem.

- Ha! - rzekła babcia. Niania Ogg westchnęła.

- Czy Dezyderata niczego ci nie mówiła?

- Niczego.

Niania wzruszyła ramionami.

- Po prostu postaraj się jak najlepiej.

Magrat spojrzała w skupieniu na stos kamieni. Zamknęła oczy. Nabrała tchu. Starła się uczynić swój umysł spokojnym odbiciem kosmicznej harmonii. Łatwo jest mnichom mówić o kosmicznej harmonii, pomyślała. Siedzą sobie w ośnieżonych górach i muszą się przejmować tylko yeti. Nigdy nie próbowali szukać wewnętrznego spokoju pod gniewnym wzrokiem babci Weatherwax.

Machnęła różdżką dość przypadkowo, próbując usunąć z myśli obraz dyń.

Poczuła ruch powietrza. Niania Ogg syknęła.

- Udało się? - spytała Magrat.

- Tak... - odpowiedziała niania po chwili. - Mniej więcej. Mam tylko nadzieję, że są głodni.

A babcia Weatherwax dodała:

- Jeśli na tym ma polegać praca wróżki...

Magrat otworzyła oczy.

Stos wciąż tam leżał, ale nie składał się już z kamieni.

- Chyba... Czekajcie... Chyba coś tam mlasnęło! - zawołała niania.

Magrat otworzyła oczy szerzej.

- Ciągłe dynie?

- Mlasnęło. Mlaśnięcie - powtórzyła niania na wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał.

Szczyt stosu poruszył się lekko i kilka mniejszych dyń potoczyło się w dół, niemal do stóp Magrat. W otworze pojawiła się nieduża krasnoludzia twarz.

Spojrzała z góry na czarownicę.

Po dłuższej chwili odezwała się niania Ogg.

- Wszystko w porządku?

Krasnolud kiwnął głową. Wciąż zerknął na stos dyń, wypełniający korytarz aż po strop.

- No... tak - powiedział. - Jest tu ojciec?

- Ojciec?

- Król.

- Aha. - Niania złożyła dłonie przy ustach i huknęła w głąb tunelu: - Hej! Królu!

Przybiegły krasnoludy. One też patrzyły zdumione na dynie. Król wystąpił do przodu i stanął przed synem.

- Wszystko w porządku, synu?

- W porządku, tato. Żadnych uskoków ani nic.

Król odetchnął z ulgą. Po czym, jakby z obowiązku, dodał:

- Nikomu nic się nie stało?

- Nie, tato.

- Trochę się martwiłem. Mogliście wejść w pokład konglomeratu albo co.

- To tylko warstwa luźnego łupku, tato.

- Świetnie. - Król znowu spojrzął na stos. Poskrobał się po brodzie. - Trudno nie zauważyć, synu, że trafiliście na dynie.

- Myślałem, że to jakaś dziwna odmiana piaskowca, tato.

Król wrócił do czarownic.

- Czy możecie zmienić wszystko we wszystko? - zapytał z nadzieją.

Niania Ogg zerknęła na Magrat, która wciąż ze zdumieniem wpatrywała się w różdżkę.

- Obawiam się, że na razie możemy zaproponować tylko dynie - odparła ostrożnie.

Król wydał się nieco rozczarowany.

- No cóż - rzekł. - Gdybym mógł zrobić coś dla szanownych pań, na przykład zaproponować filiżankę herbaty albo coś...

Wystąpiła babcia Weatherwax.

- Sama właśnie o czymś takim myślałam - oświadczyła.

Król rozpromienił się.

- Tylko bardziej kosztownym - dodała.

Król przestał promienieć.

Niania Ogg podeszła do Magrat, która potrzasała różdżką i przyglądała się jej w osłupieniu.

- Bardzo sprytne - szepnęła. - A dlaczego pomyślałaś o dyniach?

- Nie pomyślałam!

- Nie wiesz, jak to działa?

- Nie! Myślałam, no wiesz, że trzeba tylko chcieć, żeby coś się stało.

- Prawdopodobnie chodzi o coś więcej niż tylko chcenie - stwierdziła niania Ogg tak życzliwie, jak tylko potrafiła. - Zwykle chodzi.

W porze świtu, o ile w kopalniach zdarza się świt, czarownice doprowadzono do ukrytej głęboko w górach rzeki, gdzie stało kilka barek. Do kamiennego pomostu zacumowano małą łódkę.

- Przeprowadzi was przez góry - zapewnił król. - Prawdę mówiąc, myślę, że płynie do samej Genoi. - Z któregoś z krasnoludów zdjął wielki worek. - Zapakowaliśmy wam pyszne jedzenie - dodał.

- Mamy całą drogę przepłynąć łódką? - zdziwiła się Magrat. Kilka razy dyskretnie pomachała różdżką. - W łódkach nie czuję się najlepiej.

- Posłuchaj - powiedziała babcia Weatherwax, wchodząc na pokład. - Rzeka zna drogę przez góry, a to więcej niż my wiemy. Miotel można użyć później, kiedy okolica odzyska trochę rozsądku.

- Zresztą przyda się nam odpoczynek - dodała niania, wsiadając. Dwie czarownice usadowiły się na rufie niczym para kwok moszczących się w gnieździe.

- Potraficie wiosłować? - zapytała Magrat.

- Nie musimy - odparła babcia.

Magrat smętnie pokiwała głową. Po chwili jednak na powierzchni jej myśli błysnęła perła asertywności.

- Ja chyba też nie - oświadczyła.

- Nic nie szkodzi - zapewniła ją niania. - Kiedy zobaczymy, że robisz coś nie tak jak trzeba, na pewno ci powiemy. Do zobaczenia, wasza królewska mość.

Magrat westchnęła i chwyciła wiosła.

- Te płaskie kawałki zanurza się w wodzie - podpowiedziała babcia.

Krasnoludy machały im na pożegnanie. Łódka zdryfowała na środek nurtu; płynęła powoli w kręgu światła latarni. Magrat odkryła, że całkiem wystarczy, jeśli będzie utrzymywać dziób zgodnie z prądem.

Usłyszała słowa niani.

- Nie rozumiem, dlaczego zawsze wypisują na bramach niewidzialne runy. Rozumiesz, płacisz jakiemuś magowi, żeby wypisał ci na drzwiach niewidzialne runy, ale skąd potem masz wiedzieć, że nie wziął pieniędzy za darmo?

Usłyszała odpowiedź babci.

- To żaden problem. Jeśli ich nie widzisz, to znaczy, że to prawdziwe niewidzialne runy. I znowu nianię.

- Aha, na pewno o to chodzi. No dobrze, zobaczymy, co mamy na obiad.

Coś zaszeleściło.

- No, no, no...

- Co to jest, Gytho?

- Dynia.

- Jaka dynia?

- Nijaka. Dyniowata dynia.

- No cóż, przypuszczam, że dysponowali nadmiarem dyni -uznała Magrat. -
Wiecie, jak to jest pod koniec lata, zawsze strasznie dużo ich rośnie na grządkach.
Wychodzę z siebie, żeby wymyślić nowe typy sosów i marynat i jakoś je wszystkie
zużyć.

W słabym świetle dostrzegła minę babci Weatherwax, która zdawała się
sugerować, że jeśli nawet Magrat wychodzi z siebie, to nie jest to długa droga.

- Ja - oświadczyła babcia - nigdy w życiu nie robiłam żadnych marynat.

- Ale lubisz marynaty - przypomniała jej Magrat. Czarownice i marynaty pasują
do siebie jak... Zawahała się przed zaciskającym żołądek porównaniem do brzoskwiń
i bitej śmietany, więc zastąpiła je w myślach przez „rzeczy, które dobrze do siebie
pasują”. Widok ostatniego zęba niani Ogg, pracującego nad marynowaną cebulką,
mógł doprowadzić człowieka do łez.

- Owszem, lubię - przyznała babcia. - Kiedy mi je dają.

- A wiecie - wtrąciła niania, badając zakamarki kosza - kiedy załatwiam
cokolwiek z krasnoludami, zawsze przychodzi mi na myśl określenie „sknery”.

- Skąpe łobuzy. Żebyście wiedziały, jakie ceny próbują mi dyktować za
każdym razem, kiedy naprawiają miotłę - mruknęła babcia.

- Przecież nigdy nie płacisz.

- Nie w tym rzecz. Nie powinno się im pozwalać na żądanie takich pieniędzy.
To zwykła kradzież, ot co.

- Nie rozumiem, jak mogą cię okradać, jeżeli i tak nie płacisz - nie ustępowała
Magrat.

- Nigdy za nic nie płacę - odparła babcia. - Ludzie nie pozwalają mi płacić. Nic
przecież nie poradzę na to, że stale mi coś dają, prawda? Kiedy przechodzę ulicą,
wybiegają z właśnie upieczonym ciastem, świeżym piwem i starymi ubraniami, które
prawie wcale nie były noszone. „Pani Weatherwax, proszę wziąć ten koszyk jajek”,
mówią. Ludzie zawsze są bardzo uprzejmi. Jeśli traktujesz ich grzecznie, oni też
traktują cię grzecznie. Na tym polega szacunek. Nie musisz płacić - dokończyła
surowo. - Na tym właśnie polega czarownictwo.

- A to co?! - zawołała niania Ogg, wyjmując nieduży pakunek. Rozwinęła papier i pokazała koleżankom kilka twardych brązowych krążków.

- Coś podobnego - zdziwiła się babcia Weatherwax. - Wycofuję wszystkie zarzuty. To przecież słynny chleb krasnoludów. Nie dają go byle komu.

Niania postukała chlebem o burtę łódki. Wydał dźwięk bardzo podobny do tego, który wydaje drewniana linijka upuszczona na blat biurka: rodzaj głuchego „boioioing”.

- Podobno nigdy nie czerstwieje, nawet przez lata - stwierdziła babcia.

- I podtrzymuje siły całymi dniami - dodała niania. Magrat wzięta jeden z płaskich bochenków, spróbowała rozłamać go na pół i zrezygnowała.

- To się je? - spytała.

- Nie przypuszczam, żeby był przeznaczony do jedzenia - uznała niania. - Raczej do...

- Do podtrzymywania sił - odpowiedziała babcia. - Podobno...

Urwała.

Wśród szumu podziemnej rzeki, zakłócanego czasem pluskiem spadających ze sklepienia kropli, usłyszały ciche chlupanie. Ktoś wiosłował za nimi.

- Gonią nas! - syknęła Magrat.

Na granicy kręgu światła lampy pojawiły się dwie blade plamy, które okazały się oczami niewielkiego szarego stworzenia, podobnego trochę do żaby. Wiosłowało rękami, leżąc na kłodzie.

Dogoniło łódź. Długie, wilgotne palce chwyciły burtę i przed nianią Ogg pojawiło się smutne oblicze.

- Dossskonale - powiedziało. - Dziś ssssą moje urodziny...

Wszystkie trzy przez chwilę wpatrywały się w przybysza. W końcu babcia Weatherwax ujęła wiosło i mocno uderzyła go w głowę.

Rozległ się plusk i coraz cichsze przekleństwa.

- Paskudny mały stwór - stwierdziła babcia, gdy powiosłowały dalej. - Nie podobał mi się.

- Fakt - przyznała niania. - Trzeba uważać na takich oślizłych.

- Ciekawe, czego chciał - zastanowiła się Magrat.

Pół godziny później łódka wypłynęła z jaskini w wąski kanion między dwoma urwiskami. Lód błyszczał na skałach, a na wystających z wody kamieniach leżały śnieżne czapy. Niania Ogg rozejrzała się z niewinną miną, sięgnęła między swe liczne spódnice i wydobyła niedużą butelkę. Rozległ się cichy bulgot.

- Założę się, że jest tu nieźle echo - stwierdziła po chwili.
- Nawet nie próbuj - ostrzegła babcia.
- Czego mam nie próbować?
- Nie śpiewaj Tej Piosenki.
- Nie rozumiem, Esme.
- Nigdzie dalej nie jadę, jeśli spróbujesz zaśpiewać Tę Piosenkę.
- Jaką piosenkę możesz mieć na myśli? - spytała niania.
- Wiesz, o czym mówię - odparła lodowato babcia. - Zawsze się upijasz i przynosisz mi wstyd, bo zaczynasz ją śpiewać.
- Nie przypominam sobie żadnej takiej piosenki, Esme - zapewniła niania.
- To ta o kolczastym gryzoniu, którego nie da się... nie da się namówić na powietrzną przejażdżkę.
- Aha... - Niania Ogg rozpromieniła się, pojmując wreszcie, o co chodzi przyjaciółce. - Mówisz o Tylko jeża przele...
- Właśnie o niej!
- Ale to tradycyjna piosenka. Zresztą w obcych stronach i tak nie rozumieją słów.
- Zrozumieją ze sposobu, w jaki śpiewasz. Śpiewasz tak, że nawet stworzenia żyjące na dnie stawu rozumieją, o co chodzi.

Magrat wyrzała za burtę. Tu i tam na wodzie pojawiły się białe zmarszczki. Nurt przyspieszył i niósł kawałki lodu.

- To tylko ludowa piosenka, Esme - upierała się niania Ogg.
- Ha! - zawołała babcia Weatherwax. - Oczywiście, że ludowa. Znam się na ludowych piosenkach. Ha! Wydaje ci się, że słuchasz miłej piosenki o... o kukułkach, skrzypkach, słowikach i czym tam jeszcze, a potem nagle się okazuje, że są o... o czymś całkiem innym - dokończyła posępnie. - Nie wolno ufać ludowym piosenkom. Zawsze człowieka oszukają.

Magrat odepchnęła łódkę od wystającego głazu. Zakręciły się wolno w wirze.

- Znam taką o dwóch małych ptaszkach - zaproponowała niania Ogg.

- Może zaczyna się o dwóch ptaszkach, ale mogę się założyć, że na końcu jest znowu jakaś dziwna metyfora - odparła babcia.

- Tego... babciu - odezwała się Magrat.

- Wystarczy, że Magrat opowiedziała mi o gaikach i o tym, co naprawdę przedstawiają - mówiła dalej babcia. - Kiedyś lubiłam oglądać gaiki na wiosnę - dodała z żalem.

- Wydaje mi się, że rzeka jest bardziej wzburzona - oznajmiła Magrat.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą tych rzeczy zostawić w spokoju.

- Naprawdę wzburzona... - Magrat wiosłem odepchnęła łódkę od ostrej skały.

- Ona ma rację - poparła ją niania Ogg. - Rzeczywiście trochę kołysze.

Babcia spojrzała ponad ramieniem Magrat na rzekę przed dziobem. Wyglądała jak odcięta - taki widok zwykle kojarzy się na przykład z bliskim wodospadem. Łódka mknęła szybko. Słyszały przytłumiony huk.

- Nic nie mówili o wodospadzie - zauważyła babcia.

- Uznali pewnie, że same go znajdziemy - odparła niania Ogg. Szybko spakowała swoje rzeczy i za kark podniosła Greeba z dna. -Przeciętny krasnolud zawsze jest oszczędny w słowach. Dzięki bogom, że czarownice pływają w wodzie. Zresztą wiedzieli, że mamy miotły.

- Wy macie miotły - przypomniała babcia Weatherwax. - Niby jak mam uruchomić swoją w łódce? Przecież nie mogę tu biegać. I przestań się tak rozpychać, bo w końcu nas...

- Zabierz nogę, Esme... Łódka zakołysała się gwałtownie.

Magrat nie traciła równowagi. Wyjęła różdżkę w chwili, kiedy przez burzę przelała się nieduża fala.

- Nie martwcie się - uspokoiła starsze koleżanki. - Użyję różdżki. Chyba już rozumiem, jak działa...

- Nie! - krzyknęły chórem babcia Weatherwax i niania Ogg. Rozległ się głośny plusk. Łódka zmieniła kształt... a także kolor. Teraz była jasnopomarańczowa.

- Dynie! - wrzasnęła niania Ogg, wolno zsuwając się do wody. - Znowu te przeklęte dynie!

Lilith wyprostowała się. Łód na brzegach rzeki nie był tak wygodny jak lustro, ale wystarczał.

No dobrze. Nijaka dziewczyna, bardziej się nadająca na podopieczną wróżki chrzestnej, niż do pełnienia jej roli. I ta mała starucha w typie sprzątaczk, która upija się i śpiewa. No i różdżka, której ta głupia dziewczyna nie potrafi używać.

To irytujące. Więcej nawet: to poniżające. Z pewnością Dezyderata i pani Gogol mogły znaleźć kogoś lepszego. Status człowieka określa się na podstawie siły jego wrogów.

Oczywiście, jest jeszcze ona. Po tylu latach...

Naturalnie. Godziła się z tym. Ponieważ musi ich być trzy. Trzy to ważna liczba dla opowieści. Trzy życzenia, trzech książąt, trzy świnki, trzy zagadki... trzy czarownice. Panna, matka i... i ta trzecia. To jedna z najstarszych opowieści.

Esme Weatherwax nigdy nie rozumiała opowieści. Nigdy nie rozumiała, jak rzeczywiste są odbicia. Gdyby umiała to pojąć, prawdopodobnie w tej chwili rządziłaby światem.

- Ciągłe patrzysz w lustra! - odezwał się nadąsany głos. - Nie znoszę, kiedy tak ciągle patrzysz w lustra.

Duc wyciągnął się na fotelu w rogu - cały w czarnym jedwabiu, z dobrze umięśnionymi nogami. Normalnie Lilith nikomu nie pozwalała wchodzić do swego lustrzanego gniazda, ale formalnie to przecież jego zamek. Poza tym był zbyt próżny i zbyt głupi, żeby pojąć, co się dzieje. Tego dopilnowała. A przynajmniej tak jej się wydawało. Ostatnio zaczynał zbyt wiele rozumieć...

- Nie wiem, czemu musisz to robić - poskarżył się. - Zawsze myślałem, że do czarów wystarczy wskazać coś i już.

Lilith włożyła kapelusz i poprawiła go przed lustrem.

- W ten sposób jest bezpieczniej - wyjaśniła. - Czar jest samowystarczalny. Kiedy korzystasz z magii luster, nie musisz polegać na nikim oprócz siebie. Dlatego nikt jeszcze nie zdobył świata z pomocą czarów... na razie. Próbują czerpać moc... z innych miejsc. Ale zawsze muszą zapłacić pewną cenę. Z lustrami jest inaczej, tu nie spogląda na ciebie nikt prócz twojej własnej duszy.

Opuściła woalkę. Kiedy wychodziła poza bezpieczną osłonę luster, wołała zachowywać anonimowość.

- Nienawidzę luster - mruknął Duc.

- Dlatego że mówią ci prawdę, mój chłopcze.

- Więc to okrutne czary.

Lilith ułożyła woalkę w zalotne fałdy.

- O tak. Z lustrami cała moc pochodzi z ciebie. Nie ma skąd się brać - powiedziała.

- Kobieta z bagien czerpie ją z bagna.

- Ha! I to bagno ją kiedyś pochłonie. Sama nie rozumie, co robi.

- A ty rozumiesz?

Poczuła dumę. Naprawdę miał do niej pretensje! Rzeczywiście wykonała dobrą robotę.

- Rozumiem opowieści - odparła. - To mi wystarczy.

- Ale nie sprowadziłaś mi dziewczyny - przypomniał Duc. - Obiecałaś mi dziewczynę. A wtedy wszystko się skończy, będę mógł spać w normalnym łóżku i nie będę już potrzebował odbijających czarów.

Cóż, nawet dobra robota może się okazać przesadzona.

- Masz już dość czarów? - spytała słodko Lilith. - Chciałbyś, żebym przestała? To najłatwiejsza rzecz, na świecie. Znalazłam cię w rynsztoku. Wolisz, żebym cię tam odesłała?

Panika wykrzywiła mu twarz.

- Nie o to mi chodziło! Ja tylko... Przecież wtedy wszystko będzie prawdziwe. Wystarczy jeden pocałunek, mówiłaś. Nie rozumiem, dlaczego tak trudno to zorganizować.

- Odpowiedni pocałunek w odpowiedniej chwili - stwierdziła Lilith. - Nie uda się, jeśli chwila nie będzie właściwa.

Uśmiechnęła się. Duc drżał - częściowo z pożądania, głównie ze zgrozy, a trochę z powodu swego dziedzictwa.

- Nie martw się - pocieszyła go. - To nie może się nie zdarzyć.

- A te czarownice, które mi pokazałaś?

- Są tylko... częścią opowieści. Nie martw się nimi. Opowieść je wchłonie. A ty zdobędziesz dziewczynę dzięki opowieściom. Czy to nie piękne? Chodźmy już. Musisz przecież sprawować rządy.

Zrozumiał intonację: to był rozkaz. Wstał, podał jej ramię i razem zeszli do pałacowej sali przyjęć.

Lilith była dumna z Duca. Oczywiście, pozostał ten kłopotliwy problem nocny, ponieważ kiedy spał, słabło jego pole morficzne. Ale na razie nie był to poważny

kłopot. Kłopot sprawiały zwierciadła, które pokazywały go w prawdziwej postaci, lecz z tym poradziła sobie bez trudu, zakazując wszelkich luster oprócz jej własnych. No i oczy... Z oczami nic nie mogła zrobić. Praktycznie żadne czary nie potrafiły zmienić oczu. Najlepsze, co zdołała wymyślić, to okulary z przydymionymi szklami.

Mimo wszystko był jej wielkim dziełem. I czuł tak wielką wdzięczność. Była dla niego dobra.

Przede wszystkim zrobiła z niego mężczyznę.

Nad rzeką, nieco poniżej wodospadu - drugiego co do wysokości na całym Dysku i odkrytego przez znanego podróżnika Guya de Yoyo¹² w Roku Obrotowego Kraba - babcia Weatherwax siedziała przy niewielkim ognisku z ręcznikiem na ramionach i parowała.

- Zawsze są jakieś jasne strony - powiedziała niania Ogg. - Przynajmniej trzymałam swoją miotłę i ciebie równocześnie. A Magrat miała swoją. Gdyby nie to, oglądaliśmy teraz wodospad od dołu.

- Świetnie. Pocieszyłaś mnie - zapewniła babcia, a oczy błysnęły jej groźnie.

- To właściwie przygoda. - Niania uśmiechnęła się zachęcająco. - Pewnego dnia będziemy to wszystko wspominać i pękać ze śmiechu.

- Świetnie - powtórzyła babcia.

Niania rozarta ślady pazurów na ramieniu. Greebo, z prawdziwym kocim instynktem samozachowawczym, wdrapał się na swoją panią i skoczył w bezpieczne miejsce z jej głowy. Teraz zwinął się w kłębek przy ognisku i śnił kocie sny.

Cień przemknął nad nimi - to Magrat przeczesywała brzegi rzeki.

- Chyba znalazłam wszystko - oznajmiła zaraz po lądowaniu. - Tu jest miotła babci. I... o tutaj... różdżka. - Uśmiechnęła się mężnie. - Małe dynie wypływały na powierzchnię. Tak ją znalazłam.

- A niech mnie. Miałaś szczęście - uznała niania Ogg. - Słyszałaś, Esme? Przynajmniej żywności nam nie braknie.

- Znalazłam też kosz z chlebem krasnoludów - dodała Magrat.

- Chociaż obawiam się, że spleśnieje.

¹² Oczywiście, liczne miejscowe krasnoludy, trolle, okoliczni mieszkańcy, traperzy, myśliwi i zwyczajnie zagubieni w górach od tysięcy lat odkrywali go praktycznie codziennie, ale nie byli podróżnikami, więc się nie liczą.

- Na pewno nie, możesz mi wierzyć - uspokoiła ją niania Ogg.

- Chleb krasnoludów nigdy nie pleśnieje. No tak... - Usiadła. - Urządziliśmy sobie całkiem miły piknik, prawda? Mamy ognisko... i wygodne miejsce do siedzenia i... Na pewno wielu biednych ludzi z takich okolic jak Howondaland i podobnych dałoby wiele, żeby w tej chwili znaleźć się na naszym miejscu...

- Jeśli nie przestaniesz być taka radosna, Gytho, to ci przyłożę w ucho! - zagroziła babcia Weatherwax.

- Jesteś pewna, że nie bierze cię przeziębienie? - zatroskała się niania.

- Właśnie wysycham. Od środka.

- Posłuchajcie, naprawdę mi przykro - zapewniła Magrat. - Przecież powiedziałam, że przepraszam.

Co prawda nie całkiem wiedziała za co. Nie ona przecież wpadła na pomysł podróży łódką. Nie ona umieściła na rzece wodospad. A nawet ze swojego miejsca nie mogła go wcześniej zauważyć. Owszem, zamieniła łódkę w dynię, ale to przecież niechcący. Coś takiego mogło się zdarzyć każdemu.

- Udało mi się ocalić książki Dezyderaty - dodała.

- Co za szczęście - odetchnęła niania Ogg. - Teraz będziemy wiedziały, gdzie się zgubiliśmy.

Rozejrzała się. Pokonały już najwyższe góry, ale nadal wokół widziała szczyty i łąki rozciągające się aż do linii śniegu. Gdzieś z daleka dobiegał głos dzwonków.

Magrat rozłożyła mapę. Papier był pognieciony i mokry, a linie rozmazane. Wskazała palcem poplamiony kawałek.

- Myślę, że jesteśmy tutaj.

- Coś takiego... - zdziwiła się niania, której pojęcie o zasadach kartografii było jeszcze mniejsze niż babci. - Zadziwiające, jak wszystkie możemy się zmieścić na takim małym kawałku papieru.

- Wydaje mi się, że w tej chwili najlepiej będzie podążać wzdłuż rzeki - zaproponowała Magrat. - Ale absolutnie nie po niej - dodała szybko.

- Przypuszczam, że nie znalazłaś mojej torby? - zapytała babcia. - Były tam rzeczy osobiste.

- Pewnie poszła na dno jak kamień - stwierdziła niania. Babcia Weatherwax wstała niczym generał, który właśnie otrzymał wiadomość, że jego armia zajęła drugie miejsce.

- Ruszamy - rzekła. - Dokąd teraz?

Czarownice leciały nad lasem - ciemnym i okrutnie iglastym. Milczały. Od czasu do czasu mijały samotne domki, na wpół ukryte pod drzewami. Tu i tam z drzewnego mroku wyłaniała się skalna grań, nawet w popołudniowej porze spowita mgłą. Raz czy dwa przeleciały niedaleko zamków, jeśli można je tak nazwać; wydawały się nie tyle zbudowane, ile raczej wypchnięte z pejzażu.

Był to taki typ pejzażu, z którym łączył się pewien gatunek opowieści. Występowały w nich wilki, czosnek i przerażone kobiety... Mroczne i spragnione opowieści - opowieści, które machały skrzydłami na tle księżyca...

- Der flabberghast - mruknęła niania.

- Co to znaczy?

- To w zagranicznym języku nietoperz.

- Zawsze lubiłam nietoperze -wyznała Magrat. - Tak ogólnie. Bez jednego słowa czarownice zwały szyk lotu.

- Jeść mi się chce - oznajmiła babcia Weatherwax. - I tylko niech nikt nie wspomina o dyniach.

- Jest jeszcze chleb krasnoludów - przypomniała niania.

- Zawsze jest chleb krasnoludów. Mam ochotę na coś przygotowanego w tym roku, ale dziękuję za troskę.

Przeleciały w pobliżu kolejnego zamku, zajmującego cały skalisty szczyt.

- Przydałoby się jakieś ładne miasteczko albo coś takiego-westchnęła Magrat.

- Ale musi nam wystarczyć to na dole - odparła babcia. Spojrzały.

Właściwie nie było to miasteczko, lecz kilka domów stojących koło siebie na tle drzew. Wydawały się niegościnne jak wystygły kominek, jednak cienie gór pędziły już po ziemi, a coś w krajobrazie milcząco zniechęcało do nocnych lotów.

- Nikogo tam nie widzę - stwierdziła babcia.

- Może w tych stronach wcześniej się kładą? - zgadywała niania.

- Przecież nawet słońce jeszcze nie zaszło - zdziwiła się Magrat.

- Może powinniśmy lecieć do zamku? Obejrzały się na zamek.

- Nieeee... - uznała babcia, mówiąc w imieniu wszystkich trzech.

- Znamy swoje miejsce.

Wylądowały więc na czymś, co było zapewne placem targowym. Gdzieś za domami zaszczekał pies. Trzasnęła zamykana okiennica.

- Bardzo przyjaźni - mruknęła babcia.

Podeszła do większego budynku, nad którego wejściem wisiał szyld, nieczytelny pod warstwą brudu. Kilka razy mocno uderzyła w drzwi.

- Otwierać! - zawołała.

- Nie, nie. Nie tak się mówi - zaprotestowała Magrat. Przecisnęła się obok babci. - Bardzo przepraszam. Jesteśmy bona fide wędrowcami.

- Bona co? - nie zrozumiała niania.

- To właśnie należy powiedzieć - wyjaśniła Magrat. - Każda gospoda musi wpuścić bona fide wędrowców i udzielić im pomocy.

- Musi? - Niania zainteresowała się wyraźnie. - Dobrze wiedzieć.

Drzwi wciąż były zamknięte.

- Teraz ja spróbuję - postanowiła niania. - Znam trochę zagranicznego języka. Walnęła w drzwi.

- Otwierać vous, gunga din, rach-ciach, ale szybko, do licha! - powiedziała.

Babcia Weatherwax przysłuchiwała się z uwagą.

- Mówisz po zagranicznemu?

- Mój wnuk Shane jest marynarzem. Zdziwiłabyś się, jakich słów uczy się w obcych stronach.

- Chyba naprawdę bym się zdziwiła. I mam nadzieję, że używa ich lepiej od ciebie.

Znowu uderzyła pięścią o drewno. I tym razem drzwi uchyliły się nieco, bardzo powoli, i wyjrzała zza nich blada twarz.

- Przepraszam... - zaczęła znowu Magrat. Babcia pchnęła drzwi. Właściciel twarzy musiał się o nie opierać, bo buty zgrzytnęły mu o podłogę, kiedy wolno odjeżdżał do tyłu.

- Pokój temu domowi - rzuciła niedbale babcia.

Było to najlepsze dla czarownicy powitanie. Pozwalało ludziom skupić się na tym, jakie inne rzeczy mogą spaść na ten dom, i przypominało im o świeżym cieście, właśnie upieczonym chlebie albo tobołkach użytecznej starej odzieży, które mogły na chwilę wypaść im z pamięci.

Budynek rzeczywiście był swego rodzaju gospodą. Trzy czarownice nigdy jeszcze nie widziały tak ponurego miejsca. Ale ludzi przyszło całkiem sporo -

przynajmniej dwudziestu bladych gości z powagą przyglądało się im z ław pod ścianami.

Niania Ogg pociągnęła nosem.

- O rany - westchnęła. - Ależ tu czosnku...

Rzeczywiście, całe wiązki zwisały ze wszystkich krokwi.

- Nigdy za dużo czosnku, zawsze to powtarzam. Już widzę, że mi się tu spodoba.

Skinęła na bladego mężczyznę za barem.

- Guten dzień, chłopie, meine host. Trois beers pour favour avec my, w podskokach.

- Dlaczego on ma podskakiwać? - zdziwiła się babcia.

- To po zagranicznemu proszę - przetłumaczyła niania.

- Założę się, że wcale nie. Wymyślasz sobie to wszystko. Oberżysta, wyznający dość prostą zasadę, że każdy, kto wchodzi do gospody, chce się czegoś napić, nalał trzy piwa.

- Widzisz? - rzuciła tryumfalnie niania.

- Nie podoba mi się, że wszyscy tak na nas patrzą - szepnęła Magrat, gdy niania paplała do zakłopotanego oberżysty w swoim prywatnym esperanto. - A tamten człowiek się do mnie uśmiechnął.

Babcia Weatherwax zasiadła na ławie, próbując zająć taką pozycję, by jak najmniejsza część jej ciała dotykała drewna - na wypadek gdyby zagraniczność była zaraźliwa.

- Macie - powiedziała niania, podchodząc z pełną tacą. - Nic trudnego. Po prostu krzyczałam na niego, aż zrozumiał.

- Wygląda okropnie - mruknęła babcia.

- Kielbasa z czosnkiem i pieczywo czosnkowe - wyjaśniła niania. - Moje ulubione.

- Powinnaś poprosić o jakieś świeże warzywa - stwierdziła Magrat, dietetyczka.

- Poprosiłam. Mam tu trochę czosnku - odparła z zadowoleniem niania i odcięta solidny kawał kielbasy, od której łzawiły oczy. - Wydaje mi się też, że widziałam na półkach marynowaną cebulę.

- Tak? W takim razie na noc będą nam potrzebne przynajmniej dwa pokoje - oświadczyła surowo babcia.

- Trzy - poprawiła ją szybko Magrat.

Zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie wokół sali. Milczący goście ze skupieniem wpatrywali się w nowo przybyłe, z wyrazem, który mogłaby określić wyłącznie jako pełen nadziei smutek. Oczywiście, każdy, kto spędził trochę czasu w towarzystwie babci Weatherwax i niani Ogg, przyzwyczajał się do tego, że na niego patrzą. We dwie nieodmiennie zwracały powszechną uwagę. Poza tym ludzie w tej okolicy pewnie rzadko spotykali obcych, w końcu żyli wśród gęstych lasów i w ogóle. A widok niani Ogg ze smakiem zjadającej kielbasę przewyższał nawet widowiskowością jej numer z marynowaną cebulą.

Mimo wszystko... Jak ci ludzie patrzą...

Na zewnątrz, gdzieś pomiędzy drzewami, zawył wilk. Goście zadrżeli równocześnie, jakby to wcześniej ćwiczili. Oberżysta wymruczał coś, a wszyscy wstali z ociąganiem i ruszyli do drzwi. Starali się trzymać blisko siebie. Jakaś staruszka położyła Magrat dłoń na ramieniu, ze smutkiem pokiwała głową, westchnęła i odeszła. Do tego Magrat też była przyzwyczajona. Ludzie często się nad nią litowali, kiedy widzieli ją w towarzystwie babci.

W końcu oberżysta podszedł do nich z zapaloną pochodnią i gestem kazał iść za sobą.

- Jak mu wytłumaczyłaś, że chodzi nam o łóżka? - zapytała Magrat.

- Powiedziałam: Hej, panie, rach-ciach słodkie chrapanko, numero trua, każda - wyjaśniła niania Ogg.

Babcia Weatherwax wypróbowała to szeptem i skinęła głową.

- Ten twój Shane musi sporo podróżować, co?

- Mówi, że to działa za każdym razem.

Okazało się, że są tylko dwa pokoje na pięterku, dokąd prowadziły długie, kręte i skrzypiące schody. I Magrat dostała jeden dla siebie. Oberżysta chyba tak to zaplanował. Wydawał się bardzo usłużny.

Wolałaby tylko, żeby tak starannie nie zamykał okiennic - Magrat lubiła spać przy otwartym oknie. A teraz w pokoju zrobiło się ciemno i duszno.

No tak, pomyślała, w końcu to ja jestem wrózką chrzestną. One tylko mi towarzyszą.

Przejrzała się smętnie w maleńkim, pękniętym lusterku, a potem poszła do łóżka i słuchała głosów zza ściany cienkiej jak papier.

- Dlaczego odwracasz lustro do ściany, Esme?
- Nie lubię, kiedy tak się na mnie gapi.
- Gapi się tylko wtedy, kiedy ty się gapisz, Esme. Cisza. Po chwili...
- Zaraz... Co to jest to okrągłe?
- Myślę, że to chyba poduszka, Esme.
- Co? Ja bym tego nie nazwała poduszką. I nie ma nawet porządnego przykrycia. Niby co to ma być, twoim zdaniem?
- To się nazywa kołdra.
- Tam, skąd pochodzę, to się nazywa narzuta. Znowu chwila wytchnienia.
- Umyłaś zęba? Chwila milczenia. I...
- Chyba nie masz zimnych stóp, Esme?
- Nie, na pewno nie. Są ciepłutkie. I cisza. A za moment...
- Buty! Twoje buty! Jesteś w butach!
- Oczywiście, że jestem w butach, Gytho Ogg.
- I ubranie! Nawet się nie rozebrałaś!
- Nigdy dość ostrożności w obcych stronach. Nie wiadomo, kto może się włóczyć po okolicy.

Magrat otuliła się... co to było? Rzeczywiście, kołdra. Odwróciła się na bok. Wyglądało na to, że babci Weatherwax wystarcza godzina snu dziennie, natomiast niania Ogg chrapałaby nawet na płocie.

- Gytho? Gytho! Gytho!!!
- Cooo?
- Obudziłaś się?
- Teazs ta...
- Słyszałam jakiś hałas!
- ...ja też...

Magrat zdrzemnęła się.

- Gytho? Gytho!
- ...czego znowu...
- Jestem pewna, że ktoś próbował otworzyć okiennice!
- ...nie w naszym wieku... a teraz śpij...

W pokoju z każdą chwilą było bardziej gorąco i duszno. Magrat wstała, zdjęła sztabę i mocno pchnęła okiennice.

Usłyszała stęknienie i daleki łoskot czegoś uderzającego o ziemię.

Do wnętrza wpadł blask księżyca w pełni. Magrat poczuła się o wiele lepiej i wróciła do łóżka.

Miała wrażenie, że ledwie zamknęła oczy, zbudził ją głos zza ściany.

- Gytho Ogg, co ty wyprawiasz?

- Muszę coś przekąsić.

- Nie możesz spać?

- Stale się budzę, Esme. Ciekawe dlaczego.

- Zaraz! Przecież tyjesz czosnkową kielbasę! Mam spać w jednym łóżku z kimś, kto je czosnkową kielbasę?

- Czekaj, to moja! Oddaj zaraz!

W czerni nocy Magrat usłyszała stukanie obcasów i odgłos otwieranej w sąsiednim pokoju okiennicy.

Zdawało jej się, że usłyszała także ciche „uf i kolejne głucho uderzenie.

- Myślałam, że lubisz czosnek, Esme - odezwał się pełen wyrzutu głos niani Ogg.

- Kielbasa jest bardzo dobra we właściwym miejscu, a tym miejscem nie jest łóżko. I nic nie mów. Posuń się. Zabierasz całą narzutę.

Po chwili aksamitną ciszę przerwało głębokie, donośne chrapanie babci. Wkrótce przyłączyło się do niego cichsze chrapanie niani. Niania o wiele większą część życia spędziła śpiąc w towarzystwie, więc wyewoluowała u siebie łagodniejszą orkiestrę nosową. Za to chrapaniem babci można by ciąć belki.

Magrat naciągnęła na uszy tę okropną okrągłą poduszkę i zakopała się w pościeli.

W dole, na chłodnej ziemi, bardzo duży nietoperz usiłował na nowo wzbić się w powietrze. Dwa razy już został ogłuszony: raz przez nieostrożnie otwartą okiennicę, a raz przez balistyczną kielbasę czosnkową. Nie czuł się najlepiej. Jeszcze jedna nieudana próba, myślał sobie, i wraca do zamku. Zresztą wkrótce i tak wszędzie słońce.

Czerwone ślepia błysnęły mu pożądliwie, kiedy spojrzał na otwarte okno pokoju Magrat. Napiął mięśnie...

I wtedy opadła na niego ciężka łapa.

Obejrzał się.

Greebo miał za sobą nudną noc. Zbadał okolicę, szukając kotek, ale nie znalazł ani jednej. Przespacerował się po śmietnikach, lecz także bez skutku. Ludzie w tej okolicy nie wyrzucali odpadków - zjadali je.

Pobiegł do lasu i spotkał kilka wilków. Usiadł więc i uśmiechał się do nich, szczerząc zęby, aż poczuły się niepewnie i odeszły.

Tak, stanowczo nieciekawa nocka. Aż do teraz.

Nietoperz wiercił mu się pod pazurami. Mały koci mózdzek Greeba odniósł wrażenie, że zdobycz próbuje zmienić kształt. Nie miał zamiaru pozwalać na to jakiejś myszy ze skrzydłami.

Zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie miał się z kim bawić.

Genoa była miastem baśniowym. Ludzie uśmiechali się tu i radowali z życia przez cały długi dzień. Zwłaszcza jeśli chcieli zobaczyć kolejny długi dzień.

Lilith dopilnowała tego. Oczywiście, mieszkańcy sądzili pewnie, że byli szczęśliwi w czasach, nim zadbała o zastąpienie Dukiem starego barona. Jednak było to szczęście przypadkowe i nieuporządkowane. Dlatego tak łatwo mogła wkroczyć.

A takie szczęście to żaden sposób na życie. Brakuje mu wzorca.

Kiedyś jej za to podziękują.

Naturalnie, zawsze było kilku takich, którzy sprawiają kłopoty. Ludzie czasem zwyczajnie nie wiedzą, co powinni robić. Człowiek stara się dla nich jak może, dba o to, żeby ich życie było interesujące i pełne szczęścia w każdej godzinie, a oni nagle, bez żadnego powodu, zwracają się przeciwko dobroczyńcy.

Strażnicy stali pod ścianami sali przyjęć. Była też publiczność. Formalnie rzecz biorąc, to władca udzielał audiencji i dla niego powinni tu przychodzić, ale Lilith wołała, żeby sobie popatrzyli. Jeden pens przykładu wart jest dolara kary.

Zresztą ostatnio w Genoi rzadko zdarzały się przestępstwa. Przynajmniej nie takie, które gdzie indziej uznano by za przestępstwa. Takie występki jak kradzież

załatwiano szybko i właściwie nie wymagały żadnego postępowania prawnego. O wiele poważniejsze, według norm Lilith, były przestępstwa przeciwko oczekiwaniom narracyjnym. Ludzie nie umieli się właściwie zachowywać.

W zwierciadle Lilith odbijało się Życie, a ona bezlitośnie odcinała z niego te kawałki, które nie pasowały...

Duc rozparł się leniwie na tronie, przewieszając nogę przez poręcz. Nigdy w pełni nie opanował siedzenia na krześle.

- Cóż on uczynił? - zapytał i ziewnął. Przynajmniej otwieranie szeroko ust wychodziło mu znakomicie.

Mały człowieczek stał zgarbiony między dwoma strażnikami.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce być strażnikiem - nawet w takich miastach jak Genoa. Poza tym strażnik dostawał elegancki mundur z niebieskimi spodniami, czerwoną kurtką i wysokim hełmem z pióropuszem.

- Ale... Aleja nie umiem gwizdać - tłumaczył człowieczek. -Ja... Ja nie wiedziałem, że to obowiązkowe.

- Przecież robisz zabawki - przypomniał mu Duc. - Wszyscy zabawkarze po całych dniach gwizdzą i śpiewają. Zerknął na Lilith. Skinęła głową.

- Nie znam żadnych pio-piosenek - poskarżył się człowieczek. - Nikt mnie nie uczył pio-piosenek. Tylko jak się robi zabawki. Siedem lat terminowałem z młoteczką, od dziecka...

- Tutaj piszą - przerwał mu Duc, całkiem sprawnie udając, że czyta akta sprawy - że nie opowiadasz dzieciom bajek.

- Nikt mi nie mówił o ba-bajkach - starał się usprawiedliwić zabawkarz. - Przecież ja tylko robię zabawki. Zabawki. Na tym się znam. Zabawki. Robię dobre za-zabawki. Jestem zabawkarzem.

- Nie możesz być zabawkarzem, jeśli nie opowiadasz dzieciom bajek - oznajmiła Lilith.

Człowieczek spojrzał na nią z lękiem.

- Nie znam żadnych ba-bajek - powiedział.

- Nie znasz żadnych?

- Mogłbym im opo-powiadać, jak się robi zabawki - jękał się człowieczek.

Lilith wyprostowała się. Pod woalką nie można było rozpoznać wyrazu jej twarzy.

- Sądzę - rzekła - że najlepiej będzie, jeśli Straż Ludowa zaprowadzi cię do miejsca, gdzie z pewnością nauczysz się śpiewać. A po pewnym czasie może nawet gwizdać. Czy to nie wspaniale?

Lochy starego barona były okropne. Lilith kazała je odmalować i umeblować na nowo. I zawiesić dużo luster.

Kiedy audyencja dobiegła końca, jedna osoba z tłumu wymknęła się z pałacu przez kuchnię. Strażnicy przy bocznej furtce nie próbowali jej zatrzymać. Była bardzo ważną osobą na kompasie ich życia.

- Dzień dobry, pani Pleasant.

Przystanęła, sięgnęła do koszyka i wyjęła dwa pieczone udku kurczęcia.

- Wypróbuję nową polewę fistaszkową - oświadczyła. - Zobowiązana będę za wasze opinie, chłopcy.

Z wdzięcznością przyjęli dar. Wszyscy lubili spotkania z panią Pleasant. Potrafiła robić z kurczakiem takie rzeczy, że był niemal zadowolony, że został zabity.

- Wychodzę teraz kupić trochę ziół.

Przyglądali się, jak odchodzi - niczym gruba, pewna siebie strzała - w stronę placu targowego na samym brzegu rzeki. Potem zjedli kurczaka.

Pani Pleasant krzątała się między straganami. Bardzo pilnowała, żeby stale się krzątać. Nawet w Genoi znajdowali się ludzie gotowi opowiedzieć jakąś historię. Zwłaszcza w Genoi. Była kucharką, więc się krzątała. Dbała o to, by zachować tuszę; na szczęście od dziecka miała wesołe usposobienie. Zawsze miała ramiona przyprószone mąką. Jeśli ktoś zaczynał ją podejrzewać, rzucała jakiś okrzyk, na przykład „Olaboga”. Jak dotąd jej się udawało.

Rozglądała się za znakiem - i wreszcie go dostrzegła. Na dachu straganu zastawionego klatkami pełnymi kur, bażantów, czapli i innego ptactwa, siedział czarny kogut. Szamanka voodoo przyjmowała.

Kiedy tylko go zauważyła, kogut odwrócił głowę i popatrzył prosto na nią.

Trochę odsunięty od reszty straganów stał nieduży namiot, podobny do wielu innych wokół targu. Przed nim na węglu drzewnym bulgotał kociołek. Obok leżały miski, chochla i taca z monetami. Monet było sporo - ludzie płacili za potrawy pani Gogol tyle, ile ich zdaniem były warte; taca ledwie mieściła pieniądze.

Gęsta ciecz w kociołku miała nieapetyczny brązowy kolor. Pani Pleasant nalała sobie do miski i czekała. Pani Gogol dysponowała pewnymi talentami.

Po chwili z namiotu dobiegł głos.

- Co nowego, pani Pleasant?

- Zamknęła zabawkarza - odparła pani Pleasant, zwracając się do powietrza. - A wczoraj starego Devereaux, oberżystę. Za to, że nie był gruby i nie miał szerokiej, rumianej twarzy. To już czwarty w tym miesiącu.

- Proszę wejść, pani Pleasant.

W namiocie było gorąco i ciemno. Paliło się drugie ognisko, stał drugi kociołek. Pani Gogol mieszała zawartość. Wskazała kucharce miechy.

- Proszę odrobinę rozdmuchać węgle, a przekonamy się, co jest czym.

Pani Pleasant wykonała polecenie. Sama nie używała magii, najwyżej tyle, ile trzeba, żeby sos się nie zwarzył, a ciasto wyrosło. Ale szanowała tę zdolność u innych, zwłaszcza u takich osób jak pani Gogol.

Węgiel drzewny rozżarzył się do białości. Gęsta ciecz w kociołku zawrzała. Pani Gogol spojrzała w słup pary.

- Co pani robi, pani Gogol? - spytała niespokojnie kucharka.

- Próbuję zobaczyć, co się zdarzy - odparła kobieta voodoo. Jej głos przycichł, zmienił się w jednostajny pomruk, charakterystyczny dla osób o zdolnościach parapsychicznych.

Pani Pleasant zerknęła w wirującą masę.

- Ktoś będzie jadł krewetki? - próbowała zgadywać.

- Widzisz te kawałki ketmy? - mówiła pani Gogol. - Widzisz, jak wynurzają się nogi kraba?

- Nigdy pani nie skąpi krabiego mięsa.

- Widzisz, że bąble są gęste dzięki liściom okah? Widzisz, jak układa się spirala wokół czerwonej cebuli?

- Widzę! - zawołała pani Pleasant. - Widzę!

- A wiesz, co to znaczy?

- Znaczy, że zupa będzie doskonała!

- Oczywiście - zgodziła się pani Gogol. - Ale również to, że ktoś tu przybywa.

- Tak? Ile osób?

Pani Gogol zanurzyła w kociołku chochlę i skosztowała płynu.

- Trzy osoby. - Mlasnęła wargami. - Kobiety. Znowu nabrała zupy.

- Niech pani spróbuje - zaprosiła. - Jest też kot. Można poznać po sasafrasie. -
Cmoknęła wargami. - Szary. Jedno oko. - Zbadała językiem dziurę w zębie. - Zaraz...
Tak. Lewe.

Pani Pleasant w zdumieniu otworzyła usta.

- Przyjdą do pani, zanim trafią do mnie - powiedziała pani Gogol. - A pani
doprowadzi je tutaj.

Pani Pleasant spojrzała na złowroźbny uśmiech pani Gogol, a potem znowu
na miksturę w kociołku.

- Przybywają aż tu, żeby skosztować tego? - zdziwiła się.

- Oczywiście. - Pani Gogol usiadła. - Odwiedziła pani tę dziewczynę w białym
domu?

- Duszka... - Pani Pleasant skinęła głową. - Tak. Bywam u niej, kiedy tylko
mogę. Kiedy siostry wychodzą do pałacu. Ona naprawdę się ich boi, pani Gogol.

Znowu przyjrzała się kociołkowi.

- Czy naprawdę widzi pani...?

- Ma pani pewnie wszystko, co trzeba do marynat? - przerwała jej pani Gogol.

- Tak. Oczywiście. - Pani Pleasant cofnęła się, ale z ociąganiem. I stanęła.
Kiedy stała, niełatwo było ruszyć ją z miejsca, jeśli nie miała na to ochoty.

- Ta kobieta, Lilith, mówi, że widzi w lustrach cały świat - powiedziała odrobinę
oskarżycielskim tonem. Pani Gogol pokręciła głową.

- Nic nie można zobaczyć w lustrach, tylko siebie. A w dobrym gumbo jest
wszystko.

Pani Pleasant przytaknęła. Wszyscy to wiedzieli. Nie mogła zaprzeczyć.

Kiedy kucharka wyszła, pani Gogol smętnie pokiwała głową. Szamanka
voodoo musi stosować rozmaite strategie, żeby uchodzić za wiedzącą. Ale trochę jej
było wstyd, że pozwala porządnej kobiecie wierzyć w przyszłość zobaczoną w
kociołku gumbo. Ponieważ w kociołku gumbo pani Gogol można było dostrzec tylko
tyle, że przyszłość niesie bardzo dobry posiłek.

Wszystko inne zobaczyła w misie jambalayi, którą przygotowała wcześniej.

Różdżka leżała pod poduszką. Magrat falowała łagodnie pomiędzy snem a
jawą.

Z pewnością najlepiej nadawała się do noszenia różdżki. Co do tego nie ma wątpliwości. Czasami - ale ledwie śmiała dopuścić do siebie taką myśl, kiedy znajdowała się pod tym samym dachem co babcia Weatherwax - naprawdę się zastanawiała nad zaangażowaniem obu starszych koleżanek w czarownictwo. Często miała wrażenie, że wcale im nie zależy.

Weźmy taką medycynę. Magrat wiedziała, że lepiej od nich zna się na ziołach. Po mateczce Whemper, swojej poprzedniczce w domku, odziedziczyła kilka sporych ksiąg poświęconych temu tematowi, dopisała też niepewnie kilka własnych spostrzeżeń. Potrafiła opowiadać o zastosowaniach diabelskiego strupa tak ciekawie, że ludzie odbiegali szybko, pewnie żeby powtórzyć wszystko znajomym. Wiedziała, na czym polega destylacja frakcyjna i podwójna destylacja, umiała robić rzeczy, które wymagały siedzenia całą noc i obserwowania koloru płomienia pod retortą. Pracowała nad tym.

Tymczasem niania zwykle stosowała na wszystko gorące okłady i proponowała dużą szklankę tego, co pacjent najbardziej lubi - na zasadzie, że skoro i tak już będzie chorować, to niech przynajmniej ma z tego trochę przyjemności. Magrat zakazywała pacjentom alkoholu - z powodu tego, jak działa na wątrobę, a jeśli przypadkiem nie wiedzieli, jak działa, tłumaczyła im to ze szczegółami.

Za to babcia... Babcia po prostu dawała ludziom flaszkę barwionej wody i mówiła, że czują się o wiele lepiej.

Irytujące było to, że często naprawdę się lepiej czuli.

Czy na tym polega czarownictwo?

Z różdżką jednak wszystko będzie inaczej. Z różdżką można bardzo ludziom pomóc. Czary służą przecież do tego, by żyło się lepiej. Magrat wiedziała to dobrze w głębi różowego, drżącego buduaru swego serduszka.

Znów zanurzyła się pod powierzchnię snu.

Przyśniło jej się coś dziwnego. Nigdy potem nikomu o tym nie wspominała, bo... bo się nie wspomina. Nie o takich rzeczach.

Ale zdawało jej się, że zbudzona ciszą wstała, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. I kiedy przechodziła obok lustra, dostrzegła w nim jakieś poruszenie.

To nie była jej twarz. Przypominała raczej oblicze babci Weatherwax. I uśmiechnęła się do niej - uśmiechem o wiele miłszym, bardziej przyjaznym niż kiedykolwiek obdarzyła ją babcia, o ile Magrat mogła sobie przypomnieć. I potem zniknęła, a mgliście srebrzysta powierzchnia zamknęła się nad nią.

Magrat biegiem wróciła do łóżka i obudziła się, słysząc orkiestrę dętą produkującą bezustanny hałas. Ludzie krzyczeli i śmiali się głośno.

Ubrała się szybko, wyszła na korytarz i zapukała do pokoju starszych czarownic. Nikt nie odpowiedział.

Nacisnęła klamkę.

Poruszyła nią kilka razy, aż rozległ się trzask. To upadło krzesło, wciśnięte pod klamkę z drugiej strony, by powstrzymywać gwałcicieli, włamywaczy i innych nocnych intruzów.

Buty babci Weatherwax wystawały spod kołdry na jednym końcu łóżka. Bose stopy niani Ogg, która nocą lubiła się kręcić, sterczały obok nich. Ciche chrapanie wstrząsało dzbanem obok miski; nie były to już pełnonose ryki szybkiego drzemkowicza, ale rytmiczne pomruki kogoś, kto zamierza wytrzymać z nimi całą noc.

Magrat zastukała w podeszwę babcinego buta.

- Hej! Obudźcie się! Coś się dzieje!

Przebudzenie babci Weatherwax robiło wrażenie. Niewielu ludzi miało okazję oglądać coś takiego.

Większość śpiących po obudzeniu wykonuje przyspieszony, pełen paniki i nieświadomy proces kontrolny: kim jestem, gdzie jestem, kim jest on/ona, wielki Boże, dlaczego tułę do siebie policyjny hełm, co się działo w nocy?

Dzieje się tak dlatego, że ludzi nęka zwątpienie. To pęd, który pcha ich przez świat. To gumowa pętla w małym samolociku ich duszy i przez całe życie nakręcają ją, aż się zasupła. Ranek to najgorsza chwila - zawsze łączy się z chwilowym lękiem, że śpiący odpłynął gdzieś nocą i coś innego zajęło jego miejsce. Takie chwile nigdy nie przydarzały się babci Weatherwax. Przechodziła bezpośrednio od głębokiego snu do natychmiastowego działania wszystkich sześciu cylindrów umysłu. Nie musiała szukać siebie, bo zawsze wiedziała, kto szuka.

Pociągnęła nosem.

- Coś się pali - powiedziała.

- Rozpalili ognisko - wyjaśniła Magrat.

- I pieką chosnek?

- Tak. Nie mam pojęcia dlaczego. Wyrwali z okien wszystkie okiennice, palą je na rynku i tańczą dookoła.

Babcia Weatherwax szturchnęła łokciem nianię Ogg.

- Obudź się!

- Custpf?

- Przez całą noc nawet oka nie zmrużyłam - poskarżyła się babcia. - Przez to jej chrapanie.

Niania Ogg czujnie wyjrzała spod kołdry.

- Jest o wiele za wcześnie, żeby już było wcześnie - oznajmiła.

- Chodź - rzuciła babcia. - Potrzebny nam jest twój talent do języków.

Oberżysta biegał w kółko, machając rękami w górę i w dół. Potem wskazał zamek wyrastający nad lasem. Potem zaczął gwałtownie ssać własny przegub. Potem przewrócił się na plecy. I wreszcie spojrzał wyczekująco na nianię Ogg. Za nim płonęło wesoło ognisko z czosnku, drewnianych kotków i ciężkich okiennic.

- Nie - stwierdziła po chwili. - Nic non comprende, maj herr. Oberżysta wstał i strzepnął kurz ze skórzanych spodni.

- On chyba chce nam powiedzieć, że ktoś nie żyje - domyśliła się Magrat. - Ktoś w zamku.

- Muszę przyznać, że nie wyglądają na bardzo zmartwionych - zauważyła surowo babcia.

W blasku słońca wioska wyglądała o wiele weselej. Wszyscy uśmiechali się do czarownic.

- Bo to był pewnie właściciel - domyśliła się niania. - Prawdziwa pijawka. To chciał nam przekazać.

- Aha. No to sprawa jasna. - Babcia zatarła ręce i zerknęła z aprobatą na zastawiony stół, wyciągnięty z gospody na słońce. - W każdym razie jedzenie wyraźnie się poprawiło. Podaj chleb, Magrat.

- Wszyscy się do nas uśmiechają i machają - zauważyła Magrat. - I patrzcie, ile przynieśli na śniadanie.

- Tego należało się spodziewać - odparta babcia z pełnymi ustami. - Jesteśmy tu dopiero jedną noc, a już zaczynają rozumieć, że uprzejmość dla czarownic się opłaca. Niech mi któraś pomoże zdjąć pokrywkę z tego słoika miodu.

Pod stołem siedział Greebo i mył się językiem. Od czasu do czasu mu się odbijało.

Wampiry wstawały z martwych, z grobów i z krypt, ale nigdy nie zdołały tego dokonać z kota.

Kochany Jasonie i wszyscy pod numerem 21, 34, 15, 87 i 61, ale nie pod 16, dopóki nie odda tej salaterki, którą pożyczyła, chociaż się wypiera.

Jesteśmy tutaj, ale cośmy przeszły do tej pory, nawet nie rozmawiajcie przy mnie o dyniach. Rysuję obrazek miejsca, gdzie żeśmy spały tej nocy, namalowałam duże X na naszym pokoju tam gdzie jest nasz pokój. Pogoda...

- Co robisz, Gytho? Ruszamy.

Niania Ogg podniosła głowę. Marszczyła brwi w kompozycyjnym wysiłku.

- Pomyślałam, że ładnie będzie wysłać coś do naszego Jasona. No wiesz, żeby się nie martwił. Dlatego namalowałam tę okolicę na kartce, a ten tu Maj Herr oddają komuś, kto będzie jechał w naszą stronę. Nigdy nie wiadomo, może dotrze na miejsce.

... ciągle ładna.

Niania Ogg posłała koniec ołówka. Nie po raz pierwszy w historii wszechświata ktoś, komu porozumiewanie się przychodzi zwykle bez wysiłku, jak we śnie, z trudem poszukuje natchnienia, gdy ma zapisać kilka linii na odwrocie widokówki..

To właściwie tyle na razie. Znowu napiszę niedługo. MAMA. PS Kot dziwnie się rozgląda. Myślę, że tęskni za domem.

- Idziesz, Gytho? Magrat próbuje uruchomić moją miotłę.

PPS Babcia przesyła uściski.

Niania Ogg wyprostowała się, zadowolona z dobrze wykonanej pracy¹³.

Magrat dotarła na koniec placu i zatrzymała się, żeby odetchnąć.

Dookoła zebrało się sporo osób chętnych, by popatrzeć na kobietę z nogami. Zachowywali się bardzo uprzejmie. Nie wiadomo dlaczego, było to jeszcze gorsze.

¹³ Niania Ogg wysłała do rodziny wiele widokówek. Żadna nie dotarła przed jej powrotem. To tradycyjne i zdarza się w całym wszechświecie.

- Nie chce latać, jeśli nie biegnie się bardzo szybko - wyjaśniła, choć zdawała sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. Zwłaszcza dla kogoś słuchającego w obcym języku. - To się chyba nazywa „na pych”.

Odetchnęła głęboko, skoncentrowała się i ruszyła znowu.

Tym razem miotła zaskoczyła. Szarpnęła jej w rękach, zaszeleściły witki. Magrat zdążyła przerzucić na luz, zanim pociągnęła ją po ziemi. Jedno trzeba przyznać miotle babci Weatherwax - była jedną z tych bardzo staroświeckich, budowanych w czasach, kiedy miotły miały wytrzymywać długo, a nie rozsypywać się od korników po dziesięciu latach. I chociaż uruchomienie jej wymagało nieco wysiłku, kiedy już ruszała, nie krztusiła się ani nie stawała nagle.

Magrat zastanawiała się kiedyś, czy wytłumaczyć babci Weatherwax symbolikę miotły czarownicy, ale zrezygnowała. Skutek byłby chyba gorszy niż ta awantura na temat znaczenia gaików.

Odlot nie nastąpił szybko. Miejscowi upierali się, żeby obdarować je jedzeniem. Niania Ogg wygłosiła przemowę, której nikt nie rozumiał, ale wszyscy oklaskiwali. Greebo, ciągle dręczony czkawką, ułożył się na swym zwykłym miejscu między wtkami miotły niani.

Kiedy wzniosły się nad lasem, cienka smużka dymu nad zamkiem wzniosła się także. A potem buchnęły płomienie.

- Widzę ludzi tańczących przed bramą - poinformowała Ma-grat.

- Najem to zawsze ryzykowny interes - stwierdziła babcia Weatherwax. - Pewnie nie dbał o malowanie, naprawy dachów i tak dalej. Ludzie tego nie lubią. Właściciel mojego domku nawet palcem nie kiwnął przez cały czas, kiedy tam mieszkam - dodała. - To skandal, tak traktować starą kobietę.

- Myślałam, że to ty jesteś właścicielką - zdziwiła się Magrat.

- Ona tylko od sześćdziesięciu lat nie płaciła czynszu - wyjaśniła niania Ogg.

- Czy to moja wina? - spytała babcia. - Nie możesz mi tego zarzucić. Chętnie zapłacę - uśmiechnęła się z wyższością - Wystarczy, że o to poprosi - dodała.

Oto Dysk widziany z góry. Formacje chmur krążą w długich, zakrzywionych pasmach. Z warstwy obłoków wynurzyły się trzy ciemne punkty.

- Rozumiem, dlaczego podróże nie są popularne. Moim zdaniem są nudne. Nic tylko las, całymi godzinami.

- Tak, ale latanie pozwala szybko dotrzeć na miejsce, babciu.

- A właściwie jak długo już lecimy?

- Jakieś dziesięć minut, odkąd ostatnio pytałaś, Esme.

- Widzicie? Nuda.

- Mnie tam najbardziej się nie podoba to siedzenie na kiju. Uważam, że powinni zrobić specjalną miotłę do długich lotów. Taką, na której można się wyciągnąć i przespać.

Przemyślały tę propozycję.

- I jeszcze coś zjeść - dodała niania. - Ale prawdziwe jedzenie. Z sosem. Nie tylko kanapki i różne takie.

Eksperymentalne powietrzne gotowanie na małym palniku olejowym zostało szybko zakazane, kiedy zagroziło pożarem miotły niani.

- To byłoby możliwe, gdyby mieć naprawdę wielką miotłę - stwierdziła Magrat.

- Mniej więcej rozmiarów drzewa. Tak myślę. Wtedy jedna z nas by kierowała, a druga gotowała.

- Nigdy się to nie uda - uznała niania, - Z powodu krasnoludów, które za taką miotłę każą sobie zapłacić fortunę.

- Owszem. Ale można by... - Magrat zapalała się do projektu - ...można by zabierać w powietrze ludzi, i oni by za to płacili. Na pewno mnóstwo jest takich, którzy mają dosyć zbójców i... i choroby morskiej. I w ogóle.

- Co o tym myślisz, Esme? - spytała niania Ogg. - Ja będę kierowała, a Magrat zajmie się kuchnią.

- A co ja będę robić? - zapytała podejrzliwie babcia Weatherwax.

- Ty... no... powinien być jeszcze ktoś, no wiesz, kto będzie witał podróżnych na miotle i podawał im posiłki - zaproponowała Magrat. - I tłumaczył, co mają robić, kiedy na przykład zawiedzie magia.

- Kiedy zawiedzie magia, wszyscy spadną na ziemię i się pozabijają - stwierdziła babcia.

- Tak, ale ktoś musi im powiedzieć, jak to zrobić. - Niania Ogg mrugnęła do Magrat. - Przecież sami by nie wiedzieli, bo nie mają doświadczenia w lataniu. A nazwałybyśmy się... - urwała.

Zawsze na Dysk, istniejący na samej krawędzi nierealności, docierają drobne strzępki rzeczywistości, gdy tylko czyjś umysł osiągnie właściwy rezonans. Tak jak w tej chwili.

- ...Latanie: One Trzy - zaproponowała niania. - Co wy na to?

- Trzy Wiedźmy Aeralne - odpowiedziała Magrat. - Albo Pan Aero Miotły.

- Nie należy wciągać do tego religii - prychnęła babcia. Niania Ogg zerknęła chytrze na babcię i Magrat.

- Mogłybyśmy przecież nazwać się Vir... - zaczęła. Podmuch wiatru pochwycił trzy miotły i szarpnął je w górę. Po krótkim wybuchu paniki czarownice opanowały lot.

- Bzdury - mruknęła babcia.

- Ale pomaga zabić czas - broniła się niania.

Babcia spojrzała posępnie na zielone korony drzew pod sobą. - Nie znalazłybyście nikogo, kto by się na to zgodził - stwierdziła. - Stek bzdur.

Drogi Jasonie en famille,

verte po drugiej stronie załączam szkic jakiegoś miejsca, gdzie umarł jakiś król i go pochowali, nie mam pojęcia dlaczego. To taka wioska, gdzie żeśmy się zatrzymały na noc. I żeśmy dostały jakieś jedzenie, całkiem niezłe, nigdy byś nie zgadł, że to ślimaki, a Esme zjadła trzy porcje, zanim się dowiedziała, i potem zrobiła Awanturę kucharzowi. A Magrat całą noc było niedobrze i teraz boli ją siedzenie. Myślę o was, wasza kochająca MAMA. PS Wygódki są tu OKROPNE, robią je WEWNĘTRZU, taka to u nich HYGIENA.

Minęło kilka dni.

W cichej, małej oberży w maleńkim kraiku siedziała babcia Weatherwax i z wyraźną podejrzliwością przyglądała się zawartości swojego talerza. Właściciel krzątał się przy kuchni z obłąkanym wyrazem twarzy człowieka, który wie - zanim jeszcze zaczął - że nie ma najmniejszych szans.

- Dobra, prosta, domowa kuchnia - powiedziała babcia. - O nic więcej nie proszę. Znaie mnie przecież. Nie mam wielkich wymagań. Nie sam tłuszcz i różne

takie. Bo potem człowiek skarży się na coś, co leży na liściu sałaty, a okazuje się, że to właśnie zamówił.

Niania Ogg wsunęła za gors sukni róg serwetki i milczała.

- Jak na przykład wczoraj - ciągnęła babcia. - Można pomyśleć, że kanapki są niegroźne, prawda? No wiecie... Kanapki? Najprostsze jedzenie na świecie. Nawet cudzoziemcy nie mogą niczego pokręcić z kanapkami. Ha!

- Nie nazywali ich kanapkami, babciu - przypomniała Magrat, wpatrzona w patelnię oberżysty. - Nazywali je... Wydaje mi się, że dymioną płytą.

- Całkiem niezłe - odezwała się niania. - Bardzo lubię marynowane śledzie.

- Ale musieli nas uznać za idiotki, które nie zauważą, że nie dali górnej kromki chleba - oświadczyła tryumfalnie babcia. - No, powiedziałam im parę słów do słuchu. Dwa razy się teraz zastanowią, zanim spróbują okraść ludzi z kromki chleba, która się im prawnie należy!

- Na pewno się zastanowią - przyznała ponuro Magrat.

- I nie podoba mi się, że dają potrawom takie dziwaczne nazwy, a ludzie nie wiedzą, co jedzą - ciągnęła babcia; postanowiła w pełni omówić wady międzynarodowej kuchni. - Lubię dania, gdzie od razu wiadomo, czym są. Na przykład... no... bulgot i pisk, albo...

- Nakrapiany ptaszek - rzuciła z roztargnieniem niania. Z niecierpliwością obserwowała postępy w smażeniu naleśników.

- No właśnie. Przyzwoite, uczciwe jedzenie. Weźcie na przykład to, co nam dali na obiad. Nie twierdzę, że nie było smaczne - przyznała łaskawie. - Na swój cudzoziemski sposób, naturalnie. Ale nazwali to Cuisses dee Grenolly. Kto zgadnie, co to znaczy?

- Żabie udka - przetłumaczyła odruchowo niania Ogg.

Zapadła cisza. Babcia Weatherwax nabrała tchu, a na twarz Magrat z wolna wypełził bladozielony kolor. Niania Ogg zaczęła myśleć szybciej, niż to robiła od bardzo dawna.

- Nie prawdziwe żabie udka, naturalnie - zapewniła pospiesznie. - To tak jak nasza „ropucha w norze”, która naprawdę jest tylko kielbaską w cieście. Taka żartobliwa nazwa.

- Mnie wcale nie wydaje się zabawna - oświadczyła babcia. Obejrzała się na kucharza. - Dobrze przynajmniej, że potrafiały usmażyć przyzwoity naleśnik - mruknęła. - Jak je tu nazywają?

- Krep suzette, o ile pamiętam.

Babcia powstrzymała się od komentarza. Ale z ponurą satysfakcją obserwowała, jak oberżysta kończy dzieło i uśmiecha się do niej z nadzieją.

- I teraz pewnie myśli, że je zjemy - narzekała. - On je tylko podpalił, a my mamy jeść!

Później możliwe byłoby zapewne prześledzenie trasy czarownic przez kontynent metodą badań demograficznych. Po wielu latach, w cichych kuchniach pod pękami cebuli wiszącymi z belek, udałoby się może spotkać kucharzy, którzy nie podskakują i nie próbują się chować za drzwiami, kiedy w progu staje ktoś obcy.

Drogi Jasonie,

jest tu dużo cieplej. Magrat mówi, żeśmy są dalej od Osi. Zabawne, ale wszystkie pieniądze są inne. Trzeba je wymieniać na te drugie pieniądze, które mają różne kształty i moim zdaniem nie są to przyzwoite pieniądze. Pozwalamy Esme się tym zajmować, bo zawsze dostaje dobry kurs, aż dziw bierze. Magrat mówi, że napisze książkę Podróż za jednego dolara dziennie, i to cały czas jest ten sam dolar. Esme w ogóle zaczyna się zachowywać po zagranicznemu, wczoraj zdjęła szal, tylko czekać, a zacznie tańczyć na stołach. Na obrazku masz taki czy inny stawny most. Ucałowania MAMA.

Słońce zalewało żarem wąską ulicę, a zwłaszcza ogródek małej gospody.

- Trudno sobie wyobrazić, że w domu trwa już jesień - powiedziała Magrat.

- Garson! Muczo vino aveck zei, verde.

Oberżysta, który nie rozumiał ani słowa, był dobrodusznym człowiekiem i z pewnością nie zasłużył na to, żeby nazywać go garsonem. Uśmiechnął się do niani. Uśmiechałby się do każdego, kto wlewał w siebie tyle napojów.

- Nie podoba mi się, że wystawiają stoliki na ulicę - stwierdziła babcia Weatherwax, choć niezbyt srogo.

Było przyjemnie i ciepło. Nie chodzi o to, że nie lubiła jesieni, zawsze czekała na tę porę roku. Ale w jej wieku miło było wiedzieć, że jesień trwa setki mil stąd, kiedy babcia jest gdzie indziej.

Pod stołem drzemał Greebo. Leżał na grzbiecie, ze sterczącymi w górę łapami. Mięśnie drgały mu od czasu do czasu, kiedy w sennych marzeniach walczył z wilkami.

- Dezyderata zapisała tutaj... - Magrat ostrożnie przewracała sztywne stronicę
- ...że pod koniec lata odbywa się wyjątkowe święto i wypuszczają na ulice stado byków.

- Myślę, że warto obejrzyć coś takiego - uznała babcia. - A dlaczego to robią?

- Żeby wszyscy młodzieńcy mogli je ścigać i pokazać, jacy są dzielni. Jak rozumiem, zrywają swoje kokardy.

Po pomarszczonym obliczu niani Ogg przemknął ciąg min zmiennych niczym pogoda nad wulkanicznym pustkowiem.

- Trochę to dziwne - stwierdziła wreszcie. - A po co?

- Dezyderata nie tłumaczy dokładnie. - Magrat przewróciła kartkę i poruszając wargami, odczytała kolejny fragment. - Co to znaczy „cojones”?

Wzruszyły ramionami.

- Słuchaj no, może zwolnij z tym piciem - zaproponowała babcia, kiedy kelner postawił przed nianią Ogg kolejną butelkę. - Nie ufałabym drinkom, jeśli są zielone.

- Bo to nie jest prawdziwy drink - odparła niania. - Na etykiecie piszą, że jest robiony z ziół. Z samych ziół nie można zrobić niczego mocniejszego. Skosztuj kropelkę.

Babcia powąchała otwartą flaszkę.

- Pachnie anyżkiem - stwierdziła.

- Na butelce jest napisane „Absinthe” - dodała niania.

- To po prostu inna nazwa piołunu - poinformowała Magrat, która знаła się na ziołach. - W poradniku czytałam, że pomaga na kłopoty żołądkowe i zapobiega wzdęciom po posiłkach.

- Same widzicie - ucieszyła się niania Ogg. - Ziola. To właściwie lekarstwo. - Nalała koleżankom solidne porcje. - Spróbuj, Magrat. Ulży ci na piersi.

Babcia Weatherwax dyskretnie poluzowała sznurówki. Zastanawiała się też, czy nie zdjąć kamizelki. Chyba nie potrzebowała wszystkich trzech.

- Powinnyśmy lecieć dalej - powiedziała.

- Mam już dość miotły - odparła niania Ogg. - Parę godzin na kiju i cała dairy err mi sztywnieje.

Zerknęła wyczekująco na Magrat i babcię.

- To po zagranicznemu tyłek - wyjaśniła. - Chociaż, zabawna historia, w niektórych obcych stronach „tyłek” to „tramp”, a „tramp” to „hobo”. Śmieszne te słowa.

- Boki zrywać - mruknęła babcia.

- Rzeka jest tutaj dość szeroka - zauważyła Magrat. - Pływają wielkie łodzie. Nigdy jeszcze nie płynęłam taką łodzią. Wiecie? Taką, która łatwo nie tonie.

- Miotły bardziej przystoją czarownicom - oświadczyła babcia, ale bez wielkiego przekonania.

Nie dysponowała międzynarodowym słownictwem anatomicznym, jak niania Ogg, ale niektóre jej części - choć nigdy by się nie przyznała, że zna ich nazwy - zdecydowanie protestowały przeciwko dalszym lotom.

- Widziałam te łodzie - powiedziała niania. - Wyglądają jak wielkie tratwy, a na nich stoją domy. Nawet byś nie wiedziała, że płyniesz, Esme. Zaraz, co on robi?

Oberżysta wybiegł na ulicę i zaczął chować do wnętrza stoliki. Zwrócił się do niani i zaczął tłumaczyć coś nerwowo.

- On chyba chce, żebyśmy weszły do środka - domyśliła się Magrat.

- Podoba mi się tutaj - oznajmiła babcia. - PODOBA MI SIĘ TUTAJ! - powtórzyła. W jej opinii używanie zagranicznego języka polegało na tym, żeby mówić głośno i powoli.

- Czekaj! Zostaw nasz stolik! - Niania Ogg odepchnęła ręce oberżysty.

A on powiedział coś szybko i wskazał w głąb ulicy.

Babcia i Magrat spojrzały pytająco na nianię. Wzruszyła ramionami.

- Nie zrozumiałam - przyznała.

- ZOSTANIEMY TUTAJ, DZIĘKUJĘ BARDZO - powiedziała babcia.

Oberżysta spojrzał jej w oczy, zrezygnował, z irytacją zamachał rękami i zniknął w gospodzie.

- Wydaje im się, że mogą cię wykorzystywać, skoro jesteś kobietą - stwierdziła z oburzeniem Magrat. Dyskretnie stłumiła czknięcie i sięgnęła po zieloną butelkę. Jej żołądek czuł się już o wiele lepiej.

- Szczera prawda - zgodziła się niania Ogg. - Wiecie? Zeszłej nocy zabarykadowałam się w pokoju i żaden mężczyzna nawet nie próbował się włamać.

- Gytho Ogg, czasami doprawdy... - Babcia Weatherwax urwała nagle, dostrzegając coś dziwnego ponad ramieniem niani. - Całe stado krów biegnie ulicą - oznajmiła.

Niania odwróciła się razem z krzesłem.

- To pewnie to coś z bykami, o czym mówiła Magrat - domyśliła się. - Warto popatrzeć.

Magrat uniosła głowę. Wzdłuż całej ulicy ludzie wyglądali ze wszystkich okien na piętrze. Gąszcz rogów, kopyt i spoconych ciał zbliżał się szybko.

- Na górze się z nas śmieją - stwierdziła oskarżycielskim tonem.

Greebo pod stołem otrząsnął się i przewrócił na brzuch. Otworzył zdrowe oko, przyjrzał się coraz bliższym bykom i usiadł. Zapowiadała się niezła zabawa.

- Śmieją się? - Babcia rozejrzała się podejrzliwie. Ludzie na piętrach rzeczywiście wyglądali, jakby świetnie się bawili.

Zmrużyła oczy.

- Będziemy się zachowywać, jakby nic się nie stało - zdecydowała.

- Ale to całkiem spore byki - wystraszyła się Magrat.

- Nie mają z nami nic wspólnego - uspokoiła ją babcia. - I nic nas nie obchodzi, że banda cudzoziemców chce się podniecać głupotami. A teraz podaj mi to wino ziołowe.

O ile Lagro de Kabona, właściciel gospody, zapamiętał wydarzenia owego dnia, przedstawiały się tak:

Była pora Czegoś z Bykami. A te wariatki po prostu siedziały sobie i piły absynt, jakby to była woda! Próbował je skłonić, żeby weszły do środka, ale ta stara i chuda tylko na niego krzyczała. Pozwolił im więc zwlekać, choć drzwi zostawił otwarte - ludzie zwykle szybko pojmowali, co się dzieje, kiedy ulicą nadbiegały byki, a za nimi młodzi ludzie z wioski. Kto zerwał dużą czerwoną kokardę spomiędzy rogów największego byka, zdobywał honorowe miejsce na całonocnym bankiecie oraz - tu Largo uśmiechał się do wspomnień sprzed czterdziestu lat - nawiązywał nieoficjalne, ale wysoce przyjemne kontakty z młodymi damami z okolicy, i to jeszcze przez dłuższy czas.

A te wariatki ciągle tam siedziały...

Prowadzący byk poczuł się trochę niepewnie. Zwykle ryczał głośno i odgarniał kopytem ziemię, wskutek czego cele poruszały się prędko i w interesujących zygzakach. Jego umysł jakoś nie radził sobie z takim brakiem uwagi. Jednak nie to stanowiło jego największy problem. Największym problemem było dwadzieścia innych byków tuż za nim.

Ale nawet one przestały być problemem, ponieważ straszna stara kobieta, ta wysoka i cała w czerni, wstała, wymamrotała coś i trzepnęła byka między oczy. Wtedy ta okropna, z brzuchem o sprężystości i pojemności galwanizowanego zbiornika wody, ze śmiechu przewróciła się razem z krzesłem na plecy, a ta młoda - to znaczy młodsza od pozostałych dwóch - zaczęła machać rękami na byki, jakby płoszyła kaczki.

I nagle ulica wypełniła się wściekłymi, oszołomionymi bykami i krzyczącymi, przerażonymi młodymi ludźmi. Co innego ścigać stado wystraszonych byków, a co innego odkryć, że wszystkie próbują nagle biec w przeciwną stronę.

Z bezpiecznej pozycji w oknie sypialni oberżysta słyszał, jak te okropne kobiety wrzeszczą coś do siebie. Ta gruba ciągle się śmiała i wykrzykiwała jakieś zawołanie bojowe, coś w rodzaju „SpróbujZakłęciaJeźdźcówEsme!”. A ta młodsza, która przeciskała się między zwierzętami - jak gdyby śmierć od rogów albo stratowanie były czymś, co zdarza się tylko innym - znalazła prowadzącego byka i zdjęta mu kokardę z taką samą troską, z jaką staruszka wyjmuje cierni z kociej łapy. I trzymała tę kokardę, jakby nie wiedziała, co to jest ani co powinna z nią zrobić...

Nawet byki uświadomiły sobie martwą ciszę. Ich maleńkie, rozzłoszczone mózgi wyczuwały, że coś jest nie w porządku...

Byki były zakłopotane.

Na szczęście straszne kobiety tego samego popołudnia odpłynęły rzecznym statkiem, kiedy tylko jedna z nich ocaliła już swojego kota, który osaczył w zaułku czterystufuntowego byka, usiłował podrzucić go w powietrze i się nim bawić.

Tego wieczoru Lagro te Kabona starał się zachowywać bardzo, ale to bardzo uprzejmie wobec swej matki staruszki.

Rok później we wsi odbył się festiwal kwiatów i nikt już nie wspominał o Czymś z Bykami. Nigdy.

Przynajmniej nie w obecności mężczyzn.

Wielkie koło łopatkowe chlupotało w gęstej brunatnej zupie rzeki. Siłą napędową było kilkadziesiąt trolli maszerujących po zamkniętym pasie pod markizą. Ptaszki śpiewały wśród drzew na dalekich brzegach. Aromat malw płynął nad wodą, niemal - ale niestety nie całkiem - maskując zapach samej rzeki.

- Coś takiego właśnie lubię - oświadczyła niania Ogg.

Wyciągnęła się na leżaku i zerknęła na babcię Weatherwax, która siedziała ze zmarszczonymi brwiami, całkowicie skoncentrowana na lekturze.

Wargi niani wygięły się w złośliwym uśmiechu.

- Wiesz, jak się nazywa ta rzeka? - spytała.

- Nie.

- Vieux River.

- Tak?

- A wiesz, co to znaczy?

- Nie.

- Stary (Rodzaj Męski) Rzeka - wyjaśniła niania.

- Tak?

- Słowa w obcych stronach mają pleć - dodała z nadzieją niania. Babcia nawet nie drgnęła.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknęła. Niania była zniechęcona.

- Przeczytałaś to w książkach Dezyderaty, co?

- Owszem. - Babcia elegancko polizała palec i przewróciła kartkę.

- Gdzie poszła Magrat?

- Położyła się w kabinie - odparła babcia, nie podnosząc głowy.

- Brzuch ją boli?

- Tym razem głowa. Możesz być cicho, Gytho? Czytam.

- O czym? - zapytała złośliwie niania.

Babcia Weatherwax westchnęła i założyła książkę palcem.

- O mieście, do którego zdążamy - wyjaśniła. - O Genoi. Dezyderata twierdzi, że jest dekadencja. Uśmiech niani pozostał na miejscu.

- Tak? - zdziwiła się uprzejmie. - To chyba dobrze? Nigdy jeszcze nie byłam w mieście.

Babcia Weatherwax zastanowiła się. Nie była pewna znaczenia słowa „dekadencki”. Odrzuciła możliwość, że oznacza ono kogoś, kto ma dziesięć zębów; niania Ogg byłaby wtedy unidencka. Cokolwiek to było, Dezyderata uznała za

konieczne odnotowanie tego faktu. Babcia Weatherwax zwykle nie ufała książkom jako źródłom informacji, ale teraz nie miała wyboru.

Zdawało jej się niejasno, że „dekadencki” ma coś wspólnego z nie rozsuwaniem zasłon przez cały dzień.

- Pisz również, że Genoa jest miastem sztuki, dowcipu i kultury.
- W takim razie będziemy tam jak u siebie - odparta spokojnie niania.
- Powszechnie znane z urody swych kobiet. Tak tu pisze.
- Wtopimy się w tłum bez żadnych problemów.

Babcia wolno przewracała kartki. Dezyderata opisywała sprawy z całego Dysku. Z drugiej strony jednak nie pisała dla innych czytelników niż ona sama, więc jej notatki bywały nieco tajemnicze, mające raczej wspomagać pamięć niż zdawać sprawozdanie.

Babcia czytała: „Teraz L. rządzi miastem jako sita za tronem, a baron S. podobno zginął, utonął w rzece. Był człkiem niegodziwym, ale chyba nie tak niegodziwym jak L. Ona mówi, że chce tu uczynić Magiczne Królestwo, krainę pokoju i szczęśliwości, a kiedy kto chce tego dokonać, trzeba uważać na szpiegów w każdym kącie i nikt nie chce mówić otwarcie, bo kto by chciał narzekać na zło popełniane w imię pokoju i szczęśliwości? Wszystkie ulice są czyste, a topory ostre. Ale pszynajmniej E. jest bezpieczna, bo L. ma plany względem niej. Pani G., która była amour barona, ukryła się na bagnach i walczy bagienną magią, ale nie da się zwalczyć magii luster, która jest tylko Odbiciem”.

Matki chrzestne zawsze występują parami. Babcia wiedziała to dobrze. Czyli w tym wypadku chodzi o Dezyderatę i... i L. A kim jest ta osoba na bagnach?

- Gytho? - odezwała się babcia.
- Ssłucha... - odpowiedziała niania Ogg, budząc się z drzemki.
- Dezyderata pisze, że jakaś kobieta była dla kogoś murem.
- Pewno taka metyfora.
- Aha - mruknęła posępnie babcia. - Jedna z tych...

„Nikt jednak nie powszczyrna Mardi Gras”, czytała dalej. Jeśli cokolwiek uda się dokonać, to tylko w Samedi Nuite Morte, w ostatnią noc karnawału, noc w połowie drogi między Żywymi i Martwymi, kiedy magia płynie ulicami. Jeżeli L. ma być podatna, to wyłącznie wtedy, gdysz karnawału nienawidzi...”.

Babcia Weatherwax zsunęła kapelusz na czoło, by osłonić oczy od słońca.

- Pisze tu, że co roku mają wielki karnawał - powiedziała. - Nazywa się Mardi Gras.

- To znaczy Tłusta Pora Obiadowa - przetłumaczyła niania Ogg, międzynarodowa lingwistka. - Garson! Etcetra gross Mint Tulipan avec petit miska orzeszków, pour favour!

Babcia Weatherwax zamknęła książkę.

Oczywiście, nigdy by się do tego nie przyznała, zwłaszcza innej czarownicy, ale im bliżej była Genoa, tym babcia czuła się mniej pewnie.

W Genoi czekała ona! Po tylu latach! Patrzyła na nią z lustra! I uśmiechała się!

Słońce grzało bezlitośnie, a babcia starała się nie ustępować. Chociaż prędzej czy później musi się poddać. Nadejdzie chwila, by zdjąć następną kamizelkę.

Niania Ogg przez chwilę rysowała kartki dla krewnych, po czym ziewnęła. Należała do czarownic, które lubią wokół siebie gwar i tłum. Tutaj zaczynała się nudzić. Jednak na takiej wielkiej łodzi, podobnej do pływającej gospody, musiały się znaleźć jakieś rozrywki.

Położyła torbę na leżaku i ruszyła ich szukać.

Trolle maszerowały.

Kiedy babcia Weatherwax się obudziła, słońce zawisło już nisko nad horyzontem, wielkie i czerwone. Rozejrzała się niespokojnie spod osłony ronda kapelusza. Czy ktoś zauważył, że spała? Zasypianie w ciągu dnia to coś, co robiły wyłącznie stare kobiety, babcia Weatherwax zaś bywała starą kobietą tylko wtedy, kiedy służyło to jej celom.

Jedynym widzem był Greebo, zwinięty w kłębek na leżaku niani. Jego zdrowe oko wpatrywało się w babcię, jednak nie było tak straszne jak mlecznobiałe spojrzenie ślepego oka.

- Rozważałam możliwe strategie - mruknęła na wszelki wypadek.

Złożyła książkę i ruszyła do swojej kajuty. Dostały niedużą. Niektóre z kabin na statku wydawały się ogromne, ale po ziołowym winie i innych zdarzeniach babcia nie miała jakoś ochoty, by rzucać Wpływ i trafić do jednej z nich.

Magrat i niania Ogg siedziały na koi, milcząc ponuro.

- Jestem trochę głodna - oznajmiła babcia. - Po drodze wyczułam jakiś gulasz, więc może chodźmy i przekonajmy się, jak smakuje. Co wy na to?

Obie czarownice wbijały wzrok w podłogę.

- Pozostają nam dynie - powiedziała Magrat. - No i jest chleb krasnoludów.

- Zawsze jest chleb krasnoludów - odparła odruchowo niania. Podniosła głowę. Jej twarz była maską wstydu.

- Wiesz, Esme... Tego... Pieniądze...

- Pieniądze, jakie ci oddaliśmy, żebyś dla bezpieczeństwa trzymała je w swoich reformach? - upewniła się babcia.

Coś w sposobie prowadzenia tej rozmowy sugerowało, że to pierwsze kamyki, które lecą w dół przed prawdziwą lawiną.

- O tych właśnie pieniądzach mówię... eee...

- Pieniądze w skórzanej sakiewce, które miałyśmy wydawać z najwyższą rozwagą?

- Bo widzisz... Tych pieniędzy...

- Ach, o te pieniądze ci chodzi.

- ...ich nie ma...

- Okradli cię?

- Ona uprawiała hazard! - oświadczyła Magrat tonem pełnym oburzenia i grozy. - Z mężczyznami!

- To nie był hazard! - zaprotestowała niania Ogg. - Nie zajmuję się hazardem. Ale oni fatalnie grali w karty. Wygrywałam jedno rozdanie za drugim.

- Ale straciłaś pieniądze - przypomniała jej babcia.

Niania Ogg znowu zwiesiła głowę i wymruczała coś pod nosem.

- Co? - Babcia nie dosłyszała.

- Mówiłam, że wygrywałam prawie bez przerwy. A potem pomyślałam sobie, co tam, przecież przyda się nam trochę pieniędzy, żeby, no wiesz, żeby je wydać w mieście. A zawsze byłam dobra w Okalecz Pana Cebulę...

- Więc postanowiłaś zagrać o dużą stawkę?

- Skąd wiesz?

- Takie miałam przecucie - odparła znużonym głosem babcia. - I nagle szczęście zaczęło sprzyjać innym. Mam rację?

- To było niesamowite - zapewniła niania.

- Hm.

- W każdym razie to nie hazard. Nie uważałam tego za hazard. Strasznie marnie grali, kiedy zaczynaliśmy. Gra z kimś, kto nie umie grać, to przecież żaden hazard, tylko zdrowy rozsądek.

- W sakiewce było prawie czternaście dolarów - oświadczyła Magrat. - Nie licząc zagranicznych pieniędzy.

- Hmm.

Babcia Weatherwax usiadła na koi i zabębniła palcami o deskę, zapatrzona w dal. Określenie „szuler” nie dotarło jakoś na jej stronę Ramtopów, gdzie mieszkali ludzie przyjaźni i bezpośredni. Kiedy spotykali zawodowego oszusta, z sympatią przybijali mu ręce do stołu i nie pytali, jak go nazywać. Ale ludzka natura wszędzie jest taka sama.

- Nie gniewasz się, Esme? Prawda? - zapytała niespokojnie niania Ogg.

- Hmm.

- Kiedy już wrócimy do domu, szybko zamówię sobie nową miotłę.

- Hm... Co!?

Kiedy straciła wszystkie pieniądze, postawiła swoją miotłę -wyjaśniła tryumfująco Magrat.

- Czy w ogóle zostały nam jakieś pieniądze? - spytała babcia. Szybkie przeszukanie rozmaitych kieszeni i nogawek ujawniło czterdzieści siedem pensów.

- Dobrze - rzekła babcia. Zebrała wszystko. - To powinno wystarczyć. Przynajmniej na początek. Gdzie są ci mężczyźni?

- Co chcesz zrobić? - zaniepokoiła się Magrat.

- Idę grać w karty - oznajmiła babcia.

- Nie możesz! - zawołała młodsza czarownica, rozpoznając błysk w oku starszej koleżanki. - Na pewno spróbujesz użyć czarów, żeby wygrać! A nie wolno używać czarów do wygrywania! Nie wolno naruszać praw przypadku! To haniebne!

Statek był praktycznie pływającym miastem, a w balsamicznym nocnym powietrzu nikt specjalnie nie spieszył się do kajut. Płaski pokład pełen był grupek krasnoludów, trolli i ludzi wypoczywających wśród ładunku. Babcia wymijała ich, zmierzając do długiego salonu biegnącego przez całą prawie długość statku. Z wnętrza dobiegał wesoły gwar.

Statki rzeczne były najszybszym i najwygodniejszym środkiem transportu w promieniu setek mil. Korzystali z nich, jak by to ujęła babcia Weatherwax, różni. A na tych płynących w dół rzeki zawsze tłoczyli się osobnicy umiejętnie korzystający z wszelkich życiowych okazji, zwłaszcza kiedy nadchodziła Tłusta Pora Obiadowa.

Przypadkowy widz mógłby pomyśleć, że drzwi do salonu mają magiczną moc. Kiedy babcia Weatherwax zbliżała się do nich, kroczyła tak, jak kroczyła zawsze. Kiedy je minęła, nagle stała się zgarbioną, kuśtykającą staruszką, na której widok wzruszyłoby się każde serce z wyjątkiem najbardziej niegodziwego.

Zbliżyła się do baru i znieruchomiała nagle. Za ladą umocowano największe lustro, jakie w życiu widziała. Przyjrzała mu się z obawą, ale wyglądało na bezpieczne. Zresztą musiała zaryzykować.

Przygarbiła się trochę bardziej i skierowała do barmana.

- Eskizee mua, młody homme - zaczęła¹⁴.

Barman zerknął na nią obojętnie i nadal polerował kieliszki.

- Co mogę dla ciebie zrobić, starucho? - zapytał. Jedynie najłżejsza sugestia błysku pojawiła się w starczo ogłupiałych oczach babci.

- Och... Rozumiesz mnie?

- Różni pływają po rzece.

- Pomyślałam sobie, że może byłbyś tak miły i wypożyczył mi talię... o ile pamiętam, nazywa się to: karty - poprosiła babcia drżącym głosem.

- Chcesz pograć w Czarnego Piotrusia, co? - domyślił się barman.

Lodowaty ogień znów błysnął w oczach babci.

- Nie. Postawię sobie pasjansa. Chcę spróbować się go nauczyć. Sięgnął pod kontuar i rzucił w jej stronę przybrudzoną talię.

Podziękowała wylewnie i podreptała do małego stolika w cieniu. Na poplamionym alkoholem blacie rozłożyła przypadkowo kilka kart i przyjrzała się im uważnie.

Po ledwie kilku minutach poczuła delikatny dotyk na ramieniu. Podniosła głowę i spojrzała w twarz tak przyjazną i szczerą, że jej posiadaczowi każdy chętnie pożyczyłby pieniędzy. Kiedy się odezwał, w ustach błysnął mu złoty ząb.

- Przepraszam bardzo, mateczko - powiedział. - Ale moi przyjaciele i ja... - skinął w kierunku kilku serdecznie uśmiechniętych twarzy przy sąsiednim stoliku -

¹⁴ Coś z niani Ogg przechodzi na ludzi w jej towarzystwie.

...czulibyśmy się spokojniej, gdybyś się do nas dosiadła. Podróż może być niebezpieczna dla samotnej kobiety.

Babcia Weatherwax uśmiechnęła się do niego z sympatią, po czym machnęła ręką na karty.

- Nie mogę się nauczyć, czy te jedyńki są warte mniej, czy więcej od obrazków - wyznała. - Kiedyś własnej głowy zapomnę.

Zaśmiali się wszyscy. Babcia pokuśtykała do ich stolika. Zajęła puste krzesło, przez co lustro znalazło się za jej prawym ramieniem.

Uśmiechnęła się znowu, tym razem do siebie, i pochyliła zaciekawiona.

- Wytlumaczcie mi - poprosiła - jak się gra w tę grę.

Wszystkie czarownice zdają sobie sprawę z potęgi opowieści. Wręcz wyczuwają opowieści, tak jak kąpiący się w małym stawie wyczuwa niespodziewane muśnięcie pstrąga.

Wiedza, jak toczy się opowieść, to niemal wygrana bitwa.

Na przykład: kiedy osoba w oczywisty sposób naiwna siada przy stole z trójką doświadczonych szulerów i pyta: „Więc jak się gra w tę grę?”, jest jasne, że ktoś dozna takiego wstrząsu, że aż zęby mu powypadają.

Magrat i niania Ogg siedziały obok siebie na wąskiej koi. Niania z roztargnieniem drapała po brzuchu Greeba, który mruczał.

- Wpędzi się w straszne kłopoty, jeśli użyje czarów, żeby wygrać - powiedziała Magrat. - A wiesz, jak nie znosi przegranych - dodała.

Babcia Weatherwax nie umiała przegrywać. Z jej punktu widzenia przegrywanie było czymś, co przytrafiało się tylko innym.

- To jej eggo - wyjaśniła niania Ogg. - Każdy ma jakieś. Eggo, znaczy. A ona ma strasznie wielkie. Oczywiście, czarownicy wypada mieć wielkie eggo.

- Na pewno użyje czarów.

- Korzystanie z magii w grach losowych to kuszenie Losu - stwierdziła niania. - Oszukiwanie jest w porządku. To właściwie uczciwe. Rozumiesz, każdy może oszukiwać. Ale czary... to naprawdę kuszenie Losu.

- Nie - odparła posępnie Magrat. - Wcale nie Losu. Niania Ogg zadrżała.
- Chodźmy - rzekła Magrat. - Nie możemy jej na to pozwolić.
- To przez to jej eggo - mruczała niepewnie niania Ogg. - Okropna rzecz, takie wielkie eggo.

- Mam trzy małe obrazki królów i im podobnych i trzy te śmieszne karty numer jeden.

Trzej mężczyźni rozpromienili się i mrugnęli do siebie nawzajem.

- To potrójny cebula! - zawołał ten, który przyprowadził babcię do stołu. Jak się okazało, należało zwracać się do niego: pan Frank.

- A to dobrze? - spytała babcia.

- Znów pani wygrała, droga pani! Przysunął jej stos pensów.

- Ojej... - zdziwiła się babcia. - To znaczy, że mam już... ile to będzie... prawie pięć dolarów?

- Nie mogę tego pojąć - zapewnił pan Frank. - Chyba rzeczywiście szczęście sprzyja początkującym.

- Jeśli potrwa dłużej, wkrótce będziemy biedakami - stwierdził jeden z jego towarzyszy.

- Zedrze nam płaszcze z grzbietów, nie ma co - dodał drugi. - Cha, cha.

- Może powinniśmy się wycofać? - zaproponował pan Frank. - Cha, cha.

- Cha, cha.

- Cha, cha.

- Och, pograjmy jeszcze. - Babcia uśmiechnęła się promiennie. - Właśnie zaczynam rozumieć, o co w tym chodzi.

- W takim razie niech pani da nam realną szansę odegrania się trochę - powiedział pan Frank. - Cha, cha.

- Cha, cha.

- Cha, cha.

- Cha, cha. Może stawka po pół dolara? Cha, cha?

- Przypuszczam, że zechce postawić całego dolara. Taka szlachetna dama... - rzucił od niechcenia trzeci mężczyzna.

- Cha, cha!

Babcia spojrzała na stos drobnych monet. Przez chwilę zdawała się wahać, ale potem, zauważyli, uświadomiła sobie: ile może stracić, jeśli tak jej idzie karta?

- Tak! - zawołała. - Stawka po dolarze. - Zarumieniła się. - To rzeczywiście podniecające, prawda, panowie?

- Tak - zgodził się pan Frank. Przysunął sobie talię. Rozległ się przeraźliwy hałas. Wszyscy trzej spojrzeli za bar, gdzie odłamki lustra sypały się na podłogę.

- Co się stało?

Babcia uśmiechnęła się do niego ze słodyczą. Wydawało się, że nawet się nie obejrzała.

- Pewnie to szkło, które wycierał, wypadło mu z ręki i uderzyło prosto w lustro - domyśliła się. - Mam nadzieję, że nie będzie musiał go spłacać ze swojej pensji. Biedny chłopak.

Mężczyźni porozumieli się wzrokiem.

- Grajmy - powiedziała. - Mój dolar już czeka.

Pan Frank raz jeszcze zerknął nerwowo na pustą ramę. Potem wzruszył ramionami.

Ten ruch musiał coś gdzieś urwać. Zabrział stłumiony trzask, jakby łapka na myszy odprawiała ostatnie rytuały. Pan Frank zbladł i chwycił się za rękaw. Na podłogę wypadł mały metalowy aparat, cały ze sprężyn i pociętego drutu. Wplątany między nie tkwił pognieciony as kubkowy.

- Oj! - mruknęła babcia.

Magrat zajrzała przez okno do salonu.

- Co teraz robi? - syknęła niania Ogg.

- Znowu się uśmiecha - odparła Magrat. Niania Ogg pokręciła głową.

- Eggo - westchnęła.

Babcia Weatherwax prezentowała styl gry, który doprowadza do obłądu zawodowych hazardzistów całego multiwersum. Trzymała karty o kilka cali od twarzy, złożone tak, że wystawał tylko skrawek każdej z nich. I patrzyła na nie, jakby

wyzywała, by spróbowaly ją urazić. Nigdy nie spuszczała z nich wzroku -chyba że po to, by obserwować rozdawanie.

I za długo się zastanawiała. I nigdy, ale to nigdy nie ryzykowała. Po dwudziestu pięciu minutach przegrała dolara, a pan Frank był zlany potem. Babcia już trzy razy bardzo grzecznie zwróciła mu uwagę, że omyłkowo rozdał karty ze spodu talii, a także poprosiła o nową, bo „niech pan spojrz, te tutaj mają takie małe znaczki na grzbietach”.

Najgorsze były jej oczy. Trzy razy spasował z całkiem dobrym trzykartowym cebulą tylko po to, by się przekonać, że ona trzyma nędznego podwójnego bajgla. Za trzecim razem, przekonany, że rozpracował jej sposób gry, sprawdził i wpakował przyzwoity kolor w paszczę pięciokartowego cebuli, który stara wiedźma musiała zbierać od wieków. A potem... kostki mu pobieły... potem ta straszna, okropna starucha powiedziała:

- Wygrałam? Ojej, ale mam szczęście!

Później zaczęła nucić, kiedy patrzyła w karty. Normalnie wszyscy trzej ucieszyliby się tylko. Gracze, którzy stukają w zęby, unoszą brwi czy pocierają ucho są cenni jak pieniądze w skarpecie pod materacem - dla człowieka, który potrafi odczytywać takie sygnały. Ale ta starucha była przejrzysta niczym gruda węgla. Za to jej nucenie... irytujące. Człowiek odruchowo próbował podchwycić melodię. Aż mrowiła w zębach. I ledwie się obejrzał, a ona wykladała nędzny łamany kolor przed jego jeszcze nędzniejszym dwukartowym cebulą i mówiła:

- Jak to? Znowu ja?

Pan Frank gorączkowo usiłował sobie przypomnieć, jak się gra w karty bez aparatu w rękawie, poręcznego lustra i znaczonyj talii - wciąż atakowany nuceniem przypominającym zgrzyt paznokcia po tablicy.

W dodatku ta upiorna istota nawet nie wiedziała, jak się gra na poważnie.

Po godzinie wygrywała cztery dolary.

- Szczęściara ze mnie - powiedziała, a pan Frank ugryzł się w język.

I w końcu dostał z ręki wielkiego cebulę. Nie istniał żaden realny sposób przebicia wielkiego cebuli. Coś takiego zdarza się człowiekowi raz czy dwa razy w życiu.

A ona spasowała! Ta stara ropucha spasowała! Zrezygnowała z jednego nieszczęsnego dolara i spasowała!

Magrat znowu zajrzała przez szybę.

- Co się dzieje? - spytała niania.

- Wszyscy są chyba bardzo rozgniewani. Niania zdjęła kapelusz, wyjęła z niego fajkę, zapaliła i wyrzuciła zapalnik za burtę.

- No tak. Na pewno nuci, zapamiętaj moje słowa. Esme ma bardzo irytujący styl nucenia. - Niania była wyraźnie zadowolona. - Zaczęła już czyścić sobie ucho?

- Chyba nie.

- Nikt tak nie czyści ucha jak Esme.

A teraz czyściła ucho!

Czyściła bardzo elegancko, jak dama, i pewnie - stara kwoka - nawet nie zdawała sobie sprawy, że to robi. Co chwilę wsuwała do ucha i obracała dyskretnie mały palec. Wydawał dźwięk, jakby ktoś nacierał kredą mały kij bilardowy.

To było działanie zaczepne, nie ma co... W końcu wszyscy zaczęli się łamać...

Znów spasowała! A poświęcił piekielne pięć piekielnych minut, żeby zebrać piekielnego podwójnego cebulę!

- Pamiętam - mówiła niania Ogg - że kiedy przyszła do nas na przyjęcie z okazji koronacji króla Verence'a, bawiliśmy się w Goń Sąsiada Korytarzem. Goniliśmy się z dziećmi o pół pensa. Oskarżyła Jasonowego najmłodszego, że oszukuje, i dąsała się przez cały tydzień.

- A oszukiwał?

- Chyba tak - odparła z dumą niania. - Kłopot z Esme polega na tym, że nie potrafi przegrywać. Nie ma praktyki.

- Lobsang Dibbier twierdzi, że czasami trzeba przegrać, by wygrać - oświadczyła Magrat.

- Brzmi głupio - stwierdziła niania. - To coś z buddyzmu yen, tak?

- Nie. Buddyści yen to ci, którzy twierdzą, że trzeba mieć mnóstwo pieniędzy, żeby wygrać¹⁵ - wyjaśniła Magrat. - W Drodze Skorpiona metodą zwycięstwa jest przegrywanie wszystkich walk prócz ostatniej. Używasz siły przeciwnika przeciw niemu.

- Znaczy co? Zmuszasz go, żeby sam się uderzył? Według mnie to głupie.

Magrat rozgniewała się.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - rzuciła z nietypową dla siebie irytacją.

- Co?

- Mam tego dość! Przynajmniej staram się nauczyć czegoś nowego! A nie tyranizuję ludzi bez przerwy i nie mam paskudnego usposobienia!

Niania Ogg wyjęła fajkę z zębów.

- Przecież ja nie mam takiego usposobienia - zauważyła łagodnie.

- Nie mówiłam o tobie.

- No cóż, Esme zawsze miała paskudne. To dla niej stan naturalny.

- I prawie nigdy nie rzuca czarów. Po co być czarownicą, jeśli się nie czaruje? Dlaczego nie korzysta z magii, żeby pomagać ludziom?

Niania przyjrzała się jej przez obłok fajkowego dymu.

- Bo pewnie wie, jaka byłaby w tym dobra - wyjaśniła. - Znam ją od bardzo dawna. Znałam całą jej rodzinę. U Weatherwaxów wszyscy mieli talent do czarów, nawet mężczyźni. Rodzili się z magicznymi zdolnościami. Taka klątwa. Poza tym ona uważa, że nie da się pomóc ludziom czarami. Nie tak jak trzeba. I to też jest prawda.

- Więc po co...?

Niania pogrzebała w fajce zapalką.

- O ile pamiętam, przyszła ci pomagać, kiedy w twojej wiosce wybuchła zaraza. Pracowała dzień i noc. Nie słyszałam jeszcze, żeby nie leczyła kogoś chorego, kto tego potrzebuje. Nawet jeśli, no wiesz, jeśli ropieje. A kiedy ten wielki stary troll, co mieszka pod Złamaną Górą, przyszedł szukać pomocy, bo żona mu zaniemogła, a wszyscy rzucali w niego kamieniami, to pamiętam, że właśnie Esme z nim poszła i odebrała dziecko. A kiedy stary druciarz Hopkins rzucił w nią kamieniem, to wkrótce potem nocą coś rozdeptało mu na płasko stodołę. Esme zawsze

¹⁵ Buddyści yen są najbogatszą sektą religijną we wszechświecie. Twierdzą, że gromadzenie pieniędzy jest wielkim złem i kałą duszę. Zatem, nie zważając na osobiste bezpieczeństwo, uznają za swój niemiły obowiązek zebrać ich jak najwięcej, by zmniejszyć zagrożenie dla niewinnych.

powtarza, że nie można ludziom pomóc czarami, ale można przez skórę. To znaczy robiąc coś naprawdę.

- Nie mówię, że nie jest w głębi serca miłą osobą... - zaczęła Magrat.

- Ha! Ale ja mówię. Musiałabyś cały dzień podróżować, żeby znaleźć kogoś o paskudniejszym charakterze niż Esme - zapewniła niania Ogg. - Mnie możesz wierzyć. Ona dokładnie wie, kim jest. Urodziła się, żeby być dobra, i wcale jej się to nie podoba.

Stuknęła fajką o reling i wróciła pod okno salonu.

- Musisz jedno zrozumieć co do Esme, moja droga - powiedziała. - Ma nie tylko wielkie ego, ale na dodatek psychologię. Cieszę się, że ja nie mam.

Babcia wygrywała już dwanaście dolarów. Wszystko w salonie zamarło. Słychać było stłumione pluskanie łopatek i krzyk podającego tempo.

Po chwili wygrała kolejne pięć dolarów na trzykartowego cebulę.

- Co masz na myśli, mówiąc „psychologia”? – zdziwiła się Magrat. - Czytałaś książki?

Niania nie zwracała na nią uwagi.

- Teraz czekaj - powiedziała. - Zaraz robi „tss, tss, tss” pod nosem. To przychodzi po czyszczeniu ucha i zwykle znaczy, że Esme coś planuje.

Pan Frank zabębnił palcami po stole, że zgrozą uświadomił sobie, że to robi, i dokupił trzy karty, by ukryć zmieszanie. Stara ropucha chyba nic nie zauważyła.

Spojrzał na nową rękę.

Postawił dwa dolary i dokupił jeszcze jedną kartę.

Znowu popatrzył.

Jakie są szansę, pomyślał, żeby jednego dnia dwa razy dostać wielkiego cebulę?

Najważniejsze to zachować przytomność umysłu.

- Myślę - usłyszał własny głos - że mogę zaryzykować jeszcze dwa dolary.

Zerknął na kolegów. Jeden po drugim posłusznie spasowali.

- No, sama nie wiem... - powiedziała babcia, najwyraźniej zwracając się do swoich kart. - Tss, tss, tss... Jak się to nazywa, no wie pan, kiedy ktoś chce postawić więcej pieniędzy?

- Nazywa się „przebijanie” - odparł pan Frank. Pobielały mu kostki palców.

- To może rzeczywiście przybiję jakieś... no, pięć dolarów. Kolana pana Franka zetknęły się gwałtownie.

- Wchodzę i przebijam dziesięć dolarów.

- To ja też - powiedziała babcia.

- Mogę podwyższyć jeszcze o dwadzieścia.

- Ja... - Babcia spuściła głowę, nagle strapiona. -Ja... mam jeszcze miotłę.

Gdzieś w głębi umysłu pana Franka zadźwięczał maleńki dzwonek alarmowy, ale on sam pędził już na oślep do zwycięstwa.

- Zgoda!

Rozłożył karty na stole.

Tłum widzów westchnął.

Pan Frank zaczął zgarniać pieniądze. Palce babci zacisnęły mu się na przegubie.

- Jeszcze nie pokazałam swoich kart - przypomniała z godnością.

- Nie warto - burknął pan Frank. - W żaden sposób nie może pani przebić wielkiego cebuli.

- Mogę, jeśli zdołam go okaleczyć - odparła babcia. - Przecież właśnie dlatego ta gra nazywa się Okalecz Pana Cebulę. Prawda? Zawahał się.

- Ale... Przecież... To możliwe tylko wtedy, kiedy ma pani czysty dziewięciokartowy sekwens - wybełkotał, patrząc jej głęboko w oczy.

Babcia wyprostowała się.

- A wie pan - rzuciła chłodno - faktycznie miałam wrażenie, że nazbierałam całkiem sporo tych czarnych szpiczastych. To wystarczy?

Rozłożyła karty. Liczna publiczność syknęła cicho zgodnym chórem.

Pan Frank rozejrzał się gorączkowo.

- Piękna rozgrywka, droga pani - stwierdził starszy dżentelmen. W tłumie rozległy się oklaski. W dużym, bardzo kłopotliwym tłumie.

- Eee... tak - przyznał pan Frank. - Tak. Brawo. Szybko się pani uczy, nie ma co.

- Szybciej od pana. Jest mi pan winien pięćdziesiąt pięć dolarów i miotłę.

Magrat i niania Ogg czekały na nią, kiedy wyszła z salonu. - Masz swoją miotłę - rzuciła. - I mam nadzieję, że jesteście spakowane, bo odlatujemy.

- Dlaczego? - zdziwiła się Magrat.

- Bo jak tylko się tu uspokoi, pewni ludzie zaczną nas szukać. Razem pospieszyły do swej malutkiej kajuty.

- Nie używałaś czarów? - spytała Magrat.

- Nie.

- I nie oszukiwałaś? - upewniła się niania Ogg.

- Nie. To tylko głowologia - odparła babcia.

- Ale gdzie się tak nauczyłaś grać? - nie ustępowała niania. Babcia zatrzymała się nagle. Obie czarownice wpadły na nią z rozpędu.

- Pamiętasz, zeszłej zimy, kiedy matula Dismass ciężko zachorowała, a ja siedziałam przy niej co noc przez prawie miesiąc?

- Tak.

- Kiedy przez miesiąc grasz w Okalecz Pana Cebulę z kimś, kto ma odklejoną siatkówkę w jasnowidzącym oku, to szybko nauczysz się grać jak należy.

Drogi Jasonie i wszyscy,

to, czego w obcych stronach mamy najwięcej, to zapachy. Całkiem dobrze już je poznaję. Esme krzyczy na wszystkich. Myśli chyba, że oni są cudzoziemcami tylko zęby jej zrobić na złość. Nie pamiętam już, kiedy się tak dobrze bawiła. Chociaż trzeba przyznać, że niektórym przyda się solidna awantura, jeśli chcecie znać moje zdanie. Gdzieś żeśmy się zatrzymały na obiad, żeśmy zamówiły befszytk tatarski, a oni udawali bardzo przemądrzałych, kiedy chciałam swój dobrze wysmażony. Wszystkiego dobrego MAMA.

Księżyc był tu bliższy.

Orbita księżyca Dysku sprawiała, że na dużej wysokości przesuwiał się nad Ramtopami. Tutaj, niedaleko Krawędzi, był większy. I bardziej pomarańczowy.

- Jak dynia - zauważyła niania Ogg.

- Umawialiśmy się chyba, że nie będziemy wspominać o dyniach - przypomniała Magrat.

- No tak, ale nie jadłyśmy kolacji...

W dodatku czarownice nie były przyzwyczajone do ciepłych nocy. Takie szybowanie pod wielkim, pomarańczowym księżycem, ponad mroczną dżunglą, która brzęczy i szumi od owadów, wydawało się nienaturalne.

- Chyba odleciałyśmy już dość daleko od rzeki - stwierdziła Magrat. - Możemy wylądować, babciu? Na pewno nikt nas nie ściga.

Babcia Weatherwax spojrzała w dół. Rzeka w tej krainie wita się szerokimi, lśniącymi zygzakami; potrzebowała dwudziestu mil, żeby pokonać pięć. Tereny wokół brzegów porastały lasy. Daleki blask na horyzoncie to mogła być już Genoa.

- Lot na miotle przez całą noc to prawdziwy ból w odwrotności - dodała niania.

- No... racja.

- Tam w dole jest jakieś miasteczko - poinformowała Magrat. - I zamek.

- Nie, znowu zamek?

- Ale to ładny, miły zamek. Możemy go odwiedzić? Mam już dosyć oberży.

Babcia popatrzyła w dół. Dobrze widziała w ciemności.

- Jesteś pewna, że to zamek? - spytała.

- Widzę wieże i wszystko - zapewniła Magrat. - Oczywiście, że to zamek.

- Hmm...Ja widzę nie tylko wieże - oświadczyła babcia. - Myślę, że powinniśmy sobie to obejrzeć, Gytho.

W uśpionym zamku zawsze panowała cisza - tylko latem dojrzałe jeżyny spadały z kolczastych krzewów i uderzały o posadzki. I czasem ptaki próbowały wic sobie gniazda w ciernistych gąszczach wypełniających salę tronową od podłogi po sufit, ale nigdy nie kończyły, ponieważ także szybko zapadały w sen. Nie licząc tych dźwięków, trzeba by mieć naprawdę wyborny słuch, by usłyszeć, jak rosną korzenie i otwierają się pąki.

Trwało to już dziesięć lat. W zamku jedynym dźwiękiem było...

- Otwierać tam!

- Bonne fidy podróżni szukają schronu! ...jedyne dźwiękiem było...

- Czekaj, Magrat! Podsadź mnie tutaj. Dobrze. Już... Brzęknęło tłuczone szkło.
- Wybiłaś im okno! ...jedynym dźwiękiem...
- Musisz zaproponować, że za nie zapłacisz.

Brama zamku uchyliła się wolno. Niania Ogg wyrzała zza niej na dwie stojące przed murem czarownice. Wyciągała z włosów ciernie i rzepy.

- Tam jest obrzydliwie - ostrzegła. - Wszędzie śpią ludzie cali pokryci pajęczynami. Miałaś rację, Esme. Działały tu jakieś czary.

Trzy czarownice przeciskały się w głąb zarośniętego zamku. Kurz i liście pokrywały dywany. Młode jawory odważnie próbowały opanować dziedziniec. Pędy winorośli zwisały ze wszystkich ścian.

Babcia Weatherwax postawiła na nogach drzemiącego żołnierza. Z munduru uniósł się kurz.

- Obudź się - rozkazała.
- Fzhft - odpowiedział i osunął się na ziemię.
- Wszędzie jest tak samo - oznajmiła Magrat, wyrывая się z gąszczu paproci porastających okolice kuchni. -Wszyscy kucharze chrapią, a w garnkach sama pleśń. W spiżarni znalazłam nawet uśpioną mysz.
- Hm... - mruknęła babcia. - Gdzieś w samym sercu tego wszystkiego będzie kołowrotek. Zapamiętajcie moje słowa.
- Robota Czarnej Aliss? - spytała niania.
- Na to wygląda - przyznała babcia. - Albo kogoś podobnego - dodała ciszej.
- Trzeba przyznać, że ona naprawdę wiedziała, jak działają opowieści - stwierdziła niania. - Wyobrażacie sobie? Bywało, że występowała w trzech równocześnie.

Nawet Magrat słyszała o Czarnej Aliss. Była podobno największą czarownicą, jaka żyła na Dysku - właściwie nie złą, ale tak potężną, że czasami trudno było dostrzec różnicę. Kiedy chodziło o uśpienie zamku na sto lat albo skłonienie księżniczek, by przędy Żółto ze słomy¹⁶, nikt nie robił tego lepiej niż Czarna Aliss.

- Spotkałam ją kiedyś - powiedziała niania, kiedy wspinały się po głównych zamkowych schodach, zmienionych w kaskadę powojnika, jak na ironię zwanego radością wędrowca. - Byłam jeszcze dziewczynką i stara Deliria Skibbiy mnie do niej

¹⁶ Czarna Aliss też nie najlepiej opanowała ortografię. Musieli sporo mu zapłacić, żeby sobie poszedł i nie robił scen.

zaprowadziła. Oczywiście, była już wtedy dość... ekscentryczna. Chatki z piernika i takie rzeczy...

Mówiła to ze smutkiem, tak jak się czasem opowiada o starszych krewnych, którzy nagle zaczęli nosić bieliznę na ubraniu.

- To musiało być, zanim ta dwójka dzieci zamknęła ją w jej własnym piecu - domyśliła się Magrat. Wyplątała rękaw z krzewu dzikiej róży.

- Tak. Smutna historia. Przecież ona nigdy nikogo nie zjadła. No, w każdym razie niezbyt często. Owszem, krążyły pogłoski...

- Tak się to kończy - przerwała jej babcia. - Za mocno trzymasz się opowieści i zaczynasz się mylić. Nie wiesz już, co jest naprawdę realne, a co nie jest. Aż w końcu cię dorwą. Robią z ciebie wariatkę. Nie lubię opowieści. Nie są rzeczywiste. Nie lubię rzeczy, które nie są rzeczywiste.

Pchnęła drzwi.

- Aha. Komnata - stwierdziła kwaśnym tonem. - Może nawet sypialnia.

- Ależ to zielsko szybko rośnie - zdziwiła się Magrat.

- To element zaklęcia czasowego - wyjaśniła babcia. - Oho... Tam jest. Wiedziałam, że gdzieś kogoś znajdziemy.

Na łóżku leżała jakaś postać otoczona gąszczem różanych krzewów.

- A tam jest kołowrotek. - Niania Ogg wskazała ledwie widoczny kształt w kępie bluszczu.

- Nie dotykaj! - ostrzegła babcia.

- Spokojnie. Wyciągnę go za pedał i wyrzucę przez okno.

- Skąd to wszystko wiecie? - spytała Magrat.

- Bo to ludowa legenda - odparła niania. - Zdarzyła się wiele razy. Babcia Weatherwax i Magrat przyjrzały się uśpionej dziewczynie, mniej więcej trzynastoletniej i niemal srebrzystej pod powłoką

kurzu i kwiatowego pyłku.

- Śliczna jest - westchnęła wielkodusznie Magrat. Z tyłu dobiegł trzask kołowrotka spadającego na bruk. Po chwili podeszła niania Ogg; wycierała ręce.

- Widziałam to już z dziesięć razy - powiedziała.

- Nie, nie widziałas - zaprotestowała babcia.

- Przynajmniej raz - odparła niania, wcale nie zbита z tropu. - A słyszałam o tym z dziesięć razy. Jak wszyscy. Ludowa legenda, jak już mówiłam. Wszyscy słyszeli o czymś takim, co się zdarzyło w wiosce sąsiada znajomego ich kuzyna...

- Dlatego że to się zdarza - stwierdziła babcia. Ujęła rękę dziewczyny.

- Ona śpi, bo pewnie się ukłu... - zaczęła niania.

Babcia obejrzała się.

- Wiem, wiem. Wiem, jasne? Wiem nie gorzej od ciebie. Myślisz, że nie wiem?

- Pochyliła się nad bezwładną dłoń. - Taki pożytek z wrózek chrzestnych - dodała jakby do siebie. - Wiecznie próbują imponować. Wiecznie się wtrącają, wiecznie usiłują rządzić. Ha! Ktoś dostał odrobinę trucizny? No to posyłamy wszystkich spać na sto lat! Tak najłatwiej. I wszystko z powodu jednego ukłucia. Jakby to miał być koniec świata.

Urwała. Niania Ogg stała jej za plecami, więc babcia w żaden sposób nie mogła widzieć miny przyjaciółki.

- Gytho!

- Słucham, Esme - odpowiedziała niewinnym tonem niania.

- Czuję, że się uśmiechasz. Możesz zachować tę psychologię za dwa i pół pensa dla tych, którzy jej potrzebują.

Babcia zamknęła oczy i wymamrotała kilka słów.

- Czy mam użyć różdżki? - spytała z wahaniem Magrat.

- Nawet nie próbuj - odpowiedziała babcia i wróciła do mamrotania.

Niania kiwnęła głową.

- Wyraźnie odzyskuje kolory - zauważyła.

Po kilku minutach dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała nieprzytomnie na babcię Weatherwax.

- Pora wstawać - powiedziała babcia niezwykle jak na nią miłym głosem. - Tracisz najlepsze lata.

Dziewczyna usiłowała skupić wzrok na niani, potem na Magrat, i wreszcie znów popatrzyła na babcię.

- Ty? - zdziwiła się.

Babcia uniosła brew i zerknęła na koleżanki.

- Ja?

- Jesteś... wciąż tutaj?

- Wciąż? Nigdy w życiu tu nie byłam, panienko.

- Ale... - dziewczyna była wyraźnie zdumiona. I wystraszona, zauważyła Magrat.

- Ja też rano bywam taka nieprzytomna, moja droga - zapewniła niania Ogg i poklepała dziewczynę po drugiej ręce. - Nie mogę się pozbierać, dopóki nie wypiję herbaty. Przypuszczam, że wszyscy pozostali obudzą się lada moment. Oczywiście, chwilę potrwa, zanim usuną z kociołków szczurze gniazda... Esme?

Babcia wpatrywała się w owalny kształt na ścianie.

- Wtrąca się... - szepnęła.

- Co się stało, Esme?

Babcia Weatherwax przeszła przez komnatę i starła kurz z dużego, ozdobnego zwierciadła.

- Ha! - powiedziała i odwróciła się. - Będziemy się zbierać - oświadczyła.

- Ale przecież miałyśmy tu odpocząć - zaprotestowała Magrat.

- No wiecie, słońce prawie zachodzi...

- Nie należy nadużywać gościnności - odparta babcia i wyszła z pokoju.

- Ale nawet nie... - zaczęła Magrat.

Spojrzała na zwierciadło. Było duże, owalne, w złoczonej ramie. Wydawało się absolutnie zwyczajne. To niepodobne do babci Weatherwax, żeby wystraszyć się własnego odbicia.

- Znowu ma te swoje humory - uznała niania Ogg. - Chodźmy. Nie ma sensu tu zostawać. - Pogłaskała zdumioną księżniczkę po głowie. - Uszy do góry, panienko. Parę tygodni z miotłą i siekierą, a zamek będzie jak nowy.

- Wyglądała, jakby rozpoznała babcię - powiedziała Magrat, kiedy zbiegały po schodach za Esme Weatherwax.

- Ale my przecież wiemy, że nie, prawda? - odparta niania Ogg. - Esme nigdy w życiu nie była w tych okolicach.

- I tak nie rozumiem, dlaczego musimy już się wynosić - nie ustępowała Magrat. - Ci ludzie pewnie będą nam bardzo wdzięczni za złamanie czaru i w ogóle.

Zamek budził się do życia. Przebiegły obok strażników wpatrujących się ze zdumieniem w swoje pokryte pajęczynami mundury i w rosnące wszędzie gąszcz. Kiedy mijały zalesiony dziedziniec, jakiś starszy mężczyzna w wyblakłych szatach wyszedł niepewnie zza drzwi, próbując zorientować się w sytuacji. I dostrzegł przyspieszającą ciągle babcię Weatherwax.

- Ty?! - krzyknął. - Straże!

Niania Ogg nie wahała się ani chwili. Złapała Magrat za łokieć i puściła się biegiem. Przy bramie zamku zrównała się z babcią Weatherwax. Jeden ze

strażników, który rankami bywał przytomniejszy od kolegów, zrobił chwiejny krok do przodu i spróbował zastawić im drogę piką, ale babcia tylko ją pchnęła i obróciła go dookoła.

A potem były już na zewnątrz i pędziły do miotel opartych o pobliskie drzewo. Babcia nie zatrzymując się złapała swoją i przynajmniej raz zdołała ją uruchomić przy pierwszej próbie.

Strzała świsnęła obok i wbiła się w konar.

- Dziwnie okazują wdzięczność - stwierdziła Magrat, gdy miotły poszybowały w górę, ponad koronami drzew.

- Wielu ludzi po przebudzeniu jest w fatalnym humorze - wyjaśniła niania.

- Sprawiali wrażenie, jakby cię znali, babciu. Babcia szarpnęła miotłą na wietrze.

- Nie znali! - krzyknęła. - Nigdy dotąd mnie nie widzieli! Jasne?

Przez chwilę leciały w kłopotliwym milczeniu. Potem Magrat, która - w opinii niani Ogg - miała niewinny talent wchodzenia na niebezpieczny teren, odezwała się znowu.

- Zastanawiam się, czy słusznie postąpiliśmy. Jestem pewna, że było to zadanie dla jakiegoś przystojnego księcia.

- I co? - zapytała babcia lecąca na czele. - Co by komu z tego przyszło? Wytnie sobie drogę przez jeżyny i to ma dowodzić, że będzie dobrym mężem? To wrózkowe myślenie, ot co! Bieganie po świecie i sprowadzanie na ludzi szczęśliwych zakończeń, czy ich chcą, czy nie! Tak?

- W szczęśliwych zakończeniach nie ma nic złego! - zaprotestowała gorąco Magrat.

- Posłuchaj mnie uważnie. Szczęśliwe zakończenia są świetne, jeśli okażą się szczęśliwe. - Babcia spojrzała gniewnie w niebo. - Ale nie można tego załatwić za innych. Bo jedynym pewnym sposobem doprowadzenia do szczęśliwego małżeństwa jest ucięcie im głów, gdy tylko powiedzą „tak”, prawda? Nie stworzysz szczęścia...

Spojrzała na odległe miasto.

- Jedyne, co możesz - powiedziała - to doprowadzić wszystko do końca.

Na śniadanie zatrzymały się na leśnej polance. Zjadły pieczoną dynię. Chleb krasnoludów także został wzięty pod rozagę. Ale chleb krasnoludów był doprawdy cudowny: nikt nie cierpiał głodu, jeśli miał choć trochę chleba krasnoludów do uniknięcia. Wystarczyło popatrzeć na niego przez chwilę, a natychmiast przychodziło człowiekowi do głowy mnóstwo innych rzeczy, które wolałyby zjeść. Własne buty, na przykład. Góry. Owce na surowo. Swoje stopy.

Próbowały się trochę zdrzemnąć. To znaczy niania Ogg i Magrat próbowały. Ale oznaczało to tylko, że leżały i słuchały, jak babcia Weatherwax mruczy coś pod nosem. Nigdy jeszcze nie widziały jej tak poruszonej.

Potem niania zaproponowała spacer. Mamy piękny dzień, powiedziała. A wokół ciekawy typ lasu, powiedziała, z masą nowych ziół, którym warto się przyjrzeć. Wszyscy lepiej się poczują po przechadzce w słońcu, powiedziała. Humory im się poprawią.

Rzeczywiście, las okazał się całkiem ładny. Po mniej więcej półgodzinie nawet babcia Weatherwax skłonna była przyznać, że nie jest zupełnie zagraniczny i lichi. Od czasu do czasu Magrat schodziła w bok ze ścieżki i zrywała kwiaty. Niania odśpiewała nawet kilka wersów Laska maga ma na czubku gałkę przy zaledwie symbolicznych protestach dwóch pozostałych.

Mimo to nie wszystko było w porządku. Niania Ogg i Magrat wyczuwały barierę między sobą a babcią Weatherwax, rodzaj psychicznego muru, coś ważnego, świadomie skrywanego i niedopowiedzianego. Czarownice zwykle nie mają przed sobą sekretów, choćby z tego powodu, że są niezwykle wścibskie i nie dają najmniejszej szansy na ich utrzymanie.

Dlatego sytuacja była niepokojąca.

A potem skręciły za kępę wielkich dębów i spotkały małą dziewczynkę w czerwonym płaszczyku.

Biegła podskakując środkiem ścieżki i śpiewała piosenkę prostszą i o wiele czystsza niż dowolna z repertuaru niani Ogg. Nie zauważyła czarownic, dopóki prawie się z nimi nie zderzyła. Zatrzymała się wtedy i uśmiechnęła niewinnie.

- Dzień dobry, staruszki - powiedziała.

- Ehm - chrząknęła Magrat.

Babcia Weatherwax pochyliła się nad dzieckiem.

- Co robisz w lesie całkiem sama, panienko?

- Niosę ten koszyk z jedzeniem do mojej babci - wyjaśniła dziewczynka.

Babcia wyprostowała się, wpatrzona nieobecny wzrokiem w pustkę.

- Esme - rzuciła z naciskiem niania Ogg.

- Wiem, wiem - odpowiedziała babcia.

Magrat przykucnęła i ułożyła wargi w idiotyczny uśmiech, zwykle używany przez dorosłych, którzy chcieliby nawiązać dobre kontakt z dziećmi i nie mają na to najmniejszej szansy.

- Ehm... Powiedz, panienko... Czy mama nie kazała ci uważać na złe wilki, które przypadkiem krążą po okolicy?

- Zgadza się.

- A twoja babcia... - wtrąciła niania Ogg. - Domyślam się, że jest trochę chora i leży w łóżku, tak?

- Dlatego niosę jej koszyk zjedzeniem... - zaczęła dziewczynka.

- Tak myślałam.

- Znacie moją babcię?

- Ta-ak - zapewniła babcia Weatherwax. - W pewnym sensie.

- To się zdarzyło pod Skundem, kiedy byłam jeszcze mała - powiedziała cicho niania Ogg. - Nigdy nie znaleźli bab...

- A gdzie stoi domek twojej babci, dziewczynko? - spytała głośno babcia Weatherwax, szturchając nianię pod żebro. Dziewczynka wskazała dróżkę prowadzącą w bok.

- Ale nie jesteś złą czarownicą? - upewniła się. Niania Ogg zakaszła.

- Ja? Nie. Jesteśmy... jesteśmy... - zaczęła tłumaczyć babcia.

- Wrózkami - dokończyła Magrat. Babcia Weatherwax aż otworzyła usta ze zdumienia. Takie wyjaśnienie nigdy nie przyszłoby jej do głowy.

- Bo mama ostrzegała mnie też przed złą czarownicą - powiedziała dziewczynka. I obrzuciła Magrat surowym spojrzeniem. - Jakimi wrózkami?

- Eee... Kwietnymi? Popatrz, mam różdżkę...

- Jakimi?

- Co?

- Jakich kwiatów?

- No... - Magrat zastanowiła się szybko. - Ja... Ja jestem wrózką Tulipanką, a to... - wskazała na babcię - wróżka Stokrotka. A to jest...

- Wróżka Jeżynka - przedstawiła się niania Ogg. Ten dodatek do panteonu istot nadprzyrodzonych został poddany głębokiej rozwadze.

- Nie możesz być wróżką Jeżynka - stwierdziło po namyśle dziecko. - Jeż nie jest kwiatkiem.

- Skąd wiesz?

- Bo ma kolce.

- Ostrokrzew też ma. I oset.

-Aha.

- A ja mam różdżkę - powtórzyła Magrat.

Dopiero teraz odważyła się spojrzeć na wróżkę Stokrotkę.

- Powinnyśmy już iść - uznała babcia Weatherwax. - Zostań tu z wróżką Tulipanką, tak to chyba brzmiało, a my pójdziemy przodem i sprawdzimy, czy twojej babci nic nie grozi. Dobrze?

- Założę się, że to nie jest prawdziwa różdżka. - Dziecko zignorowało ją i zwróciło się do Magrat z bezbłędną dziecięcą zdolnością wyszukiwania w dowolnym łańcuchu najsłabszego ogniwa. - Założę się, że nie potrafi zmieniać rzeczy w inne rzeczy.

- No... - zaczęła Magrat.

- Założę się - mówiła dziewczynka - że nie dasz rady zmienić tego pnia, o tam, w... w... w dynię. Cha, cha, założę się o co chcesz. Założę się o trylion dolarów, że nie zmienisz tego pnia w dynię.

- Widzę, że świetnie sobie poradzicie - ucieszyła się wróżka Jeżynka. - Będziemy się spieszyć.

Dwie miotły sunęły nisko nad leśną dróżką.

- To może być zwykły przypadek - powiedziała niania Ogg.

- Ale nie jest - odparła babcia. - Dzieciak ma nawet czerwony płaszczyk.

- Też nosiłam czerwony płaszczyk, kiedy miałam piętnaście lat.

- Tak, ale twoja babcia mieszkała w sąsiednim domu. Kiedy szłaś w odwiedziny, nie musiałaś się przejmować wilkami.

- Z wyjątkiem tego lokatora, starego Sumpkinsa.

- Owszem, ale to był zwykły przypadek.

Błękitna smużka dymu wznosiła się nad drzewami przed nimi. Gdzieś z boku dobiegi trzask padającego drzewa.

- Drwale! - zawołała niania. - Wszystko będzie dobrze, skoro są tu drwale! Jeden z nich przybiegnie i...

- To się opowiada dzieciom - przerwała jej babcia. Mknęły coraz szybciej. - Zresztą nie pomoże to już babci, prawda? Ona już została zjedzona.

- Nie cierpiałam tej bajki - wyznała niania. - Nikt się nigdy nie przejmuję tym, co spotyka słabą, bezbronną staruszkę.

Dróżka zniknęła wśród trawy na brzegu polanki. W otoczeniu drzew leżał tam zaniedbany ogródek; kilka żalosnych pędów walczyło o resztkę światła. Pośrodku ogródka stało coś, co musiało być domkiem krytym strzechą - bo nikt tak krzywo nie ułożyłby stogu.

Zeskoczyły z mioteł, pozostawiając je, by same wyhamowały w krzakach, i zastukały do drzwi.

- Może już jest za późno? - wystraszyła się niania. - Wilk mógł... Po chwili usłyszały stłumiony głos kroków kogoś człapiącego wewnątrz; drzwi uchyliły się odrobinę. W mroku błysnęło podejrzliwe oko.

- Słucham? - odezwał się cichy, drżący głos dobiegający spod oka.

- Czy jest pani babcią? - upewniła się babcia Weatherwax.

- Czy jesteście poborcami podatków, kochaniutkie?

- Nie, droga pani, jesteśmy...

- ...wrózkami - dokończyła szybko wróżka Jeżynka.

- Nie otwieram drzwi nikomu, kogo nie znam, kochaniutkie - odparł głos, po czym nabrał urażonego tonu. - A zwłaszcza osobom, które nigdy po sobie nie zmywają, nawet kiedy im zostawiam miseczkę prawie świeżego mleka.

- Chcemy z panią chwilę porozmawiać - wyjaśniła wróżka Stokrotka.

- Tak? A macie jakiś dowód tożsamości, kochaniutkie?

- To na pewno jest właściwa babcia - stwierdziła wróżka Jeżynka. - Widzę rodzinne podobieństwo. Ma duże uszy.

- Przecież to nie ona powinna mieć duże uszy - burknęła wróżka Stokrotka. - To wilk ma duże uszy. Na tym cała rzecz polega. Czy ty nigdy nie uważasz?

Staruszka przyglądała im się z zaciekawieniem. Zawsze wierzyła we wróżki, ale widziała je dopiero pierwszy raz. Było to niezwykle przeżycie. Babcia Weatherwax dostrzegła jej zakłopotaną minę.

- Ujmę to w ten sposób - rzekła tonem rozsądnie despotycznym. - Czy chciałaby pani być żywcem zjedzona przez wilka?

- To by mi się chyba nie podobało, kochaniutka. O nie - wystraszyła się ukryta babcia.

- Alternatywą jesteśmy my.

- Olaboga... Jesteście pewne?

- Słowo wróżek - zapewniła wróżka Jeżynka.

- No... Naprawdę? No dobrze. Możecie wejść. Ale żadnych waszych sztuczek. I pamiętajcie, same po sobie zmywacie. A nie macie przypadkiem ze sobą garnka złota?

- To chyba skrzaty.

- Nie, one siedzą w studni. Jej chodzi o gobliny.

- Nie bądź głupia. One się czają pod mostami.

- To trolle. Wszyscy przecież wiedzą, że to trolle.

- W każdym razie nie my.

- Szkoda - westchnęła babcia. - Ale mogłam się domyślić.

Magrat lubiła myśleć, że dobrze radzi sobie z dziećmi, i martwiła się, że jednak nie. Nie lubiła ich specjalnie i to też ją martwiło. Niania Ogg radziła sobie z dziećmi bez wysiłku, na zmianę i całkiem przypadkowo dając im słodycze albo nacierając uszu. Babcia Weatherwax z kolei zwykle nie zwracała na dzieci uwagi i to też działało. Ale Magrat się przejmowała. Wszystko to nie wydawało się jej sprawiedliwe.

- Założę się o milion trylionów zylionów dolarów, że tego krzaka nie zamienisz w dynię - powiedziała dziewczynka.

- Ale pomyśl, przecież wszystkie inne się zmieniły - przypomniła jej Magrat.

- Prędzej czy później to musi przestać działać - odparto spokojnie dziecko.

Magrat bezradnie spojrzała na różdżkę. Próbowiła wszystkiego - myślała, szeptała życzenia, a nawet, kiedy sądziła, że inne czarownice są poza zasięgiem głosu, stukała nią w różne rzeczy i krzyczała: „Cokolwiek, byle nie dynia!”.

- Naprawdę wcale nie umiesz tego robić - stwierdziła dziewczynka.

- Powiedz mi... - Magrat zmieniła temat. - Mówiłaś, że twoja mama wie o dużym złym wilku w lesie. Tak?

- Zgadza się.

- Ale mimo to wysłała się całkiem samą, żebyś zaniósła ten koszyk do babci.

- Zgadza się. A co?
- Nic. Zastanawiałam się tylko. I jesteś mi winna milion trylionów zyilionów skuilionów dolarów.

Istnieje coś w rodzaju wolnomularstwa babć, z dodatkową przewagą, że aby do niego przystąpić, nikt nie musi stawać na jednej nodze i recytować przysięg. W chacie, z kociołkiem na ogniu, niania Ogg poczuła się jak w domu. Greebo wyciągnął się przy piecu i drzemał, a czarownice próbowały wyjaśnić sytuację.

- Nie wiem, w jaki sposób wilk mógłby się tu dostać, kochaniutkie - stwierdziła dobrotliwie babcia. - Przecież wilki nie umieją otwierać drzwi.

Babcia Weatherwax odsunęła podartą firankę i wyrzała na polanę.

- My wiemy - powiedziała.

Niania Ogg skinęła na wąskie łóżko w niszy obok pieca.

- Czy tutaj pani zwykle sypia? - spytała.

- Kiedy marnie się czuję, kochaniutka. Normalnie śpię na stryszku.

- Na pani miejscu bym się tam schowała. I proszę zabrać mojego kota, dobrze? Nie chcemy, żeby wchodził nam w drogę.

- Czy teraz posprzątaacie cały dom i pozmywacie wszystko za miseczkę mleka? - upewniła się z nadzieją babcia.

- Możliwe. Nigdy nic nie wiadomo.

- Zabawne, kochaniutka. Ale myślałam, że będziecie niższe...

- Dużo spacerujemy po świeżym powietrzu-wyjaśniła niania. - A teraz na górę.

Zostały we dwie. Babcia Weatherwax rozejrzała się po ciemnym pokoju. Sitowie na podłodze pokonało już sporą część drogi do stanu kompostu, a sadze pokrywały pajęczyny pod sufitem.

Jedyną metodą uporządkowania tego domu byłoby użycie łopaty, albo też - co wygodniejsze - zapalki.

- To zabawne - odezwała się niania Ogg, kiedy staruszka pokonała już skrzypiące schody. - Jest młodsza ode mnie. Oczywiście, ja ćwiczę.

- Nigdy w życiu nie ćwoczyłaś - zaprzeczyła babcia Weatherwax, wciąż obserwując krzaki. - Nigdy nie zrobiłaś nic, na co nie miałabyś ochoty.

- O to mi właśnie chodziło - zgodziła się radośnie niania. -Wiesz, Esme, ja nadal uważam, że to może być zwykły...

- Nie jest! Czuję opowieść. Ktoś w tej okolicy sprawia, że opowieści się sprawdzają. Wiem.

- I wiesz, kto to taki. Prawda, Esme? - spytała przebiegle niania. Zauważyła, że babcia nerwowo zbadła wzrokiem zakurzone ściany.

- Jest chyba za biedna, żeby pozwolić sobie na lustro - uspokoiła ją niania. - Nie jestem ślepa, Esme. I wiem, że wróżki chrzestne i zwierciadła występują razem. Powiesz mi, co się dzieje?

- Nic nie powiem. Nie chcę wyjść na wariatkę, jeśli się mylę. Nie mam zamiaru... Coś tu idzie!

Niania Ogg przycisnęła nos do brudnej szyby.

- Nic nie widzę.

- Krzaki się poruszyły. Wskakuj do łóżka!

- Ja? Myślałam, że to ty będziesz leżeć w łóżku.

- Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy.

- Teraz, kiedy się zastanowiłam, to sama nie wiem - mruknęła zniechęcona niania.

Z poręczy łóżka zdjęta miękki czepek, włożyła na głowę i wsunęła się pod zszywaną z łat koldrę.

- Ojej, ten materac jest wypchany sianem!

- Nie będziesz długo na nim leżeć.

- Kłuje! I chyba jest w nim coś żywego!

Coś uderzyło o ścianę chaty. Czarownice umilkły.

Zza kuchennych drzwi dobiegł odgłos obwąchiwania.

- A wiesz - szepnęła niania Ogg, gdy czekały na rozwój wydarzeń - komórka wygląda strasznie. Nie ma opału. I prawie nic do jedzenia. Stoi tam dzbanek mleka, które praktycznie samo już chodzi...

Babcia szybko podbiegła do pieca, po czym wróciła na stanowisko przy drzwiach frontowych.

Po chwili coś zaczęło drapać o skobel, jakby próbował go odsunąć ktoś, kto nie ma wprawy w posługiwaniu się ani drzwiami, ani palcami.

Drzwi zgrzytnęły i otworzyły się powoli.

Pomieszczenie wypełnił ostry zapach piżma i mokrej sierści.

Niepewne kroki skierowały się do postaci skulonej pod kołdrą.

Niania uniosła falbankę czepka - tylko trochę, żeby coś widzieć.

- I co? - powiedziała. A potem: - Niech mnie! Nie wiedziałam, że masz takie wielkie zęby!

Babcia Weatherwax zatrzasnęła drzwi i szybko zrobiła krok do przodu. Wilk odwrócił się i obronnym gestem podniósł łapę.

- Nioeee!

Babcia zawahała się przez sekundę, po czym z całej siły walnęła go w głowę żelazną patelnią. Wilk padł na podłogę. Niania Ogg zsunęła nogi z łóżka.

- Kiedy to się stało pod Skundem, mówili, że to był wilkołak albo coś podobnego. Pomyślałam wtedy, nie, wilkołaki nie są takie. Nigdy bym nie przypuszczała, że to prawdziwy wilk. Wystraszył mnie, nie ma co.

- Prawdziwe wilki nie chodzą na tylnych łapach i nie otwierają drzwi - zauważyła babcia Weatherwax. - Chodź, pomóż mi go wynieść.

- Przeraziłam się, kiedy zobaczyłam, jak prosto na mnie idzie wielki, kosmaty, zaśliniony potwór. - Niania chwyciła jeden koniec powalonego zwierzęcia. - Spotkałaś kiedy starego Sumpkinsa?

Rzeczywiście, wilk wyglądał całkiem zwyczajnie, tyle że był chudszy niż większość. Pod skórą sterczały mu żebra, sierść miał splątana. Ze studni obok wygodki babcia wyciągnęła wiadro mętnej wody i wylała mu ją na głowę.

Potem usiadła na pniu. Wysoko na gałęziach śpiewało kilka ptaków.

- On mówił - przypomniała. - Próbował powiedzieć „nie”.

- Też tak mi się zdawało - zgodziła się niania Ogg. - Ale pomyślałam, że może coś sobie wyobrażam.

- Nie warto niczego sobie wyobrażać. Sprawy wyglądają dostatecznie fatalnie.

Wilk stęknął. Babcia oddała niani patelnię.

- Spróbuję mu zajrzeć do wnętrza umysłu - powiedziała. Niania Ogg pokręciła głową.

- Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

- Ale to ja jestem na moim miejscu i muszę sprawdzić. Ty tylko stój tu i uważaj z tą patelnią.

Niania wzruszyła ramionami.

Babcia skoncentrowała się.

Bardzo trudno jest odczytać myśli człowieka. Większość . ludzi myśli stale o tak wielu rzeczach, że prawie niemożliwe jest wśród tej powodzi wyszukanie jednego strumienia.

Umysły zwierząt są inne. O wiele mniej zaśmiecone. Najłatwiejsze ze wszystkich są umysły drapieżników, zwłaszcza przed posiłkiem. W świecie psychiki nie ma kolorów, lecz gdyby istniały, umysł głodnego drapieżnika byłby gorący, purpurowy i ostry jak strzała. Umysły roślinożerców też są proste: spięte srebrzyste sprężyny, gotowe do ucieczki.

Ale to nie był zwyczajny umysł. To były dwa umysły.

Babcia wychwytywała czasem myśli leśnych łowców - kiedy siedziała spokojnie wieczorem i pozwalała swemu umysłowi błądzić bez celu. Wprawdzie rzadko, ale jednak czasem wydawały się podobne do tego, a przynajmniej do bladego cienia tego. Rzadko, kiedy łowca właśnie miał zaatakować, przypadkowe strumienie myśli zbiegały się w jeden. Ale to było inne. To było przeciwieństwem tamtego wrażenia - obłąkane, kalekie próby złuszczenia się ze smukłego grotu instynktu drapieżcy. To był umysł drapieżnika, który usiłował myśleć.

Nic dziwnego, że popadał w szaleństwo.

Otworzyła oczy.

Niania Ogg wznosiła nad jej głową patelnię. Ręce jej drżały.

- No - powiedziała. - Kto tam jest?

- Przydałby mi się kubek wody - powiedziała babcia. Wrodzona ostrożność przebiła się przez chaos myśli. - Ale nie z tej studni, jeśli można.

Niania uspokoiła się trochę. Kiedy czarownica zaczynała grzebać w cudzym umyśle, nigdy nie było pewności, kto powróci. Ale babcia Weatherwax była najlepsza. Magrat przez całe życie może próbować odnaleźć siebie, lecz babcia nie rozumiała samej idei poszukiwań. Jeśli nie potrafiła znaleźć drogi powrotnej do własnej głowy, to znaczy, że nie istniała żadna ścieżka.

- W chatce jest mleko - zaproponowała niania.

- Jaki miało kolor, mówiłaś?

- No... wciąż prawie biały.

- Dobrze.

Kiedy niania Ogg bezpiecznie odwróciła się plecami, babcia Weatherwax pozwoliła sobie na lekkie drżenie.

Patrzyła na wilka i zastanawiała się, jak może mu pomóc. Normalny wilk nie wszedłby do chaty, nawet gdyby zdołał otworzyć drzwi. Wilki nigdy nie zbliżają się do człowieka, chyba że jest ich dużo i że to koniec bardzo ciężkiej zimy. I robią to nie dlatego, że są duże, złe i niegodziwe, ale dlatego że są wilkami.

Ten wilk próbował być człowiekiem.

Chyba nie istniało żadne lekarstwo.

- Masz swoje mleko - odezwała się niania Ogg. Babcia wyciągnęła rękę i nie patrząc wzięła kubek.

- Ktoś zmusił tego wilka, żeby myślał, że jest osobą - powiedziała. - A kiedy już myślał, że jest osobą, zapomnieli o nim. To się stało kilka lat temu.

- Skąd wiesz?

- Ja... mam jego wspomnienia.

Instynkty również, pomyślała. Wiedziała, że minie wiele dni, zanim przestanie marzyć o ściganiu sań po śniegu.

- Aha.

- Utknął między gatunkami.

- Można mu pomóc? Babcia pokręciła głową.

- To już zbyt długo trwa. Teraz jest jak nałóg. On głoduje. Nie może przejść ani na jedną stronę, ani na drugą. Nie umie już zachowywać się jak wilk i nie potrafi być człowiekiem. Ani nie może żyć tak dalej.

Po raz pierwszy spojrzała na nianię. Niania cofnęła się odruchowo.

- Nie wyobrażasz sobie, jakie to uczucie - powiedziała babcia. - Włóczyć się tak latami. Niezdolny, by działać jak człowiek, nie potrafiący być wilkiem. Nie możesz sobie wyobrazić...

- Może i mogę - odparła cicho niania. - Widzę to w twojej twarzy. Może i mogę... Kto to zrobił temu stworzeniu?

- Mam swoje podejrzenia. Obejrzały się.

Od strony lasu szła Magrat z dzieckiem. Obok nich maszerował jeden z drwali.

- Ha! - mruknęła babcia. - No tak. Oczywiście. Zawsze musi nastąpić... - z obrzydzeniem wyrzuciła z siebie te słowa - ...szczęśliwe zakończenie.

Wilcza łapa spróbowała chwycić ją za kostkę.

Babcia Weatherwax spojrzała w wilcze ślepie.

- Prrrooose - zawarczał. - Koooneeec. Teeerrraasss. Przyklęła i ujęła jego łapę.

- Tak? - spytała.

- Taaakhhh!

Wstała znowu, pełna godności. Skinęła na zbliżającą się trójkę.

- Panie drwalu! - zawołała. - Jest tu praca dla pana.

Drwal nigdy nie zrozumiał, dlaczego wilk tak chętnie położył łeb na pniu.

Ani dlaczego stara kobieta, ta, w której gniew bulgotał niczym jęczmienna kasza w zupie, uparła się potem, żeby pochować zwierzaka jak należy, zamiast obdrzeć ze skóry i rzucić w krzaki. Była bardzo stanowcza w tej kwestii.

I taki był koniec dużego złego wilka.

Minęła godzina. Spora grupa drwali zebrała się w pobliżu chatki, gdzie najwyraźniej działo się sporo ciekawych rzeczy. Wyręb drzew to niezbyt urozmaicona praca.

Magrat szorowała podłogę, korzystając z takiej tylko magicznej pomocy, jakiej mogły jej udzielić wiadro wody z mydłem i ostra szczotka. Nawet niania Ogg, której zainteresowanie dumną rolą gospodyni przeminęło z chwilą, kiedy jej najstarsza córka mogła utrzymać miotłkę do kurzu, czyściła ściany. Sama babcia dziewczynki, nie całkiem świadoma wydarzeń, biegła za nimi ze spodeczkiem mleka. Pająki, od pokoleń dziedziczące sufit, zostały łagodnie, ale stanowczo wyproszone za próg.

A babcia Weatherwax spacerowała po polance z głównym drwalem - młodym człowiekiem o piersi jak beczka, który najwyraźniej sądził, że w skórzanych, nabijanych ćwiekami bransoletach wygląda lepiej, niż rzeczywiście wyglądał.

- Włóczył się tutaj od lat, nie? - mówił. - Cały czas kręcił się koło wiosek i gdzie tam jeszcze.

- I nigdy nie próbowałaś z nim rozmawiać? - spytała babcia.

- Rozmawiać? Przecież to wilk, nie? Nie rozmawia się z wilkami. Zwierzęta nie umieją mówić.

- Hmm... Rozumiem. A co ze staruszką? Wielu was tu jest, drwali. Czy czasem, no wiesz, wpadacie zobaczyć, co u niej słyszać?

- Co? Nie, nie ma obawy.

- Dlaczego?

Główny drwal pochylił się do niej konspiracyjnie.

- No więc mówią, że jest czarownicą, nie?

- Naprawdę? - zdziwiła się babcia. - A skąd to wiadomo?

- Ma przecież wszystkie znaki, nie?

- Jakież to znaki?

Drwal poczuł lekkie ukłucie niepokoju.

- No... jest... Mieszka całkiem sama w lesie, nie?

- Tak...?

- I... i... ma haczykowaty nos i stale coś do siebie mamrocze...

- Tak...?

- I nie ma zębów, nie?

- Coś podobnego. - Babcia westchnęła. - Rozumiem, że z podobnymi do niej wolisz nie mieć do czynienia, prawda?

- Szczera prawda - potwierdził z ulgą drwal.

- Przecież mogłaby cię zmienić właściwie w cokolwiek. Wystarczy, żeby popatrzyła, prawda? - Babcia wetknęła palec do ucha i pokręciła nim w zadumie.

- Potrafią to robić, wie pani...

- Na pewno potrafią. Na pewno - zgodziła się babcia. - Pewniej się czuję, kiedy widzę, że jest was tu tylu silnych chłopaków. Tss, tss. Hm. Mogę obejrzeć twój topór, młody człowieku?

Podał jej siekierę. Babcia chwyciła ją i ugięła się dramatycznie. Na ostrzu pozostały jeszcze ślady wilczej krwi.

- Ależ ona wielka - powiedziała. - Ale ty sobie z nią radzisz, jak sądzę.

- Dwa lata z rzędu wygrywałem srebrny pas na leśnych zawodach - pochwalił się drwal.

- Dwa lata z rzędu? Dwa lata z rzędu? No, no... To dobrze. To bardzo dobrze. A popatrz, ja ledwie zdołam ją unieść.

Babcia chwyciła siekierę jedną ręką i machnęła nią niefachowo. Drwal odskoczył do tyłu, gdy ostrze świsnęło mu przed twarzą i zagłębiło się na ćwierć cala w drzewie.

- Przepraszam cię bardzo - powiedziała babcia Weatherwax. - Straszna ze mnie niezdara. Nigdy sobie nie radziłam z techniką.

Uśmiechnął się tylko i spróbował wyrwać siekierę. Nagle zbladł i osunął się na kolana.

Babcia schyliła mu się do ucha.

- Mogłeś zatroszczyć się o staruszkę - powiedziała spokojnie. - Mogłeś porozmawiać z wilkiem. Ale nie zrobiłeś tego. Prawda?

Próbował odpowiedzieć, lecz zęby jakoś nie chciały mu się rozewrzeć.

- Widzę, że ci bardzo przykro z tego powodu - mówiła dalej babcia. - Widzę, że rozumiesz swoje błędy. I pewnie nie możesz się doczekać, żeby wyremontować jej chatkę, zadbać o ogródek, dopilnować, żeby codziennie dostawała świeże mleko i żeby miała drewno na opał, prawda? Właściwie wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś okazał się tak wspaniałomyślny, żeby zbudować jej całkiem nowy domek, z porządną studnią i wszystkim. Gdzieś niedaleko wioski, żeby mnie musiała mieszkać sama, prawda? Wiesz, czasami widzę przyszłość i po prostu wiem, że tak się stanie. Prawda?

Pot spływał mu po twarzy. Zdawało się, że płuca także przestały pracować.

- I wiem, że dotrzymasz słowa. Tak się z tego cieszę, że postaram się, by szczęście wyjątkowo ci sprzyjało - obiecała babcia tym samym uprzejmym, monotonnym głosem. - Praca przy wyrębie bywa niebezpieczna. Ludziom wiele zagraża. Drzewa mogą przypadkiem na nich upaść, ostrze siekiery może spaść nagle i rozbić im głowę. - Drwał zadrżał tylko, a babcia mówiła dalej: - Dlatego postanowiłam rzucić skromny czar, który sprawi, że żadne z tych nieszczęść tobie się nie przytrafi. To dlatego że jestem ci taka wdzięczna. Bo pomagasz tej starszej pani. Jasne? Wystarczy, że kiwniesz.

Udało mu się odrobinę przesunąć głowę. Babcia Weatherwax uśmiechnęła się serdecznie.

- No właśnie. - Wyprostowała się i strzepnęła ze spódnicy drobinę próchna. - Widzisz, jak miło się żyje, kiedy wszyscy pomagamy sobie nawzajem?

Czarownice odeszły w porze obiadu. Do tego czasu chatka staruszki wypełniła się ludźmi, a powietrze głosem pracujących pił i młotów - takie wieści jak

przepowiednia babci Weatherwax szybko się rozchodzą. Trzej drwale przekopywali grządki w ogródku, dwaj inni starali się oczyścić komin, a czterej byli już w połowie głębokości nowej studni, kopanej w zadziwiającym tempie.

Babcia staruszka należała do osób, które trzymają się jednej myśli, dopóki inna nie usunie jej siłą. W tej chwili kończyły się jej już talerzyki do nalewania mleka.

Czarownice wymknęły się, korzystając z tej krzątaniny.

- Widzicie? - powiedziała Magrat, kiedy szły dróżką. - Miło popatrzeć, jak ludzie biorą się do pomocy, jeśli tylko ktoś da im dobry przykład. Nie trzeba ich cały czas straszyć.

Niania Ogg zerknęła na babcię.

- Zauważyłam, że rozmawiałas z głównym drwalem. O czym mówiliście?

- O trocinach.

- Doprawdy?

- Jeden z drwali powiedział, że w lesie dzieją się dziwne rzeczy - poinformowała Magrat. - Mówił, że zwierzęta zachowują się jak ludzie. Niedaleko stąd mieszkała rodzina niedźwiedzi.

- Nie ma nic dziwnego w tym, że niedźwiedzia rodzina żyje razem - odparła niania. - To bardzo towarzyskie zwierzęta.

- W domku?

- A to rzeczywiście dziwne.

- To właśnie miałam na myśli.

- Chyba trochę dziwnie byś się poczuła, gdybyś zajrzała pożyczyć trochę cukru - domyśliła się niania. - Pewnie sąsiedzi na nie narzekali.

- Pewnie tak - zgodziła się Magrat. - Mówili „kwik”.

- Dlaczego mieliby mówić „kwik”?

- Bo nie potrafili inaczej. To byty świnie.

- Mieliliśmy takich sąsiadów, kiedy jeszcze mieszkaliśmy... - zaczęła niania.

- Zwyczajne świnie. No wiecie. Cztery nogi. Kręcony ogonek. To, czym jest wieprzowina, zanim się stanie wieprzowiną. Świnie.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek pozwolił świnom mieszkać w domu - stwierdziła babcia.

- On mówił, że nie pozwalali. Zbudowały sobie własny. Było ich trzy. Trzy małe świnki.

- I co się z nimi stało? - spytała niania.

- Wilk je pożarł. Były chyba jedynymi zwierzętami dostatecznie głupimi, żeby dopuścić go blisko siebie. Nie znaleziono żadnych śladów, najwyżej na płaszczyźnie duchowej.

- To przykre.

- Drwal twierdzi, że nie potrafiły dobrze budować.

- A czego się spodziewałaś? Racicami?

- Mówi, że dach strasznie przecieka, akurat nad jego łóżkiem.

Czarownice szły dalej w milczeniu. Przerwała je niania Ogg.

- Pamiętam, słyszałam kiedyś - powiedziała, zerkając na babcię Weatherwax - o takiej czarodziejce, która mieszkała na wyspie i żeglarzy, którzy tam dopłynęli, zmieniała w świnię.

- Jak mogła robić coś tak strasznego! - przejęła się Magrat, jakby na dany sygnał.

- Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, jaki człowiek jest w środku - odpowiedziała niania. - Spójrzcie na takiego Greeba. - Greebo, zwinięty na jej ramionach jak nieco cuchnący futrzany kołnierz, zamruczał. - Jest właściwie jak człowiek.

- Opowiadasz bzdury, Gytho - stwierdziła babcia Weatherwax.

- To dlatego że ludzie mi nie mówią, co naprawdę o tym wszystkim myślą.

- Powiedziałam, że nie jestem pewna.

- Ale zajrzałaś do umysłu wilka.

- Tak, zajrzałam.

- No więc... Babcia westchnęła.

- Ktoś był tu przed nami. Przechodził. Ktoś, kto umie wykorzystać potęgę opowieści. A te opowieści... tak jakby snuły się po okolicy. Tak się zachowują, kiedy są karmione...

- Ale dlaczego ktoś miałby to robić? - zapytała niania.

- Dla praktyki.

- Praktyki? Czego?

- Przypuszczam, że wkrótce się dowiemy - odparła tajemniczo babcia.

- Powinnaś mi powiedzieć, co o tym myślisz. Wiesz przecież, że to ja jestem tutaj oficjalną matką chrzestną. Powinnam wiedzieć. Powinnaś mi mówić.

Dreszcz przeszedł nianię Ogg. Jako głowa rodu Oggów doskonale знаła takie emocjonalne groźne tereny. Taka uwaga w takiej chwili była jak odrobina śniegu

zsuwająca się z najwyższej gałęzi wysokiego drzewa w górach, w porze roztopów. To jeden koniec procesu, na którego drugim końcu bez wątpienia znajdowało się kilka pochłoniętych przez lawinę wiosek. Całe gałęzie rodu Oggów przestały rozmawiać z innymi gałęziami rodu Oggów z powodu „Dziękuję ci bardzo” wypowiedzianego nieodpowiednim tonem i w nieodpowiednim miejscu. A to było o wiele gorsze.

- Słuchajcie - wtrąciła pośpiesznie. - Może byśmy...

- Niczego nie muszę tłumaczyć - oznajmiła babcia Weatherwax.

- Ale jesteśmy podobno trzema czarownicami - przypomniała Magrat. - Jeśli w ogóle można nas jeszcze nazwać czarownicami - dodała.

- Co chciałaś przez to powiedzieć, jeśli wolno spytać? - zapytała babcia.

Jeśli wolno spytać, pomyślała niania Ogg. Ktoś zakończył zdanie „jeśli wolno spytać”. To tak jakby ktoś uderzył kogoś innego rękawicą, a potem rzucił ją na podłogę. Kiedy ktoś skończy zdanie „jeśli wolno spytać”, to już nie ma odwrotu.

Mimo to spróbowała.

- A może jakiś...

Magrat brnęła z szaleńczą desperacją kogoś, kto tańczy przy blasku palonych mostów.

- No więc - zaczęła - moim zdaniem...

- Tak? - wtrąciła lodowato babcia.

- Moim zdaniem - spróbowała jeszcze raz Magrat - jedyne czary, jakich używamy, to tylko... no, głowologia. Nie coś, co ktoś inny mógłby nazwać czarami. To tylko patrzeć na ludzi z góry i oszukiwanie ich. Wykorzystywanie ich naiwności. Nie tego oczekiwałam, kiedy postanowiłam zostać czarownicą...

- A kto powiedział - przerwała jej babcia powoli i wyraźnie - że już zostałaś czarownicą?

- Słowo daję, wiatr robi się coraz mocniejszy; może lepiej... - zaczęła niania Ogg.

- Co takiego powiedziałaś? - spytała Magrat.

Niania Ogg zakryła oczy rękami. Prosić kogoś, żeby powtórzył zdanie, które nie tylko doskonale się słyszało, ale też które było straszliwie irytujące, w leksykonie sprzeczek znajdowało się w okolicach Defconu!.

- Zdawało mi się, że mówię dostatecznie wyraźnie - odparła babcia. - Jestem zdziwiona, że ktoś mógł nie dosłyszeć. Ja słyszałam doskonale...

- Dmucha coraz mocniej, więc...

- Moim zdaniem potrafię być dostatecznie zarozumiała, przykra i nieuprzejma, żeby zostać czarownicą - oświadczyła Magrat. - Przecież niczego więcej nie trzeba.

- Nieuprzejma? Ja?

- Lubisz ludzi potrzebujących pomocy, bo kiedy potrzebują pomocy, są słabi, a pomaganie im sprawia, że ty sama czujesz się silna. Co złego może sprawić odrobina magii?

- Nigdy nie kończy się na odrobinie, durna dziewczucho! Magrat poczerwieniała ze złości. Sięgnęła do sakwy i wyjęła cienką książeczkę. Machnęła nią, jakby to była broń.

- Może i jestem głupia - sapnęła z przejęcia - ale przynajmniej staram się czegoś nauczyć. Wiesz, do czego ludzie mogą używać magii? W tej książce piszą o takich, którzy potrafią... potrafią... chodzić po rozżarzonych węglach albo wsadzić rękę w ogień i nie zrobić sobie krzywdy!

- Tanie sztuczki!

- Naprawdę umieją!

- Niemożliwe. Nikt tego nie potrafi.

- To pokazuje, że panują nad wszystkim! Magia to coś więcej niż tylko wiedza o różnych rzeczach i manipulowanie ludźmi!

- Tak? Wystarczy poprosić gwiazdkę albo posypać coś pyłkiem wróżek? I od tego ludzie będą szczęśliwsi?

- Musi być trochę i tego! Inaczej po co byłoby cokolwiek? A poza tym... Kiedy przyszedłam do domku Dezyderaty, szukałaś różdżki, prawda?

- Nie chciałam, żeby wpadła w nieodpowiednie ręce!

- To znaczy każde oprócz twoich? Patrzyły na siebie gniewnie.

- Czy nie masz w duszy nawet drobinki romantyzmu? - spytała żałośnie Magrat.

- Nie - odparła babcia. - Nie mam. A gwiazdy nie dbają o to, czego sobie życzysz, magia niczego nie poprawia i nikt nie uniknie oparzeń, jeśli wsadzi rękę do ognia. Jeśli chcesz dojść do czegoś jako czarownica, Magrat Garlick, musisz się nauczyć trzech rzeczy. Co jest realne, co nie jest realne i na czym polega różnica.

- I zawsze zapisuj nazwisko i adres młodego człowieka - dodała niania. - U mnie działało za każdym razem. Żartowałam - dodała szybko, kiedy obie popatrzyły na nią z wściekłością.

Wiatr wznosił się na granicy lasu. Żdźbła trawy i zerwane liście fruwały w powietrzu.

- Na szczęście idziemy dobrą drogą! - zawołała niania głośno, rozpaczliwie szukając czegokolwiek, co zajmie uwagę dwóch pozostałych. - Patrzcie. Na drogowskazu stoi „Genoa”.

Rzeczywiście stało. Był to stary, przegniły drogowskaz, ustawiony na samym brzegu lasu. Tablicę wycięto na kształt wskazującego palca.

- W dodatku to całkiem przyzwoita droga - paplała niania.

Kłótnia uspokoiła się trochę, po prostu dlatego że obie zaangażowane strony nie rozmawiały ze sobą. Nie zwyczajnie powstrzymywały się od komunikacji głosowej - to tylko brak mowy. Zjawisko przekraczało ten opis i sięgało na drugą stronę, ku strasliwym, gniewnym słowom: Nierozmawianie Ze Sobą.

- Żółta cegła - mówiła niania. - Czy kto kiedy słyszał, żeby budować drogę z żółtej cegły?

Magrat i babcia Weatherwax stały odwrócone plecami do siebie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

- Okolica weselej od tego wygląda - uznała niania. - To pewnie dlatego.

Na horyzoncie Genoa iskrzyła się wśród zieleni. Przed nimi droga opadała w dolinę usianą małymi wioskami. Rzeka wiała się, zdążając w stronę miasta.

Wiatr szarpał spódnicę niani.

- Nie polecimy przy takiej wichurze - powiedziała, wciąż po kobiecemu usiłując samodzielnie podtrzymywać rozmowę trzech osób. - No to musimy iść pieszo, co? - uznała, po czym dodała, ponieważ isierka złościwości tli się nawet w duszach tak niewinnych jak niani Ogg: - Ze śpiewem na ustach. Co wy na to?

- Z pewnością nie do mnie należy krytykowanie tego, co inni postanowią robić - rzekła babcia. - To nie moja sprawa. Ale przypuszczam, że niektórzy, zwłaszcza tacy, co mają różdżki i wielkie plany, pewnie chcieliby wyrazić opinię.

- Ha! - powiedziała Magrat.

Ruszyły ceglana drogą w kierunku dalekiego miasta. Szły gęsiego, z nianią Ogg - niczym ruchomym państwem buforowym - pośrodku.

- Niektórym - odezwała się Magrat do świata jako takiego - przydałoby się trochę serca.

- Niektórym - oznajmiła babcia Weatherwax, zwracając się do zachmurzonego nieba - przydałoby się o wiele więcej rozumu.

Po czym przytrzymała kapelusz, żeby wiatr go nie zdmuchnął.

A mnie, pomyślała niania Ogg z przekonaniem, przydałby się solidny drink.

Trzy minuty później spadła jej na głowę wiejska chata.

Przez ten czas czarownice zwiększyły odstęp między sobą. Babcia Weatherwax kroczyła gniewnie na czele, a Magrat wlokła się nadąsana z tyłu. Niania szła pośrodku. Jak później opowiadała, nawet nie próbowała śpiewać. W jednej chwili drogą szła niska, pulchna czarownica, a w następnej stał tam rozsypujący się drewniany domek.

Babcia Weatherwax odwróciła się i odkryła, że stoi przed krzywymi, niemalowanymi drzwiami frontowymi. Magrat niemal wpadła na drzwi kuchenne z tego samego szarego, wyblakłego drewna.

Panowała cisza, zakłócana tylko trzeszczeniem osiadających belek.

- Gytho! - zawołała babcia.

- Nianiu! - krzyknęła Magrat.

Obie otworzyły drzwi.

Domek był zbudowany według prostego planu, z dwoma pokojami na parterze przedzielonymi korytarzem biegnącym od frontu na tyły. Pośrodku korytarza, w otoczeniu połamanych, przeoranych przez termyty desek podłogi, pod wbitym aż po brodę szpiczastym kapeluszem tkwiła niania Ogg. Nigdzie nie było ani śladu Greeba.

- Co się stało? - powtarzała. - Co się stało?

- Domek spadł ci na głowę - poinformowała Magrat.

- Aha. Jeden z tych... - stwierdziła niezbyt sensownie niania. Babcia chwyciła ją za ramiona.

- Gytho? Ile widzisz palców? - spytała niespokojnie.

- Jakich palców? Jest całkiem ciemno. Magrat i babcia złapały rondo kapelusza niani i częściowo zdjęły, a częściowy odkręciły go z jej głowy. Zamrugła.

- To wiklinowe wzmocnienia - stwierdziła, chwiejąc się lekko, kiedy szpiczasty kapelusz, niczym powstająca z martwych parasolka, z traskiem powrócił do zwykłego kształtu. - Kapelusz z wiklinowym wzmocnieniem wytrzymało uderzenie młota. To dzięki tym wspornikom. Rozkładają siłę. Muszę napisać do pana Vernissage.

Magrat ze zdziwieniem rozglądała się dookoła.

- Ten domek po prostu spadł z nieba! - powiedziała.

- Pewnie gdzieś było jakieś solidne tornado albo co - mówiła niania. - Porwało go, rozumiesz, a kiedy wiatr zelżał, dom spadł. Przy ostrych wiatrach zdarzają się dziwne rzeczy. Pamiętasz ten huragan w zeszłym roku? Jedna moja kwoka cztery razy znosiła to samo jajko.

- Ona majaczy - wystraszyła się Magrat.

- Nie, wcale nie. Zawsze tak mówię. Babcia Weatherwax zajrzała do pokoju.

- Pewnie nie znajdzie się tu nic do jedzenia i picia - mruknęła.

- Mogłabym się chyba zmusić do przełknięcia odrobiny brandy - zapewniła szybko niania. Magrat zajrzała na schody.

- Hej! - zawołała zduszonym głosem kogoś, kto chce być usłyszany, nie demonstrując przy tym złych manier i nie podnosząc głosu. - Jest tam kto?

Niania zajrzała pod schody. Greebo był skuloną kulką sierści w samym kącie. Wyciągnęła go za skórę na grzbiecie i poklepała niepewnie. Mimo kapeluszniczego arcydzieła pana Vernissage, mimo spróchniałej podłogi, nawet mimo legendarnych twardych czaszek Oggów czuła lekkie oszołomienie, a także przyływ pewnej nostalgii. W rodzinnych stronach nikogo nie wałęsała po domach po głowie.

- Wiesz, Greebo - powiedziała. - Chyba nie jesteśmy w Lancre.

- Znalazłam dżem! - zawołała babcia Weatherwax z kuchni. Niewiele trzeba było, żeby poprawić humor niani Ogg.

- Świetnie! - krzyknęła w odpowiedzi. - Przyda się do chleba krasnoludów.

Wróciła Magrat.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy wyjadać cudze zapasy - oświadczyła. - Przecież ten dom musi do kogoś należeć.

- Och... Czyżby ktoś coś mówił, Gytho? - spytała dumnie babcia Weatherwax.

Niania przewróciła oczami.

- Chciałam tylko zauważyć, nianiu - wyjaśniła Magrat - że to nie nasza własność.

- Mówi, że to nie nasze, Esme - przekazała niania.

- Przekaż wszystkim zainteresowanym, Gytho, że to tak jak ładunek uratowany z wraku - powiedziała babcia.

- Mówi, że kto znalazł, ten ma - powtórzyła niania.

Coś poruszyło się za oknem. Magrat wyrzała przez brudną szybę.

- Zabawne. Cała grupa krasnoludów tańczy dookoła domku. Babcia zeszywniała.

- Czy one... To znaczy, zapytaj ją, Gytho, czy śpiewają.

- Śpiewają, Magrat?

- Coś słyszę... Brzmi jak „ding-dong, ding-dong”.

- Tak, to piosenka krasnoludów - stwierdziła niania. - Tylko oni potrafią przez cały dzień ciągnąć jedno hej-ho.

- Wydają się bardzo zadowolone - dodała Magrat ze zdziwieniem.

- Bo to pewnie był ich domek i cieszą się, że go znalazły. Ktoś zastukał do kuchennych drzwi. Magrat otworzyła. Kilku jaskrawo ubranych i wyraźnie zakłopotanych krasnoludów odstąpiło czym prędzej i przyjrzało się jej czujnie.

- Tego... - odezwał się jeden z nich, najwyraźniej przywódca. - Czy stara czarownica nie żyje?

- Która stara czarownica? - upewniła się Magrat. Przez chwilę krasnolud wpatrywał się w nią z szeroko otwartymi ustami. Potem odwrócił się i odbył szeptem krótką konsultację z kolegami.

- A ile ich macie?

- Możecie wybierać z dwóch - odparła Magrat. Nie była w najlepszym humorze i uczestniczyła w konwersacji na możliwie minimalnym poziomie. Jednak niezwykła dla niej złośliwość kazała dodać: - Którą tylko zechcecie.

- Aha. - Krasnolud zastanowił się przez chwilę. - A ta czarownica, na którą spadł domek?

- Niania? Nie, ona jeszcze żyje. Jest tylko trochę oszołomiona. Ale dziękuję. To ładnie, że się o nią troszczycie.

Odpowiedź zaskoczyła krasnoludy. Zebrały się razem i Magrat usłyszała jakieś przyciszony spór.

Potem przywódca krasnoludów stanął przed nią, zdjął hełm i nerwowo obrócił go w dłoniach.

- No... - zaczął. - Czy moglibyśmy zabrać jej buty?

- Co?

- Jej buty. - Krasnolud zaczerwienił się mocno. - Moglibyśmy je dostać? Proszę.

- Ale po co wam jej buty?

Krasnolud spojrzał na nią, po czym znów naradził się z kolegami.

- Mamy takie... uczucie... że powinniśmy zabrać jej buty - wyjaśnił.

Stał nieruchomo i tylko mrugał oczami.

- Pójdę zapytać - odparła Magrat. - Ale nie sądzę, żeby się zgodziła.

Kiedy chciała już zamknąć drzwi, krasnolud znowu obrócił w dłoniach hełm.

- Ale są rubinowe, prawda? - spytał jeszcze.

- Są czerwone - wyjaśniła Magrat. - Mogą być?

- Muszą być czerwone. - Cała grupa krasnoludów kiwnęła głowami. -

Wszystko na nic, jeśli nie są czerwone.

Magrat spojrzała na niego zdziwiona i zamknęła drzwi.

- Nianiu - odezwała się wolno, kiedy tylko wróciła do kuchni. - Przed drzwiami stoją jakieś krasnoludy i chcą dostać twoje buty.

Niania znalazła w kredensie bochenek czerstwego chleba i teraz przeżuwała pracowicie. Zadziwiające, co potrafi zjeść człowiek, jeśli alternatywą jest chleb krasnoludów.

- A po co są im potrzebne? - spytała.

- Nie powiedziały. Twierdzą tylko, że mają uczucie, jakby koniecznie potrzebowały twoich butów.

- Uważam, że to bardzo podejrzane - wtrąciła babcia.

- Stary Shaker Wistley spod Więcierskich Źródeł szalał za butami - powiedziała niania i odłożyła nóż do chleba. - Zwłaszcza za czarnymi, zapinanymi na guziczki. Kolekcjonował je. Kiedy zobaczył, że przechodzisz obok w nowej parze, musiał poleżeć, żeby się uspokoić.

- To chyba trochę zanadto wyrafinowane jak na krasnoludy - mruknęła babcia.

- Może chcą z nich pić? - zgadywała niania.

- Jak to pić? - zdziwiła się Magrat.

- No wiesz, w obcych stronach robią takie rzeczy - wyjaśniła niania. - Piją wino z bąbelkami z butów dam.

Wszystkie trzy spojrzały na buty niani.

Nawet ona sama nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego ktoś chciałby pić z nich cokolwiek i co by się z nim działo później.

- Niech mnie... To nawet bardziej wyrafinowane niż stary Shaker Wistley - stwierdziła niania w zadumie.

- Sprawiały wrażenie trochę tym zdziwionych - dodała Magrat.

- No myślę. Nieczęsto zdarza się komuś uczucie, że powinien ściągać buty przyzwoitym czarownicom. Brzmi to jak kolejna opowieść, która fruwa tu w powietrzu - uznała babcia Weatherwax. - Uważam, że należy porozmawiać z tymi krasnoludami.

Wyszła na korytarzyk i otworzyła drzwi.

- Słucham - powiedziała surowo.

Krasnoludy cofnęły się trochę na jej widok. Nastąpiła wymiana szeptów, szturchania się łokciami i komentarzy w stylu „Nie, teraz ty” i „Ja pytałem poprzednio”. Wreszcie wypchnięto naprzód jednego z krasnoludów. Może nawet tego samego co na początku - z krasnoludami naprawdę trudno powiedzieć.

- Ehm... - powiedział. - Tego... Buty?

- Po co? - spytała babcia. Krasnolud poskrobał się w głowę.

- Niech mnie licho, jeśli wiem - wyznał. - Sami się nad tym zastanawialiśmy, szczerze mówiąc. Pół godziny temu wyszliśmy z kopalni węgla, bo właśnie skończyliśmy szachtę, zobaczyliśmy, że domek ląduje na... na czarownicy, i... no...

- Po prostu wiedzieliście, że musicie tu przybiec i ukraść jej buty?

Oblicze krasnoluda rozpromieniło się w pełnym ulgi uśmiechu.

- Otóż to! - potwierdził. - I śpiewać ding-dong. Tyle że ona powinna być zgnieciona na płasko. Bez urazy - dodał szybko.

- To wiklinowe wzmocnienia - zabrzmiał głos za plecami babci. - Warte tyle żółta, ile same ważą.

Babcia przyglądała się krasnoludom przez chwilę i wreszcie uśmiechnęła się szeroko.

- Wejdźcie do środka, chłopcy - powiedziała. - Chcę wam zadać kilka pytań.

Krasnoludy spoglądały po sobie niepewnie.

- Ehm... - odezwał się ich rzecznik.

- Boicie się wejść do domu, gdzie są czarownice? - spytała babcia Weatherwax.

Rzecznik zaczerwienił się i kiwnął głową. Magrat i niania Ogg za plecami babci wymieniły znaczące spojrzenia. Wyraźnie działa się tutaj coś niedobrego. Krasnoludy w górach nie obawiały się czarownic. Trudność sprawiało raczej powstrzymanie ich od kopania sztolni przez podłogę.

- Przypuszczam, że dawno już zeszlście z gór - domyśliła się babcia.

- Trafiliśmy na bardzo obiecujący pokład węglowy... - wymamrotał rzecznik, obracając w dłoniach hełm.

- Założę się, że dawno też nie kosztowaliście porządnego chleba krasnoludów...

Oczy rzecznika zaszyły mgłą...

- Pieczonego z najdrobniejszego grysu startego na kamieniach, takiego, po jakim skakały wasze matki - mówiła dalej babcia. Krasnoludy westchnęły chóralnie.

- Tutaj nie można go dostać - poskarżył się ze spuszczoną głową rzecznik. - Chyba woda jest nie taka albo co. Zanim parę lat minie, rozpada się na kawałki.

- Dodają do niego mąki - dodał zgryźliwie inny krasnolud.

- Nawet gorzej. Piekarz w Genoi dodaje jeszcze suszone owoce - oświadczył ze zgrozą trzeci.

- No tak... - Babcia zatarła ręce. - Może będę w stanie wam pomóc. Mamy chyba niewielki zapasik chleba krasnoludów.

- Nie... To nie może być prawdziwy chleb krasnoludów - odparł smętnie rzecznik. - Prawdziwy chleb krasnoludów trzeba wrzucać do rzek i suszyć, siedzieć na nim i zostawiać, patrzeć na niego codziennie i odkładać znowu. W tych okolicach po prostu takiego nie ma.

- Być może to wasz szczęśliwy dzień... - pocieszyła go babcia Weatherwax.

- Szczerze mówiąc - dodała niania Ogg - wydaje mi się, że kot nasiusił na część tego chleba.

Rzecznik krasnoludów uniósł głowę. Oczy mu błyszczały.

- Poważnie?

Kochany Jasonie i wszyscy,

co za życie, mnóstwo się dzieje różnych rzeczy, żeśmy spotkały gadające wilki i kobiety śpiące w zamkach. Będę wam miała co opowiadać, jak już wrócimy, nie ma co. Tylko nie mów mi o domkach, co mi przypomina, żebyś wziął i posłał kogoś do pana Vernissage pod Kromką i przekazał komplementy pani Ogg i jakie robi świetne kapelusze, może mówić „Niania Ogg poleca”, wytrzymują 100% wszystkich domów, a poza tym kiedy piszesz do ludzi i mówisz, jakie dobre rzeczy robią, czasami dostajesz coś za darmo. I może czeka mnie za to nowy kapelusz, więc nie zapomnij.

Lilith wyszła ze swej komnaty luster. Mgliste wizerunki sunęły za nią, niknąc powoli,

Czarownice powinny być zmiażdżone, kiedy lądują na nich domki. Lilith wiedziała to doskonale. Całkiem zmiażdżone, oprócz sterczących na zewnątrz butów.

Czasami ogarniało ją zniechęcenie. Ludzie zwyczajnie nie umieli porządnie odegrać swoich ról.

Zastanawiała się, czy istnieje coś takiego jak przeciwieństwo wróżki chrzestnej. W końcu większość zjawisk ma swoje przeciwieństwo. Jeśli tak, nie byłaby to zła wróżka chrzestna, ponieważ ta jest tylko dobrą wróżką ogladaną z innego punktu widzenia.

Przeciwieństwem byłby ktoś, kto zatruwa opowieści. Ktoś, pomyślała Lilith, kto jest najbardziej złą istotą na świecie.

No cóż, tutaj, w Genoi, przynajmniej jednej opowieści nikt nie zdoła powstrzymać. Ma już rozpęd. Kto stanie jej na przeszkodzie, będzie wchłonięty, stanie się elementem fabuły. Nie trzeba się nawet starać - opowieść zrobi wszystko sama. A Lilith ma na dodatek satysfakcję płynącą z pewności, że nie może przegrać. To przecież ona jest dobrą wróżką.

Przeszła wzdłuż blanków i schodami w dół, do swojej komnaty, gdzie czekały dwie siostry. Umiały doskonale czekać. Potrafiły godzinami siedzieć bez jednego mrugnięcia.

Duc nie zgadzał się nawet przebywać w tym samym pomieszczeniu co one.

Odwróciły głowy, kiedy weszła.

Nie dała im głosów. Nie były konieczne. Wystarczyło, że siostry są piękne i rozumieją.

- Musicie iść teraz do tego domu - powiedziała. - Słuchajcie uważnie. Pewne osoby przyjdą jutro zobaczyć Ellę. Musicie im na to pozwolić, rozumiecie?

Obserwowały jej wargi. Obserwowały wszystko, co się poruszało.

- Będą mi potrzebne do opowieści. Nie rozwinie się jak należy, jeżeli nie spróbują jej powstrzymać. A potem... może dam wam głosy. Chciałybyście, prawda?

Spojrzały na siebie nawzajem, później na Lilith. A potem na klatkę w kącie pokoju.

Lilith uśmiechnęła się, sięgnęła do wnętrza i wyjęła dwie białe myszki.

- Najmłodsza czarownica może się wam spodobać - powiedziała. - Jeszcze zobaczę, co można z nią zrobić. A teraz... otwórzcie...

Trzy miotły szybowwały w przedwieczornym zmierzchu. Przynajmniej raz czarownice się nie sprzeczały. Krasnoludy przypomniwały im dom. Każde serce by zmiękło na ich widok: siedziały w koło i wpatrywały się w chleb krasnoludów, jakby konsumowały go wzrokiem, co jest najlepszym sposobem konsumpcji chleba krasnoludów. To, co kazało im szukać rubinowych bucików, rozplynęło się w aurze jego realności. Jak stwierdziła babcia, długo trzeba by szukać, żeby znaleźć coś bardziej realnego niż chleb krasnoludów.

Potem wyszła, żeby porozmawiać z ich przywódcą.

Nie zdradziła, co jej powiedział, a one nie miały śmiałości pytać. Teraz leciała kawałek przed nimi.

Od czasu do czasu mruczała coś w rodzaju „Matki chrzestne!” albo „Wprawa”.

Ale nawet Magrat, która nie miała doświadczenia, wyczuwała już Genoę tak, jak barometr wyczuwa ciśnienie. W Genoi opowieści ożywały. W Genoi ktoś próbował spełniać sny.

Pamiętacie niektóre ze swoich snów?

Genoa leżała nad deltą rzeki Vieux, która była źródłem jej , bogactwa. A Genoa była bogata. Kontrolowała kiedyś ujście rzeki i nakładała podatki na wszystkie towary w sposób, którego nie można nazwać piractwem, gdyż czyniły to władze miasta; była to zatem rozsądna i godna pochwały działalność gospodarcza. Bagna i jeziora w delcie dostarczały pełzających, pływających i fruwających składników potraw, które genoańską kuchnię uczyniłyby sławną na całym Dysku, gdyby - jak już wspomniano - ludzie częściej podróżowali.

Genoa była bogata, leniwa i niezagrożona. Kiedyś sporo czasu poświęcała tej szczególnej odmianie polityki obywatelskiej, która pojawia się naturalnie w niektórych

miastach-państwach. Na przykład dawniej miasto mogło sobie pozwolić na największy poza Ankh-Morpork wydział Gildii Skrytobójców, a jego członkowie mieli tyle pracy, że klienci musieli czasem czekać miesiącami¹⁷.

Ale skrytobójcy wyjechali dawno temu. Są rzeczy, które budzą wstręt nawet u szakali.

Miasto zaskakiwało. Z daleka przypominało złożony biały kryształ wyrastający z zieleni i brązów bagna.

Z bliska dało się rozróżnić najpierw zewnętrzny pierścień małych domków, potem wewnętrzny pierścień wielkich, imponujących białych budynków, i wreszcie w samym środku pałac. Był wysoki, zdobny w liczne wieże -jak zamek stojący na wystawie eleganckiej cukierni. Każda smukła wieża wydawała się zaprojektowana specjalnie do przetrzymywania w niej uwięzionej księżniczki.

Magrat zadrżała. Ale zaraz przypomniała sobie o ródźce. Matka chrzestna ma swoje obowiązki.

- Przypomina mi to jeszcze jedną historię o Czarnej Aliss - oświadczyła niania Ogg. - Pamiętam, zamknęła kiedyś taką dziewczynę z długimi warkoczami w wieży tak wysokiej jak one. Rumpelstitzel czy jak jej było...

- Ale się wydostała? - upewniła się Magrat.

- Tak. Czasem zdrowo jest rozpuścić włosy.

- Hm... Ludowe legendy... - mruknęła babcia. Zbliżyły się już do miejskich murów.

- Przy bramie stoją strażnicy - zauważyła Magrat. - Przelecimy górą?

Babcia zmrużyła oczy i spojrzała na najwyższą wieżę zamku.

- Nie - postanowiła. - Wylądujemy i wejdziemy pieszo. Zęby nie straszyć mieszkańców.

- Tam jest taka ładna, płaska zielona łączka, zaraz za tymi drzewami. - Magrat wyciągnęła rękę.

Babcia na próbę przeszła kawałek tam i z powrotem. Buty mlaskały jej i chlupotały oskarżycielsko i wodniście.

¹⁷ Podczas gdy w Ankh-Morpork interesy szły często tak słabo, że niektórzy bardziej nowocześni członkowie Gildii wywieszali reklamy na sklepowych wystawach. Proponowali transakcje zniżkowe typu „Dwa zasztyletowania - jedno otrucie darmo”.

- Przecież powiedziałam, że mi przykro - jęknęła Magrat. - Ta polanka wydawała się całkiem płaska...

- Woda zwykle się taka wydaje - stwierdziła niania. Siedziała na pniu drzewa i wyżywała spódnice.

- Przecież nawet wy nie poznaliście, że to woda. Wyglądała tak... tak... trawiaście, z tymi wszystkimi wodorostami i zielonym pływającym po wierzchu.

- Moim zdaniem woda i ląd nie mogą tu zdecydować, co jest czym - uznała niania. Rozejrzała się po niegościnnej okolicy.

Drzewa wyrastały i bagna. Wyglądały na poszarpane, bardzo zagraniczne i zdawało się, że gniją rosnąc. Tam, gdzie powierzchnia wody była odkryta, przypominała czarny atrament. Od czasu do czasu wypływało kilka bąbelków. Gdzieś dalej płynęła rzeka, jeśli można mieć co do tego pewność w tej krainie gęstej wody i ziemi, która kołysze się pod nogami.

Niania zamrugła zdumiona.

- To dziwne - powiedziała.

- Co takiego? - spytała babcia.

- Zdawało mi się, że widzę... jak coś biegnie. O tam. Między drzewami.

- W takim miejscu to pewnie była kaczka.

- Było większe od kaczki - zapewniła niania. - Zabawne, ale wyglądało trochę jak domek.

- A tak... Biegł sobie z dymem wznoszącym się z komina, co? - rzuciła drwiąco babcia.

Niania ucieszyła się wyraźnie.

- Też go widziałaś?

Babcia wzniosła oczy ku niebu.

- Chodźmy - rzekła. - Wrócimy na drogę.

- Tego... - odezwała się Magrat. - A jak?

Spojrzały na nominalny grunt pomiędzy ich w miarę suchym schronieniem a drogą. Był żółtawy. Pływały po nim gałęzie i rosły kępki podejrzanie zielonej trawy. Niania urwała gałąź z powalonego drzewa, na którym siedziała, i rzuciła ją na kilka sążni od siebie. Gałąź z cichym pluśnięciem uderzyła o powierzchnię i zatonęła, wydając odgłos jak ktoś, kto usiłuje wypić przez słomkę ostatnią kroplę napoju.

- Przelecimy do niej, naturalnie - stwierdziła niania.

- Wy dwie możecie - zgodziła się babcia. - Ale ja nie uruchomię miody, bo nie ma tu miejsca na rozbieg.

W końcu przewiozła ją Magrat, a niania leciała za nimi, holując kapryśną babciną miotłę.

- Mam tylko nadzieję, że nikt nas nie zauważył - powiedziała babcia, kiedy osiągnęły względnie bezpieczną powierzchnię.

Blżej miasta z bagiennym traktem łączyły się inne drogi. Były zatłoczone, a przed bramą stała długa kolejka ludzi.

Z poziomu ziemi miasto wydawało się jeszcze wspanialsze. Lśniło jak polerowany kryształ na tle bagiennych

oparów, a barwne flagi zwisały z murów.

- Nieźle wygląda - mruknęła z uznaniem niania.

- Bardzo czyste - dodała Magrat.

- Tak się tylko wydaje z zewnątrz - stwierdziła babcia, która widziała już miasto. - Kiedy wejdziemy za mury, okaże się pełne żebraków, hałasu i rynsztoków, w których nie wiadomo co płynie. Zapamiętajcie moje słowa.

- Odprawiają sporo ludzi - zauważyła niania.

- Na łodzi mówili, że wiele osób przybywa tu na Tłustą Porę Obiadową - przypomniała babcia. - A wśród nich pewnie sporo takich, którzy nie są odpowiedni.

Pół tuzina strażników obserwowało, jak się zbliżają.

- Elegancko umundurowani - pochwaliła babcia. - Aż miło popatrzeć. Nie to co w domu.

W całym Lancre było tylko sześć kolczug, wyprodukowanych w rozmiarze, który powinien pasować na wszystkich. Ale nie pasował. Zęby nie były zbyt obwisłe, stosowano sznurki i drut - w Lancre rolę strażnika pałacowego podejmował zwykle dowolny obywatel, który akurat nie miał nic innego do roboty.

Strażnicy tutaj mieli wszyscy po sześć stóp wzrostu i nawet babcia musiała przyznać, że wyglądali imponująco w wesołych, czerwono-niebieskich mundurach. Jedyni prawdziwi strażnicy miejscy, jakich przedtem widziała, pełnili służbę w Ankh-Morpork. A widok strażnika miejskiego w Ankh-Morpork skłaniał rozsądnych ludzi do

zastanowienia, czy miasto mógłby zaatakować ktoś jeszcze gorszy. Z pewnością ich widok nie sprawiał przyjemności.

Ku jej zdumieniu, gdy tylko weszła pod luk bramy, skrzyżowały się przed nią dwie piki.

- Nie atakujemy miasta - wyjaśniła. Kapral zasalutował.

- Nie, proszę pani - zgodził się. - Ale mamy rozkaz zatrzymywania przypadków granicznych.

- Granicznych? - zdziwiła się niania. - Co w nas jest granicznego?

Kapral przełknął ślinę. Trudno było wytrzymać wzrok babci Weatherwax.

- No więc... Jesteście panie nieco... brudne. Cisza aż dźwięczała. Babcia nabrała tchu.

- Miałyśmy drobny wypadek na bagnach - wtrąciła szybko Ma-grat.

- Jestem pewien, że zaraz wszystko się wyjaśni - zapewnił nieszczęsny kapral. - Za chwilę będzie tu nasz kapitan. Bo zawsze są kłopoty, jeśli wpuszczymy nieodpowiednie osoby. Zdziwiłyby się panie, jacy ludzie czasem próbują wejść.

- Nie można wpuszczać nieodpowiednich osób - zgodziła się niania Ogg. - Nie chcielibyśmy, żebyście wpuszczali nieodpowiednie osoby. Powiem nawet, że nie chcielibyśmy wchodzić do miasta, które wpuszcza nieodpowiednie osoby. Mam rację, Esme?

Magrat kopnęła ją w kostkę.

- Dobrze, że my jesteśmy odpowiednimi osobami - dokończyła niania Ogg.

- O co chodzi, kapralu?

Kapitan straży wyszedł przez drzwiczki w murze i zbliżył się do czarownic.

- Te... Te panie chcą przejść, sir - wyjaśnił kapral.

- I co?

- Bo są trochę... no wie pan, sir, nie w stu procentach czyste. -Kapral kulił się pod spojrzeniem babci. -Jedna z nich ma zmierzwione włosy...

- Coś takiego! - oburzyła się Magrat.

- ...a druga używa chyba wulgarnego języka.

- Co?! - Uśmiech niani znikł bez śladu. - Wygarbuję ci skórę, ty łobuzie!

- Ale mają miotły, kapralu - zauważył kapitan. - Sprzątaczkom trudno ciągle zachowywać czystość.

- Sprzątaczkom? - powtórzyła babcia.

- Jestem przekonany, że nie mniej od was, kapralu, chciałyby o siebie zadbać.

- Przepraszam bardzo... - wtrąciła babcia, wypowiadając te słowa tonem, jakiego zwykle używa się przy okrzykach „do ataku!” albo „śmierć!”. - Przepraszam bardzo, ale czy ten szpiczasty kapelusz, jaki mam na głowie, cokolwiek panom mówi?

Żołnierze obejrżeli go uprzejmie.

- Może nam pani podpowie? - poprosił w końcu dowódca.

- On znaczy...

- Musimy już biec, jeśli to panom nie przeszkadza - wtrąciła niania. - Mamy dużo sprzątania. - Skinęła miotłą. - Idziemy, moje panie.

Wraz z Magrat chwyciły babcię Weatherwax pod pachy i pociągnęły przez bramę, zanim jej lont się dopalił. Babcia Weatherwax zawsze utrzymywała, że zanim człowiek straci cierpliwość, należy policzyć do dziesięciu. Nikt nie wiedział dlaczego, bo jedynym tego skutkiem był wzrost ciśnienia, przez co następujący zaraz potem wybuch stawał się o wiele gorszy.

Czarownice nie zatrzymywały się, póki nie straciły bramy z oczu.

- Nie powinnaś tego brać do siebie, Esme - uspokajała przyjaciółkę niania Ogg. - Jesteśmy trochę ubłocone, musisz przyznać. Oni po prostu wykonywali swoje obowiązki, prawda? Nie można mieć pretensji.

- Potraktowali nas, jakbyśmy byli zwyczajnymi ludźmi! - Babcia wyraźnie przeżyła szok.

- To obce strony, babciu - tłumaczyła Magrat. - Zresztą sama mówiłaś, że ludzie na statku też nie rozpoznali kapelusza.

- Ale wtedy nie chciałam, żeby rozpoznali. To co innego.

- To zwykły przypadek, babciu. Przecież to tylko głupi żołnierze. Nie umieli rozpoznać nawet swobodnej formy fryzury.

Niania rozejrzała się dookoła. Mijały ich tłumy przechodniów, a praktycznie wszyscy szli w milczeniu.

- Ale musisz przyznać, że to ładne i czyste miasto - stwierdziła. Zbadały wzrokiem otoczenie.

Znalazły się z pewnością w najczystszej części, jakie w życiu widziały. Nawet kamienie bruku wyglądały jak wypolerowane.

- Można by jeść z ulicy - stwierdziła niania, kiedy ruszyły dalej.

- Tak, ale ty i tak zjadłabyś z ulicy - odparła babcia.

- Nie zjadłabym wszystkiego. Patrzcie, nawet rynsztoki są wyszorowane. Ani Ronalda¹⁸ w polu widzenia.

- Gytho!

- Przecież sama mówiłaś, że w Ankh-Morpork...

- To było gdzie indziej!

- Jest nieskazitelnie czysto - stwierdziła Magrat. - Człowiek żałuje, że nie wyczyścił butów.

- Tak. - Niania Ogg spojrzała w głąb ulicy. - Człowiek żałuje nawet, że nie jest lepszym człowiekiem.

- Dlaczego obie szepczecie? - zdziwiła się babcia. Podążyła wzrokiem za ich spojrzeniami. Na rogu ulicy stał strażnik. Kiedy zauważył, że mu się przyglądają, dotknął hełmu i uśmiechnął się lekko.

- Nawet strażnicy są uprzejmi - zdumiała się Magrat.

- I jest ich bardzo dużo - dodała babcia.

- Właściwie to dziwne, że potrzebują aż tylu w mieście, gdzie mieszkańcy są tacy czyści i spokojni.

- Może mają do rozprowadzenia tyle miłych uczuć, że muszą zatrudniać wielu ludzi - podpowiedziała niania Ogg.

- Domki też ładne - oceniła Magrat. - Bardzo malownicze i staroświeckie.

Babcia Weatherwax, która mieszkała w domku tak staroświeckim, jak to tylko możliwe dla czegoś, co nie jest bryłą metamorficznej skały, powstrzymała się od komentarza.

Po chwili niania Ogg zaczęła czuć, że ma stopy.

- Powinnyśmy znaleźć jakiś nocleg - oznajmiła. - Tej dziewczyny poszukamy rano. Lepiej nam pójdzie, jeśli się dobrze wyśpimy.

- I wykąpiemy - dodała Magrat. - Kąpiel z kojącymi ziołami.

- Dobry pomysł - zgodziła się niania. - Mnie też przyda się kąpiel.

- Coś takiego... Czyżby to już była jesień? - mruknęła kwaśnym tonem babcia.

- Tak? A kiedy ty ostatnio brałaś kąpiel, Esme?

- Jak to ostatnio?

- No właśnie. Więc nie musisz złośliwie komentować moich ablucji.

¹⁸ Ronald III z Lancre był podobno wyjątkowo niesympatycznym władcą i został zapamiętany przez potomnych jedynie w tym niejasnym slangowym powiedzonku.

- Kąpiele są niehigieniczne - oznajmiła babcia. - Wiesz, że nigdy nie uznawałam kąpieli. Siedzieć tak we własnym brudzie...

- A co ty robisz w takim razie? - spytała Magrat.

- Po prostu się myję - wyjaśniła babcia. - Wszystkie części. No wiesz. O ile i kiedy stają się dostępne.

W jakimkolwiek stopniu były dostępne, a nie udzielono żadnych dalszych informacji na ten temat, z pewnością ich dostępność była o wiele większa niż noclegów w Genoi w okresie Tłustej Pory Obiadowej.

Wszystkie tawerny i gospody były bardziej niż pełne. Tłumy przechodniów stopniowo spychały czarownice z głównych ulic ku mniej eleganckim dzielnicom, ale i tam nie znalazły noclegów dla całej trójki.

Babcia Weatherwax miała już dosyć.

- Wchodzimy do następnej gospody, jaką spotkamy - postanowiła. - Co tam jest napisane? Niania Ogg obejrzała napis.

- Hotel... Miejsc... Brak... - wymamrotała. I rozpromieniła się. - Hotel. Miejscowe braki. Pewnie to ich najlepsze danie, jakieś raki albo co z miejscowych stawów.

- Może być - zdecydowała babcia.

Otworzyła drzwi. Krągły, rumiany człowieczek za ladą uniósł głowę. Był nowy w tym fachu i bardzo nerwowy; poprzedni pracownik zniknął, gdyż nie był dostatecznie krągły i rumiany.

Babcia nie marnowała czasu.

- Widzisz ten kapelusz? - spytała. - Widzisz tę miotłę? Człowieczek popatrzył na nią, na miotłę i znowu na nią.

- Tak - przyznał. - Co z tego?

- To z tego, że chcemy trzy pokoje na noc - wyjaśniła babcia, zerkając z dumą na koleżanki.

- I kielbasę - dodała niania Ogg. - Żadnych braków.

- I jeden posiłek wegetariański - uzupełniła Magrat. - Raki się nie liczą.

Człowieczek przyjrzał im się uważnie. Potem podszedł do drzwi.

- Widzicie te drzwi? - zapytał.-- Widzicie ten szyld?

- Szyldy nas nie interesują - odparła babcia.
- W takim razie poddaję się. - Westchnął. - Co naprawdę znaczy szpiczasty kapelusz i miotła?
- Znaczy, że jestem czarownicą. Człowieczek przechylił głowę.
- Tak? To jakaś nowa nazwa starej wariatki?

Kochany Jasonie i wszyscy, pisała niania Ogg. Wiecie, nie mają tu pojęcia o czarownicach, tacy są zacofani w tych obcych stronach. Jakiś człowiek rozdrażnił Esme i pewnie by się zezłościła, więc Magrat i ja żeśmy ją złapały i wyprowadziły, bo kiedy się robi tak, że ktoś myśli, że się w coś zmienił, zawsze są kłopoty. Pamiętasz ostatnim razem, kiedy żeś musiał iść i wykopać staw dla pana Wilkinsa...

Udało im się znaleźć wolny stolik w tawernie. Była pełna gości wszelkich ras. Hałas sięgał poziomu krzyku, a dym kłębił się w powietrzu.

- Przestań tak skrobać, Gytho - burknęła babcia. - Działasz mi na nerwy.
- Muszą tu mieć czarownice - przekonywała Magrat. - Wszędzie mają. W zagranicy też muszą. Czarownice bywają wszędzie.
- Jak karaluchy - dodała zadowolona z siebie niania Ogg.
- Powinniście mi pozwolić sprawić, by uwierzył, że zmienił się w żabę - mruknęła babcia.

- Nie możesz tak robić, Esme. Nie możesz zmuszać ludzi do wiary, że są różnymi rzeczami tylko dlatego, że byli bezczelni i nie wiedzieli, kim jesteś - przekonywała niania. - Inaczej potąd będziemy miały podskakujących ludzi.

Mimo wielu gróźb babcia Weatherwax nigdy jeszcze nikogo nie zamieniła w żabę. Z jej punktu widzenia istniało rozwiązanie formalnie mniej okrutne, a przy tym dające więcej satysfakcji. Można było zostawić winnego w ludzkim kształcie i kazać mu wierzyć, że jest żabą, co dodatkowo dostarczało przechodniom niewinnej rozrywki.

- Zawsze było mi żal pana Wilkinsa - oświadczyła Magrat, wpatrując się smętnie w blat stołu. - Aż przykro było patrzeć, jak próbuje łapać muchy językiem.
- Nie powinien mówić tego, co powiedział - rzekła babcia.
- Czego? Ze jesteś apodyktyczną wścibską staruchą? - upewniła się niewinnym tonem niania.

- Nie przeszkadza mi krytyka - zapewniła babcia. - Znacnie mnie. Nigdy się nie obrażałam na słowa krytyki. Nikt nie może powiedzieć, że krytyka mnie złości...

- W każdym razie nie dwa razy - dodała niania. - Nie bez kumkania.

- Po prostu nie mogę znieść niesprawiedliwych zarzutów - dokończyła babcia.

- A ty przestań się tak uśmiechać. Zresztą nie rozumiem, o co tyle hałasu. Po paru dniach czar się wyczerpał.

- Pani Wilkins mówi, że on nadal lubi pływać - przypomniała sobie Magrat. - Zyskał nowe zainteresowania, powiedziała. Słuchajcie, a może oni tu mają jakieś inne czarownice? Może noszą jakieś inne ubrania?

- Istnieje tylko jeden rodzaj czarownic - stwierdziła stanowczo babcia. - I my nim jesteśmy.

Rozejrzała się po sali. Oczywiście, pomyślała, jeśli ktoś nie dopuszcza tu czarownic, to ludzie o nich nie wiedzą. Ktoś, kto nie chce, żeby inni się wtrącali. Ale nas wpuściła...

- Co tam, przynajmniej jesteśmy w suchym miejscu - uznała niania.

Jakiś pijak w grupie za nimi odchylił głowę, żeby wybuchnąć śmiechem, i oblał jej plecy piwem.

Wymamrotała coś pod nosem.

Magrat zobaczyła, jak mężczyzna podnosi kufel, by pociągnąć jeszcze raz, i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w zawartość. Potem upuścił naczynie i wybiegł, trzymając się za gardło.

- Co zrobiłaś z jego piwem? - spytała.

- Jesteś za młoda, żeby ci tłumaczyć - odparła niania.

W domu, jeśli czarownica chciała mieć stolik dla siebie, on... po prostu się zdarzał. Wystarczył widok szpiczastego kapelusza. Ludzie uprzejmie trzymali się z daleka, tylko od czasu do czasu przysyłali drinki. Nawet Magrat cieszyła się szacunkiem, nie żeby ktoś się jej szczególnie obawiał, ale dlatego że afront wyrządzony jednej czarownicy był afrontem dla wszystkich czarownic i nikt nie chciał, by babcia Weatherwax zjawiła się i wytłumaczyła mu to osobiście. Tutaj natomiast były zwyczajnie potrącane, jak zwykli ludzie. Tylko uspokajający uścisk dłoni niani Ogg na ramieniu babci Weatherwax ocalił kilkunastu piwoszów przed nienaturalną płazowatością. Ale nawet zwykłe opanowanie niani zaczynało się kruszyć. Zawsze chwaliła się, że jest tak zwyczajna jak błoto, ale można być zwyczajnym i zwyczajnym. To jak ten książkę Jakmutambyto z bajki dla dzieci, który lubił

spacerować po swoim królestwie ubrany jak człowiek z gminu. Zawsze podejrzewała, że ten mały drań pilnował, by ludzie z góry wiedzieli, kim jest - na wypadek gdyby gmin próbował zanadto się spoufalić.

To było jak ubrudzenie się błotem. Ubłocenie się, kiedy czeka człowieka wanna z gorącą wodą, bywa całkiem zabawne. Ubłocenie się, kiedy może się spodziewać tylko błota, wcale nie bawi.

Niania wyciągnęła wnioski.

- Słuchajcie, może się napijemy? - zaproponowała pogodnie.

- Wszystkie poczuje się lepiej.

- O nie - zaprotestowała babcia. - Ostatnio dałam się nabrać na ten napój ziołowy. Jestem pewna, że zawierał alkohol. Po szóstym kieliszku czułam wyraźne zawroty głowy. Nie będę więcej piła zagranicznych świństw.

- Ale coś przecież pić musisz. - Magrat starała się ją uspokoić.

- Ja w każdym razie mam pragnienie. - Spojrzała w stronę baru. - Może podają tu jakieś puchary owocowe albo coś w tym rodzaju.

- Na pewno. - Niania wstała, popatrzyła na bar i dyskretnie wyjęła z kapelusza szpilkę. - Zaraz wracam.

Dwie czarownice pozostały same, spowite posępną aurą. Babcia wpatrywała się nieruchomo w blat stołu.

- Nie powinnaś tak się przejmować tylko dlatego, że ludzie nie okazują ci szacunku - powiedziała Magrat, lejąc kojącą oliwę na płomień słusznego gniewu. - Mnie też rzadko kiedy okazują choć trochę. To żaden kłopot.

- Jeśli nie masz szacunku, to nic nie masz - odparła ponuro babcia.

- Sama nie wiem. Ja sobie jakoś z tym radzę.

- Bo jesteś zmokłą kurą, Magrat Garlick.

Zapadła krótka, gorąca chwila milczenia, dźwięcząca słowami, które nie powinny się wyrwać, i kilkoma stęknieniami bolesnego zdumienia od strony baru.

Wiem, że zawsze tak uważała, mówiła sobie Magrat za żarzącymi się murami zakłopotania. Po prostu nie sądziłam, że kiedyś powie to głośno. I nigdy nie przeprosi, bo nie robi takich rzeczy. Spodziewa się, że ludzie zapomną. A ja tylko próbowałam się z nią zaprzyjaźnić. Jeśli w ogóle ma jakichś przyjaciół.

- No to jestem! - zawołała niania Ogg, wynurzając się z tłoku z tacą w rękach. - Napoje owocowe.

Usiadła i spojrzała na obie czarownice.

- Robione z bananów - dodała w nadziei na wykrzesanie choć iskierki zainteresowania którejś z koleżanek. - Pamiętam, kiedyś nasz Shane przywiózł do domu banana. O rany, aleśmy się wtedy uśmieiali. Tutaj powiedziałam do barmana: Jakie napoje owocowe się tu pije?", a on podał mi to. Z bananów. Bananowy napój. Będzie wam smakował. Wszyscy to tutaj piją. Ma w środku banany.

- Ma bardzo... intensywny smak - stwierdziła Magrat, sącząc ostrożnie ze swojej szklanki. - I chyba dodają cukru.

- Pewnie tak - zgodziła się niania Ogg.

Spojrzała na zmarszczone czoło babci Weatherwax, znamionujące zadumę średniej głębokości, po czym sięgnęła po ołówek i profesjonalnym gestem polizała koniec.

W każdym razie mają tu drinki b. tanie. Jest taki, co go nazwali bananana daikry i to właściwie rum z bananananami¹⁹ w środku. Czuje, że dobrze mi robi. Tu jest b. duża wilgoć. Mam nadzieję, że znajdziemy jakieś miejsce na noc, naprawdę, bo Esme zawsze wali się z nóg, a w każdym razie na czyjeś nogi. Narysowałam obrazek banananana daikry i widzicie, że cały jest pusty, aż po dno. Ucałowania MAMA.

W końcu znalazły stajnię. Była, jak z satysfakcją stwierdziła niania Ogg, prawdopodobnie cieplejsza i bardziej higieniczna niż oberże, a w obcych stronach żyły pewnie miliony ludzi, które oddałyby prawą rękę za taki wygodny, suchy nocleg.

Zdołała tym skruszyć tyle lodu, co nóż zrobiony z mydła.

Niewiele trzeba, by czarownice się pokłóciły.

Magrat leżała na swoim worku odzieży jak na poduszce i słuchała cichego, delikatnego bębnienia deszczu o dach.

Wszystko szło źle, zanim się jeszcze zaczęło, myślała. Nie wiem, dlaczego pozwoliłam im lecieć ze mną. Doskonale potrafię załatwić coś całkiem sama dla odmiany, ale one stale traktują mnie jak... jak zmokłą kurę. Nie wiem, dlaczego mam znosić te jej dąsy i to, że wiecznie na mnie warczy. Niby co w niej jest takiego niezwykłego? Rzadko w ogóle robi coś magicznego, cokolwiek mówi o tym niania. I naprawdę dużo krzyczy i się rządzi. Co do niani, to owszem, chce dobrze, ale

¹⁹ Niania Ogg wiedziała, jak zacząć pisać słowo „banan”, nie umiała tylko skończyć.

brakuje jej poczucia odpowiedzialności. Myślałam, że umrę, kiedy zaczęła śpiewać w gospodarstwie tę piosenkę o Jezusie. Mam tylko nadzieję, że ludzie nie zrozumieli słów.

Ja tu jestem matką chrzestną i wróżką. Nie jesteśmy w domu. W obcych stronach sprawy na pewno załatwia się inaczej.

Wstała o brzasku. Obie starsze czarownice spały jeszcze spokojnie, choć określenie „spokojnie” niezbyt pasuje do dźwięków, jakie wydawała z siebie babcia Weatherwax.

Magrat włożyła najlepszą sukienkę - z zielonego jedwabiu, niestety straszliwie w tej chwili pomiętego. Wyjęła pakunek w bibułce i odwinęła swoją okultystyczną biżuterię; kupiła ją, by jakoś oderwać się od bycia Magrat. Niestety, miała już trzy pełne pudła i wciąż pozostała zasadniczo tą samą osobą.

Zrobiła co mogła, żeby usunąć z włosów siano. Potem odpakowała różdżkę.

Żałowała, że nie ma lustra, żeby się przejrzeć.

- Mam różdżkę - powiedziała cicho. - Nie rozumiem, po co mi potrzebna pomoc. Dezyderata kazała im przekazać, żeby nie pomagały.

Przyszło jej do głowy, że w tym względzie Dezyderata okazała się bardzo lekkomyślna. Jednego przecież mogła być pewna: jeśli ktoś powie babci Weatherwax i niani Ogg, żeby nie pomagały, ruszą z pomocą z czystej przekory. Magrat dziwiła się, że ktoś tak mądry jak Dezyderata popełnił tak oczywistą pomyłkę. Pewnie ona też miała psychologię, cokolwiek to jest.

Poruszając się jak najciszej, żeby nie zbudzić pozostałych, otworzyła wrota i wyszła. Z różdżką w dłoni, gotowa była dać światu to, czego sobie życzy.

Byłoby najlepiej, gdyby życzył sobie dyń.

Wrota stajni zamknęły się z cichym zgrzytem i niania Ogg otworzyła jedno oko.

Usiadła, ziewnęła i podrapała się. Pogrzebała w kapeluszu i wyjęła fajkę. Szturchnęła w bok babcię Weatherwax.

- Nie śpię - powiedziała babcia.

- Magrat gdzieś wyszła.

- Ha!

- A ja też wychodzę poszukać czegoś do jedzenia - mruknęła niania.

Kiedy Esme ogarniał taki nastrój, nie warto było z nią rozmawiać.

Szła do wrót, gdy Greebo zeskoczył lekko z belki i wylądował jej na ramieniu.

Niania Ogg, jedna z największych życiowych optymistek, wyszła, by przyjąć to, co niesie przyszłość.

Najlepiej rum z bananem w środku.

Bez trudu znalazła właściwy dom. Dezyderata bardzo dokładnie wszystko opisała.

Magrat przyjrzała się uważnie wysokim białym murom i ozdobnej żelaznej balustradzie. Spróbowała wygładzić kilka fałd na sukni, wyciągnęła z włosów krnąbrne źdźbło słomy, po czym przeszła alejką i zastukała do drzwi.

W ręku została jej odłamana kołatka.

Magrat rozejrzała się nerwowo w obawie, czy ktoś nie zauważył tego barbarzyńskiego aktu, i spróbowała wcisnąć ją na miejsce. Kołatka odpadła i ukruszyła kawałek marmurowego stopnia.

W końcu Magrat zastukała w drzwi zgiętym palcem. Jedynym tego skutkiem był obłok pyłu i drobinek farby, który uniósł się z drewna i opadł na ziemię.

Magrat rozważała następne posunięcie. Była prawie pewna, że wróżki chrzestne nie powinny zostawiać wsuniętych pod drzwi karteczek, mówiących coś w rodzaju: „Byłam dzisiaj, ale nikogo nie zastałam; proszę skontaktować się z biurem w celu ustalenia następnego terminu”. Zresztą dom nie należał do takich, które stoją puste; przynajmniej dwudziestu służących powinno biegać po pokojach.

Przeszła po chrzęszczącym żwirze i zajrzała za róg budynku. Może drzwi kuchenne... Czarownice zwykle lepiej się czują przy kuchennych drzwiach.

Niania Ogg zawsze tam czuła się najlepiej. W tej chwili zmierzała do tych, które prowadziły do pałacu. Nietrudno było się tam dostać; nie przypominały innych zamków, które bardzo wyraźnie starały się określić, co jest na zewnątrz, a co wewnątrz, i zostały wzniesione specjalnie po to, by oddzielać jedno od drugiego. Tutaj stał, cóż... bajkowy zamek, cały w marcepanowych blankach i z maleńkimi smukłymi wieżami. Poza tym nikt nie zwracał szczególnej uwagi na krępe starsze

panie. Krępe starsze panie byty z definicji nieszkodliwe, chociaż w łańcuchu wiosek rozciągniętym na kilku tysiącach mil kontynentu definicja ta podlegała właśnie aktualizacji.

Zamki, według doświadczeń niani Ogg, przypominały łabędzie. Wyglądały, jakby żeglowały majestatycznie przez wody Czasu, ale w rzeczywistości pod spodem trwała bezustanna krzątania. Ciągnęły się tam labirynty spiżarni, kuchni i pralni, stajnie i browary - niani podobała się myśl o browarach. A ludzie nigdy nie zauważali kolejnej staruszki, wyjadającej nikomu już niepotrzebne resztki dań.

Poza tym można było posłuchać plotek. Niania Ogg plotki również lubiła.

Babcia Weatherwax wędrowała smętnie po czyściutkich ulicach. Nie szukała dwóch pozostałych. Tego była całkiem pewna. Oczywiście, mogła akurat wpaść na nie, właściwie przypadkowo, i rzucić im znaczące spojrzenie. Ale na pewno ich nie szukała.

Przy końcu ulicy zobaczyła jakieś zgromadzenie. Działając pod rozsądnym założeniem, że niania Ogg może tkwić w samym środku tłumu, babcia Weatherwax podryfowała w tamtą stronę.

Niani nie było. Ale zobaczyła wzniesioną platformę. I niskiego mężczyznę w kajdanach. I kilku strażników w jaskrawych mundurach. Jeden z nich trzymał topór.

Nie trzeba być bywałym w świecie podróżnikiem, żeby zrozumieć, że celem tej sceny nie jest wręczenie zakutemu człowiekowi ozdobnego podziękowania i sumy uzbieranej wśród kolegów w biurze.

Babcia szturchnęła jednego z gapiów.

- Co się dzieje?

Człowiek spojrzał na nią z ukosa.

- Strażnicy złapali go na kradzieży - wyjaśnił.

- No tak. Wygląda na winnego - przyznała babcia. Ludzie w kajdanach zwykle wyglądają na winnych. I co mu teraz robią?

- Udzielą mu lekcji.

- A w jakiż to sposób?

- Widzi pani topór?

Babcia przez cały czas nie spuszczała z niego wzroku. Teraz jednak zwróciła uwagę na tłum; chwytając strzępki myśli.

Łatwo jest czytać w umyśle mrówki. To tylko pojedynczy strumień ważnych, prostych myśli: Iść, Iść, Gryźć, Wejść Do Kanapki, Iść, Jeść. Stworzenie typu psa jest już bardziej skomplikowane - pies może snuć kilka myśli równocześnie. Ale umysł człowieka to wielka, ponura, przecinana błyskawicami chmura myśli, a wszystkie zajmują skończoną ilość czasu pracy umysłu. Odkrycie, co właściciel myśli o myśli pośród smogu uprzedzeń, wspomnień, zmartwień, nadziei i lęków, jest prawie niemożliwe.

Ale dostateczna liczba ludzi, myślących mniej więcej o tym samym, da się usłyszeć. I babcia Weatherwax wyczuła strach.

- Wygląda na to, że prędko tej lekcji nie zapomni - powiedziała.

- Moim zdaniem zapomni bardzo szybko - odparł mężczyzna i odsunął się od babci tak, jak człowiek odsuwa się od piorunochronu podczas burzy.

W tej właśnie chwili babcia wychwyciła fałszywą nutę w orkiestrze myśli. W samym środku tkwiły dwa umysły nie należące do ludzi.

Miały kształt prosty, czysty i celowy, jak nagie ostrze. Wyczuwała podobne umysły już wcześniej i nie było to miłe przeżycie.

Przeszukała tłum wzrokiem i znalazła właścicielki tych umysłów. Wpatrywały się nieruchomo w postacie na platformie.

Były to dwie kobiety, a przynajmniej obecnie miały kształt kobiet: wyższych od babci, chudych jak patyki i noszących szerokie kapelusze z woalkami kryjącymi twarze. Ich suknie mieniły się w słońcu - może niebieskie, może żółte, może zielone. Może w jakiś deseń. Nie dało się tego stwierdzić, bo najlżejsze poruszenie zmieniało kolory.

Nie mogła dostrzec ich twarzy za woalkami.

A jednak w Genoi były czarownice. W każdym razie jedna.

Odgłosy z platformy kazały jej się obejrzeć.

Wtedy zrozumiała, dlaczego mieszkańcy Genoi są tacy spokojni i uprzejmi.

Podobno w obcych stronach są kraje, gdzie złodziejom odrąbują ręce, żeby więcej nie kradli. Babci nie podobał się ten pomysł.

W Genoi tak nie postępowali. Tutaj ścinali głowy, żeby złodzieje nie mogli nawet pomyśleć o kradzieży.

Babcia wiedziała już, gdzie są czarownice w Genoi.

U władzy.

Magrat dotarła do kuchennych drzwi. Były szeroko otwarte. Wyprostowała się z godnością, po czym zastukała grzecznie i nieśmiało.

- Ehm... - zaczęła.

Pomyje z miski trafiły ją w samą twarz. Przez szum w uszach pełnych mydlin usłyszała:

- Ojej, strasznie przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu stoi. Magrat wytarła oczy i próbowała skupić wzrok na niewyraźnej postaci przed sobą. W jej myślach narastało coś w rodzaju narracyjnej pewności.

- Masz na imię Ella? - upewniła się.

- Tak. A kim ty jesteś?

Magrat przyjrzała się uważnie swojej nowo odnalezionej córce chrzestnej. Była to najbardziej atrakcyjna młoda dziewczyna, jaką Magrat w życiu widziała: o skórze brązowej jak orzech, a włosach tak jasnych, że niemal białych - kombinacja nie całkiem wyjątkowa w mieście o obyczajach tak swobodnych jak Genoa.

Co właściwie powinno się mówić w takiej chwili? Zdjęła z nosa oberkę ziemniaka.

- Jestem wróżką, twoją matką chrzestną - przedstawiła się. -Zabawne, ale teraz, kiedy komuś powiedziałam, brzmi to głupio... Ella wytrzeszczyła oczy.

-Ty?

- Ehm... Tak. Mam różdżkę i w ogóle. - Magrat machnęła różdżką, na wypadek gdyby to coś pomogło. Nie pomogło. Ella przechyliła głowę.

- Myślałam, że powinniście się zjawiać w deszczu migoczących światełek, z dźwiękiem dzwoneczków - stwierdziła podejrziwym tonem.

- Jest tak, że dostajesz tylko różdżkę - tłumaczyła się rozpaczliwie Magrat. - A nie cały podręcznik.

Ella raz jeszcze przyjrzała się jej badawczo.

- W takim razie wejdź do środka - powiedziała. - Przyszedł w samą porę. Właśnie parzę herbatę.

Opalizujące kobiety wsiadły do otwartego powozu. Choć były piękne, jednak babcia zauważyła, że chodziły niezgrabnie. Nic dziwnego, pomyślała. Nie są przyzwyczajone do nóg.

Zauważyła, że ludzie jakoś nie patrzą na powóz. Nie to, że go nie widzą, ale nie pozwalają, by wzrok się na nim zatrzymał, jakby samo dostrzeżenie go mogło spowodować kłopoty.

Zwróciła też uwagę na konie w zaprzęgu. Miały lepsze zmysły od ludzi. Wiedziały, co siedzi za nimi, i wcale im się to nie podobało.

Podążała za nimi, kiedy kłusowały wolno, kładąc po sobie uszy i z wyrazem obłędu w oczach. W końcu powóz wjechał na podjazd dużego, zaniedbanego domu niedaleko pałacu.

Babcia przyczaiła się pod murem i obserwowała znaczące szczegóły. Ze ścian odpadał tynk i nawet kołatka urwała się z drzwi.

Babcia Weatherwax nie wierzyła w atmosferę. Nie wierzyła w aurę psychiczną. Bycie czarownicą, jej zdaniem, zależało bardziej od tego, w co się nie wierzyło. Ale była skłonna przyjąć, że jest w tym domu coś bardzo nieprzyjemnego. Nie złego. Te dwie nie całkiem kobiety nie były złe, podobnie jak nie jest zły nagi sztylet albo strome urwisko. Być złym, to znaczy móc dokonywać wyboru. Ale dłoń trzymająca sztylet albo spychająca człowieka z urwiska może być zła, a właśnie coś takiego się działo.

Naprawdę wolalaby nie wiedzieć, kto za tym stoi.

Takie osoby jak niania Ogg pojawiają się wszędzie. Całkiem jakby istniał gdzieś specjalny generator morficzny produkujący staruszki, które lubią się śmiać i nie mają nic przeciwko jakiemuś kufelkowi, zwłaszcza płynu sprzedawanego zwykle w bardzo małych kieliszkach. Można je spotkać wszędzie, często parami²⁰.

I zwykle przyciągają się nawzajem. Być może, nadają niesłyszalne sygnały wskazujące, że jest tu ktoś, kto da się namówić do okrzyków „Ooo!” nad obrazkami wnuków innych osób.

²⁰ Zawsze przed wami w kolejce, na przykład.

Niania Ogg szybko znalazła przyjaciółkę. Nazywała się pani Pleasant, była kucharką, a na dodatek pierwszą czarną osobą, do której niania Ogg się odezwała²¹. Była to kucharka bardzo szczególnego typu, która przez większość czasu sprawuje swój urząd z krzesła pośrodku kuchni, z pozoru nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje.

Od czasu do czasu wydaje polecenie. I to dość rzadko, bo przez lata zadbała, żeby podwładni robili wszystko tak, jak ona sobie życzy - albo wcale. Raz czy dwa ceremonialnie wstaje z krzesła i kosztuje czegoś albo dodaje szczyptę soli.

Takie osoby zawsze chętne są do pogawędki z domokrażcami, zielarkami albo krągłymi staruszkami z kotami na ramieniu. Greebo rozsiadł się na ramieniu niani, jak gdyby właśnie zjadł papugę.

- Więc przyjechała pani na Tłuste Porę Obiadową? - spytała pani Pleasant.

- Pomagam przyjaciółce w pewnych sprawach - wyjaśniła niania. - Pyszne są te ciasteczka.

- Bo wie pani, widzę po oczach... - pani Pleasant przysunęła talerz bliżej niani - ...że jest pani magicznego usposobienia.

- Widzi pani lepiej niż większość ludzi w tych stronach - przyznała niania Ogg.

- A wie pani, bardzo by tym ciasteczkom pomogło, gdyby można je w czymś zamoczyć.

- Może w czymś z bananami?

- Banany byłyby idealne - przyznała zachwycona niania.

Pani Pleasant władczo skinęła ręką na jedną z pomocnic, która rzuciła się do pracy.

Niania siedziała na krześle, machała krótkimi nóżkami i z zaciekawieniem rozglądała się po kuchni. Kilkanaście podkuchennych funkcjonowało zgodnie, jak pluton artylerii kładący zaporę ogniową. Piekły się wielkie ciasta. Nad paleniskiem obracały się całe zwierzęce tusze, a psy robocze galopowały w kołowrotkach. Potężny łysy mężczyzna z długą blizną na twarzy cierpliwie wbijał do kielbasek patyczki.

Niania nie jadła śniadania. Greebo owszem, ale nie robiło mu to różnicy. Oboje doznawali teraz wyrafinowanej tortury kulinarnej.

²¹ Rasizm na Dysku nie stanowił problemu, ponieważ - przy wszystkich trollach, krasnoludach i innych - gatunkizm był o wiele ciekawszy. Biali i czarni żyli w doskonałej zgodzie i wspólnie prześladowali zielonych.

I oboje obejrzeni się, by jak zahipnotyzowani obserwować dwie podkuchenne uginające się pod tacą z kanapkami.

- Widzę, że jest pani kobietą spostrzegawczą, pani Ogg - stwierdziła pani Pleasant.

- Tylko odrobinę - odparła bez namysłu niania.

- Mogłam też zauważyć - dodała pani Pleasant po chwili - że ma pani na ramieniu kota chyba rzadkiej rasy.

- W tym ma pani rację.

- Wiem, że mam rację.

Przed nianią postawiono czubatą szklanicę żółtej piany. Niania przyjrzała się jej w zadumie, po czym spróbowała powrócić do poważniejszych spraw.

- A więc - rzekła - gdzie mogłabym pójść, pani zdaniem, żeby się dowiedzieć, jak odprawiane są czary w...

- Czy ma pani ochotę coś zjeść? - przerwała jej pani Pleasant.

- Co? Też pytanie!

Pani Pleasant przewróciła oczami.

- Ale nie to. Ja bym nie tknęła tych potraw - oświadczyła z goryczą.

Niania skrzywiła się rozczarowana.

- Przecież je pani gotuje - zauważyła.

- Tylko dlatego że mi każą. Stary baron wiedział, co to dobre jedzenie. A to? Dla nich wciąż tylko wieprzowina, wołowina, baranina i inne śmieci. Nigdy nie próbowali nic lepszego. Jedyne zwierzę na czterech nogach, które warto jeść, to aligator. Ale mnie chodzi o prawdziwe jedzenie.

Pani Pleasant rozejrzała się.

- Sara! - krzyknęła.

Jedna z podkuchennych obejrzała się.

- Tak, psze pani?

- Ja i ta dama wychodzimy. Dopilnuj wszystkiego, dobrze?

- Tak, psze pani.

Pani Pleasant wstała i spojrzała znacząco na nianię Ogg.

- Ściany mają uszy - ostrzegła.

- Naprawdę?

- Dlatego pójdziemy na mały spacer.

W Genoi, jak wydawało się teraz niani Ogg, istniały dwa miasta. Jedno białe, pełne nowych domów i pałaców z błękitnymi dachami, a wokół niego i nawet pod nim drugie, stare. Nowemu mogła nie odpowiadać obecność starego, ale bez niego nie bardzo mogłoby sobie poradzić. Ktoś gdzieś zawsze musi się zajmować kuchnią.

Niania Ogg lubiła gotować, pod warunkiem że miała do pomocy ludzi, którzy wykonywali proste zadania w rodzaju siekania jarzyn i zmywania garnków. Zawsze uważała, że z kawałkiem wołowiny potrafi robić takie rzeczy, które wołu nie przyszłyby nawet do głowy. Teraz jednak zrozumiała, że to żadne gotowanie. W każdym razie w porównaniu z gotowaniem w Genoi. Tamto było tylko utrzymywaniem się przy życiu w możliwie przyjemny sposób. Gotowanie gdziekolwiek poza Genoą polegało na podgrzewaniu różnych rzeczy, na przykład kawałków zwierząt, ptaków czy roślin, aż zbrązowiały.

Ale najdziwniejsze było to, że genoańscy kucharze nie mieli niejadalnego, co mogliby ugotować. Przynajmniej nic takiego, co niania Ogg uznałaby za jedzenie. W jej wyobrażeniu jedzenie powinno uciekać na czterech nogach albo na parze nóg i parze skrzydeł. A przynajmniej mieć płetwy. Pomysł jedzenia mającego więcej niż cztery nogi to całkiem inna para... to znaczy kilka par kaloszy.

W Genoi niewiele mieli produktów do gotowania. Dlatego gotowali wszystko. Niania, która nigdy nie słyszała o krabach, langustach ani homarach, miała teraz wrażenie, że mieszkańcy Genoi przeorali dno rzeki i wrzucali do garnka wszystko, co się złapało.

Chodzi o to, że dobra genoańska kucharka potrafiła - ogólnie mówiąc - wycisnąć kilka garści błota, dodać trochę zwiędłych liści, szczyptę czy dwie pokruszonych ziół o nazwach nie do wymówienia i stworzyć potrawę, po której smakosz ronił łzy wdzięczności i przysięgał, że do końca życia będzie lepszym człowiekiem, jeśli tylko dostanie drugi talerz.

Niania Ogg szła za panią Pleasant przez targ. Kucharka zerknęła na klatki z węzami i dziwnie wąsate zioła na półkach. Szturczała palcem tace małży, zatrzymywała się, by pogawędzić z nianiokształtnymi damami, które za kilka pensów podawały porcje dziwnych potrawek i skorupiaki w bułce.

Niania czuła się tu znakomicie. Genoa, miasto kucharek, trafiła wreszcie na godny siebie apetyt.

Skończyła talerz jakichś ryb, po czym wymieniła skinienie głowy i uśmiech z drobną staruszką prowadzącą stragan.

- Wszystko było... - zaczęła, zwracając się do pani Pleasant.

Ale pani Pleasant zniknęła.

Ktoś inny rzuciłby się przez tłum, by jej szukać, ale niania Ogg stała w miejscu i zastanawiała się.

Pytałam o czary, pomyślała, a ona doprowadziła mnie tutaj i zniknęła. Pewno przez te ściany z uszami. Więc może resztę mam zrobić sama.

Rozejrzała się. Kawalek za straganami, tuż nad rzeką, stał bardzo stary namiot. Nie było przed nim żadnego szyldu, tylko bulgotał na ogniu kociołek. Od czasu do czasu ktoś podchodził, nalewał sobie miskę zawartości kociołka, po czym rzucał garść monet na tacę przed namiotem.

Niania podeszła wolno i zajrzała do kociołka.

Różne obiekty wypływały w nim na powierzchnię i tonęły znowu. Dominował kolor brązowy. Bąble formowały się, rosły i pękały z lepkiem „blop!”. W tym kociołku mogło dziać się cokolwiek. Mogła zachodzić spontaniczna kreacja życia.

Niania Ogg mogła raz skosztować wszystkiego. Niektóre rzeczy mogła kosztować po kilka tysięcy razy.

Zdjęta chochlę, sięgnęła po miskę i nalała sobie.

Po chwili odsunęła klapę namiotu i zajrzała w czerni wnętrza. Na ziemi siedziała ze skrzyżowanymi nogami jakaś postać; paliła fajkę.

- Mogę wejść? - spytała niania. Postać skinęła głową.

Niania usiadła. Po odpowiednio długiej chwili także sięgnęła po fajkę.

- Pani Pleasant jest pani przyjaciółką, jak się domyślam.

- Zna mnie.

- Aha.

Z zewnątrz dobiegały ciche brzęknięcia - to klienci częstowali się z kociołka.

Błękitny dym kłębił się nad fajką niani Ogg.

- Nie wydaje mi się - zauważyła - by wielu ludzi odchodziło bez płacenia.

- Nie.

Po kolejnej chwili niania Ogg dodała:

- I pewnie niektórzy próbują płacić złotem, klejnotami, pachnącymi olejkami i różnymi takimi?

- Nie.

- Dziwne.

Niania Ogg przez dłuższy czas siedziała w milczeniu. Nasłuchiwała dalekich targowych odgłosów i przywoływała swoją moc.

- Jak się to nazywa?

- Gumbo.

- Dobrze.

- Wiem.

- Każdy, kto potrafi tak gotować, potrafi zrobić wszystko. - Niania Ogg skoncentrowała się. - Pani... Gogol. Czekala.

- Prawie wszystko, pani Ogg.

Dwie kobiety spoglądały nawzajem na swe mroczne sylwetki, niczym spiskowcy, którzy przekazali hasło i odzew, a teraz czekają, co będzie dalej.

- Tam, skąd pochodzę, nazywamy to czarownictwem - oświadczyła spokojnie niania Ogg.

- Tam, skąd ja pochodzę, nazywamy to voodoo - odparła pani Gogol.

Pomarszczone czoło niani przecięły dodatkowe zmarszczki.

- Czy to nie te zabawy z lalkami, martwymi ludźmi i takimi rzeczami? - spytała.

- Czy czarownictwo to nie bieganie w kółko bez ubrania i klucie ludzi szpilkami? - zapytała chłodno pani Gogol.

- Aha - mruknęła niania. - Rozumiem, o co pani chodzi. Poruszyła się niespokojnie. W zasadzie była kobietą prawdomówną.

- Chociaż muszę przyznać... - dodała - ...że czasem... może jedna szpilka...

Pani Gogol z powagą kiwnęła głową.

- Zgoda. Czasami... może jeden zombie.

- Ale tylko wtedy, kiedy nie ma innej możliwości.

- Oczywiście. Kiedy nie ma innej możliwości.

- Kiedy... no wie pani... ludzie nie okazują szacunku, na przykład.

- Kiedy dom wymaga malowania.

Niania błysnęła zębem w uśmiechu. Pani Gogol uśmiechnęła się także, przewyższając ją liczbą zębów o czynnik trzydzieści.

- Moje pełne imię brzmi Gytha Ogg - powiedziała niania. - Ludzie nazywają mnie nianią.

- Moje pełne imię brzmi Erzulie Gogol - powiedziała pani Gogol. - Ludzie nazywają mnie panią Gogol.

- Moim zdaniem - rzekła niania - to są obce strony, więc pewnie działa tu inny rodzaj czarów. To rozsądne. Drzewa są inne, ludzie są inni, drinki są inne i mają w środku banana, więc i czary mogą być inne. A potem pomyślałam: Gytho, dziewczyno, nigdy nie jest za późno, żeby się czegoś nauczyć.

- Oczywiście.

- Z tym miastem coś jest nie tak. Wyczułam to, jak tylko postawiliśmy tu stopę.

Pani Gogol przytaknęła.

Przez dłuższy czas milczały obie; tylko pykały z fajek. A potem na zewnątrz coś brzęknęło i zapadła pełna namysłu cisza.

- Gytho Ogg? - odezwał się ktoś. - Wiem, że tam jesteś. Sylwetka pani Gogol wyjęła z ust fajkę.

- Dobrze - stwierdziła. - Wyrobinny smak. Kłapa namiotu odsunęła się na bok.

- Witaj, Esme - powiedziała niania Ogg.

- Pokój temu... namiotowi - rzuciła babcia Weatherwax, wytyczając oczy w ciemności.

- Oto pani Gogol - przedstawiła gospodynię niania Ogg. - Jest damą od voodoo. One są w tych stronach czarownicami.

- To nie jedyne czarownice w tych stronach - stwierdziła babcia.

- Na pani Gogol zrobiło wrażenie, że mnie tutaj znalazłaś.

- To było łatwe. Kędy już zauważyłam, że Greebo myje się przed namiotem, reszta to tylko dedukcja.

W mroku niania wyobraziła sobie, że pani Gogol jest stara. . Nie spodziewała się zobaczyć - kiedy wyszły przed namiot - przystojnej kobiety w średnim wieku, wyższej od babci Weatherwax. Pani Gogol nosiła ciężkie złote kolczyki, białą bluzkę i szeroką czerwoną spódnicę z falbanami. Niania wyczuwała milczącą dezaprobatę babci - to, co ludzie mówili o kobietach w czerwonych spódnicach, było pewnie jeszcze gorsze niż to, co mówili o tych w czerwonych butach... cokolwiek to było.

Pani Gogol przystanęła i podniosła rękę. Zatrzepotały skrzydła.

Greebo, który ocierał się przymilnie o nogi niani, uniósł głowę i syknął. Na ramieniu pani Gogol wylądował największy i najczarniejszy kogut, jakiego niania

widziała. I skierował na nią wzrok tak inteligentny, że po raz pierwszy w życiu widziała taki u ptaka.

- A niech mnie! - powiedziała zaskoczona. - To chyba największy, jakiego widziałam, a oglądałam w życiu ptaszków niemało...

Pani Gogol z dezaprobatą uniosła brew.

- Brakuje jej wychowania - próbowała tłumaczyć babcia.

- Bo przecież mieszkałam zaraz obok kurzej farmy, to chciałam powiedzieć! - oburzyła się niania.

- To jest Legba, mroczny i groźny duch - oznajmiła pani Gogol. Pochyliła się bliżej i dodała, poruszając tylko kącikiem ust: - Tak między nami, to po prostu wielki czarny kogut. Ale wie pani, jak to jest.

- Reklama zawsze popłaca - przyznała niania Ogg. - A to jest Greebo. Tak między nami mówiąc, to potwór z piekła rodem.

- No cóż, jest kotem - odparła łaskawie pani Gogol. - Tego przecież należy oczekiwać.

Kochany Jasonie i wszyscy,

dziwne rzeczy się zdarzają, kiedy się ich człowiek nie spodziewa. Na przykład żeśmy spotkały panią Gogol, która pracuje za kucharkę w dzień i jest wiedźmą Voodoo, ale nie możecie wierzyć w to wszystko o czarnej magii i w ogóle to oszustwo. Ona jest taka sama jak my tylko inna. Chociaż z zombie to prawda, ale nie tak jak myślicie...

Genoa to dziwne miasto, uznała niania. Wystarczyło skręcić z głównej ulicy, przejść kawałek boczną drogą, przekroczyć niewielką furtkę i nagle dookoła były drzewa obwieszone mchem i tymi, no... lamami, a ziemia pod stopami zaczynała się uginać i zmieniała w bagno. Po obu stronach ścieżki lśniły ciemne stawy, w których tu i tam, między liliami, pływały kłody, jakich czarownice jeszcze nie widziały.

- Strasznie wielkie jaszczurki - zdziwiła się niania.

- To aligatory.

- Na bogów! Muszą się dobrze odżywiać.

- O tak.

Domek pani Gogol wyglądał na prostą konstrukcję z drewna wyrzuconego na brzeg rzeki, z dachem pokrytym mchem. Wznosił się nad bagnem na czterech solidnych słupach.

Były tak blisko centrum miasta, że niania słyszała uliczne hałasy i stukanie kopyt, ale sam dom na bagnie spowijała cisza.

- Ludzie tu pani nie nachodzą? - spytała.

- Nie tacy, z którymi nie chcę się widzieć. Liście lilii zakolysały się w najbliższym stawie, a po powierzchni przesunęła się zmarszczka w kształcie litery V.

- Samowystarczalność - stwierdziła z aprobatą babcia Weatherwax. - Zawsze jest bardzo ważna.

Niania przyglądała się gadom badawczo. Próbowaly wytrzymać jej spojrzenie, ale zrezygnowały, gdy oczy zaczęły im łzawić.

- Myślę, że przydałaby mi się parka przy domu - powiedziała w zadumie, kiedy zsunęły się pod wodę. - Nasz Jason mógłby wykopać nowy staw, żaden kłopot. Mówiła pani, że co jedzą?

- Wszystko co zechcą.

- Znam żart o alejgatorach - oznajmiła babcia tonem osoby, która wyjawia ważką i uroczystą prawdę.

- Niemożliwe! - zdumiała się niania Ogg. - Nigdy w życiu nie słyszałam, żebyś opowiedziała jakiś dowcip!

- To, że nie opowiadam, nie znaczy jeszcze, że ich nie znam - odparła z godnością babcia. - To jest o takim lwie...

- Mówiłaś, że o aligatorze - przypomniała jej niania.

- O lwie, który wygłaszał mowę. Do wszystkich zwierząt. I była tam jeszcze żaba.

- Nie aligator?

- Alejgator też. I kiedy ten lew skończył, ta żaba... ta żaba kazała alejgatorowi się wynosić.

Spojrzały na nią wyczekująco.

Po chwili niania zwróciła się do pani Gogol.

- Czyli... mieszka tu pani sama, tak? - spytała z zaciekawieniem. - Ani żywej duszy dookoła?

- W pewnym sensie - przyznała pani Gogol.

- Widzicie, tu chodzi o to, że lew kazał... - zaczęła tłumaczyć babcia podniesionym głosem i nagle umilkła.

Drzwi chaty się otworzyły.

Weszła do kolejnej wielkiej kuchni²². Dawno temu pracowało tu kilka kucharek. Teraz pomieszczenie przypominało jaskinię; cień okrywał kąty, a wiszące patelnie i tace zmętniały od kurzu. Wielkie stoły zepchnięto pod jedną ścianę i niemal po sufit zastawiono stosami naczyń. Paleniska, dostatecznie wielkie, by zmieścić całe woły i piec dla całych armii, wygasły.

Pośrodku tej szarej pustki ktoś ustawił koło pieca mały stolik. Stał na kwadracie jaskrawego dywanu. W słoju po dżemie tkwiły kwiaty, ułożone prostą metodą chwytania całej ich garści i wtykania do środka.

W efekcie w ogólnym smętku powstał niewielki obszar nieco cikliwej wesołości.

Ella z desperacją przesunęła kilka drobiazgów i znieruchomiła, patrząc na Magrat z przepaszającym, nieco zawstydzonym uśmiechem.

- Głuptas ze mnie - powiedziała. - Pewnie jesteś przyzwyczajona do takich rzeczy.

- Ehm. Tak. Tak, oczywiście. Widuję je bez przerwy - zgodziła się Magrat.

- Po prostu spodziewałam się, że będziesz trochę... starsza? Przecież byłaś na moim chrzcie.

- Co? A tak. Bo widzisz, chodzi o to...

- Ale pewnie możesz wyglądać, jak tylko zechcesz - podpowiedziała Ella.

- Aha... No tak. Tego...

Ella zrobiła zdziwioną minę, jak gdyby próbowała zgadnąć, dlaczego - skoro Magrat mogła wyglądać, jak tylko zechce - zdecydowała się wyglądać jak Magrat.

- No tak... - powiedziała. - I co teraz zrobimy?

- Wspomniałaś o herbacie - przypomniała jej Magrat, by zyskać na czasie.

- Oczywiście.

Ella podeszła do pieca, gdzie poczerniały czajnik wisiał nad czymś, co babcia Weatherwax nazywała ogniem optymistów²³.

- Jak ci na imię? - rzuciła przez ramię.

²² Jak wspominała Dezyderata, wróżki chrzestne często bywają w kuchniach.

- Magrat - przedstawiła się Magrat i usiadła.

- To... ładne imię - pochwaliła grzecznie Ella. - Naturalnie znasz moje. Chociaż tak często snuję się jak duch po tej kuchni, że pani Pleasant nazywa mnie Duszką. Bez sensu, prawda?

Elluszek bez pieluszek, skojarzyło się Magrat. I ja jestem jej wróżką chrzestną!

- Rzeczywiście, wymaga pracy - przyznała.

- Nie mam serca się z nią sprzeczać. Uważa, że to wesołe imię. Ale moim zdaniem kojarzy się z pieluszkami.

- Nie, tego bym nie powiedziała - zapewniła Magrat. - Hm... A kim jest pani Pleasant?

- Jest kucharką w pałacu. Zagląda czasem, żeby mnie pocieszyć, kiedy one wychodzą...

Ella odwróciła się gwałtownie i podniosła czajnik, jakby to była broń.

- Nie pójdę na bal! - zawołała. - Nie mam zamiaru wychodzić za tego księcia! Rozumiesz?

Słowa padały jak żelazne sztaby.

- Dobrze, dobrze! - zawołała Magrat, zdumiona jej wybuchem.

- Jest wstrętny. Aż ciarki mnie przechodzą - mówiła dalej Ella. - Podobno ma dziwne oczy. I wszyscy wiedzą, co robi nocą.

Wszyscy oprócz mnie, pomyślała Magrat. Nikt nigdy nie uprzedza mnie o takich rzeczach.

- Chyba nietrudno będzie to zorganizować - powiedziała głośno. - Wiesz, zwykle właśnie poślubienie księcia jest trudne.

- Nie dla mnie - westchnęła Duszek. - Wszystko zostało ustalone. Moja druga matka chrzestna twierdzi, że muszę to zrobić. Że to moje przeznaczenie.

- Druga matka chrzestna?

- Wszyscy mają po dwie. Tę dobrą i tę złą. Przecież wiesz... A ty którą jesteś?

Magrat zastanowiła się szybko.

- Tą dobrą - zapewniła. - Oczywiście.

- Zabawne - mruknęła Ella. - Tamta mówiła to samo.

Babcia Weatherwax siedziała w swojej specjalnej pozycji, ze złączonymi kolanami i łokciami przyciśniętymi do boków, by jak najmniejszą powierzchnię siebie narażać na kontakt ze światem zewnętrznym.

- Bogowie, to było pyszne - oświadczyła niania Ogg i wytarła swój talerz czymś, o czym babcia z nadzieją sądziła, że jest chlebem. - Powinnaś skosztować choć kropelkę, Esme.

- Może dolać jeszcze trochę, pani Ogg? - zaproponowała pani Gogol.

- Z przyjemnością, pani Gogol. - Niania szturchnęła babcię pod żebro. - To naprawdę dobre, Esme. Jak potrawka.

Pani Gogol przyjrzała się babci z ukosa.

Wydaje mi się, że pani Weatherwax martwi się nie o jedzenie - stwierdziła. - Myślę, że pani Weatherwax nie odpowiada obsługa.

Cień wyrósł nad nianią Ogg. Szara dłoń zabrała jej talerz.

Babcia Weatherwax odkaszlnęła lekko.

- Nie mam nic przeciwko martwym - zapewnia. - Kilkoro moich najlepszych przyjaciół jest martwych. Po prostu nie wydaje mi się właściwe, żeby martwi chodzili.

Niania Ogg zerknęła na postać, która w tej chwili nalewała jej na talerz trzecią porcję tajemniczej cieczy.

- A co pan o tym sądzi, panie zombie?

- To wspaniałe życie, pani Ogg - odparł zombie.

- No właśnie. Widzisz, Esme? Jemu to nie przeszkadza. Założę się, że to lepsze niż całe dnie spędzać w zamkniętej dusznej trumnie.

Babcia spojrzała na zombie. Przekonała się, że jest - czy też, formalnie rzecz biorąc, był - wysokim, przystojnym mężczyzną. I taki pozostał, tyle że wyglądał, jakby wyszedł z pokoju pełnego pajęczyn.

- Jak masz na imię, martwy człowieku? - zapytała.

- Nazywają mnie Saturday.

- Sobotaszek, co? - domyśliła się niania Ogg.

- Nie. Po prostu Saturday.

Babcia Weatherwax popatrzyła mu w oczy. Były bardziej inteligentne, niż widziała u większości ludzi technicznie wciąż żywych.

Niejasno pamiętała, że aby zmienić martwą osobą w zombie, trzeba było wykonać pewne działania, choć należało to do dziedziny magii, której wolą nie zgłębiać. W każdym razie potrzebne było coś więcej niż tylko rybie wnętrzności i

zagraniczne korzonki -osoba musiała chcieć powrócić. Musiała żywić jakieś straszliwe pragnienie, marzenie czy mieć cel, który dawał moc pokonania nawet grobu...

Oczy Saturdaya płonęły.

Podjęła decyzję. Wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać, panie Saturday - powiedziała. - I z pewnością będzie mi smakowała ta wspaniała potrawka.

- Nazywa się gumbo - poinformowała ją niania. - I w środku są damskie paluszki.

- Wiem, że damskie paluszki to taka roślina - oświadczyła babcia. - Dziękuję ci uprzejmie, ale nie jestem aż taką ignorantką.

- No dobrze, ale dopilnuj, żeby nalał ci porcję z węzowymi łebkami. Są najlepsze.

- Węzowe łebki? Jaka to roślina?

- Najlepiej, jeśli po prostu zjesz.

Siedziały na werandzie z krzywych desek, na tyłach domku pani Gogol. Wokół rozciągało się bagno. Z każdej gałęzi zwisały brody mchu, wśród liści brzęczały niewidoczne stworzenia, a wszędzie widać było V-kształtne zmarszczki przecinające powierzchnię wody.

Saturday poszedł za dom i wrócił z wędką własnej roboty. Założył przynętę i wystawił wędkę za balustradę. A potem tak jakby się wyłączył - nikt nie jest bardziej cierpliwy niż zombie.

Pani Gogol usiadła wygodnie na bujanym fotelu i zapaliła fajkę.

- Kiedyś było tu wspaniałe miasto - powiedziała.

- A co się z nim stało? - spytała niania Ogg.

Greebo miał spore problemy z kogutem Legbą, Przede wszystkim ptak nie dał się sterroryzować. Greebo potrafił zastraszyć większość istot, jakie chodziły po powierzchni Dysku, nawet stworzenia nominalnie większe i silniejsze od niego. A jednak tutaj jego wielokrotnie sprawdzone metody -ziewnięcie, spojrzenie, a przede wszystkim powolny uśmiech -jakoś nie przynosiły efektów. Legba tylko zadzierał

dziób i udawał, że grzebie w ziemi w taki sposób, by jego dwucalowe ostrogi były tym lepiej widoczne.

Pozostawał tylko skok. Działał skutecznie na prawie każdą istotę - niewiele zwierząt potrafiło zachować spokój wobec lecącej do oczu wściekłej, najeżonej pazurami kuli. Jednak w przypadku tego ptaka Greebo podejrzewał, że sam mógłby skończyć jako pokryty sierścią kebab.

Ale sprawa wymagała rozwiązania. Inaczej będą się z niego śmiały całe pokolenia kotów.

Kot i ptak okrążały się na bagnie, a każdy pozornie nie zwracał na tego drugiego najmniejszej uwagi.

Coś pokrzykiwało na drzewach. Tęczowe ptaszki śmigały w powietrzu, ale Greebo tylko zerkał na nie wrogo. Załatwi je później.

Kogut zniknął.

Greebo położył płasko uszy.

Wciąż brzmiały ptasie trele i brzęczały owady, ale to było gdzie indziej. Tutaj panowała cisza - gorąca, mroczna i duszna. A drzewa rosły nagle o wiele bliżej siebie, niż to pamiętał.

Rozejrzał się.

Był na polance. Dookoła zwisały z krzaków albo drzew... różne rzeczy. Kawalki wstążek. Białe kości. Blaszane kubki. Całkiem zwyczajne rzeczy - zwyczajne w każdym innym miejscu.

Pośrodku stało coś podobnego do stracha na wróble: pionowy drąg z poprzecznymi ramionami, na które ktoś naciągnął stary czarny płaszcz. Nad płaszczem, na czubku drąga, tkwił cylinder. A na cylindrze, przyglądając się kotu w zadumie, siedział Legba.

Wietrzyk poruszył dusznym powietrzem i sprawił, że płaszcz zakołysał się lekko.

Greebo przypomniał sobie dzień, kiedy ścigając szczura wbiegł do wiejskiego młyna i nagle odkrył, że to, co wydawało się zwykłym pokojem z dziwacznymi meblami, jest w istocie wielką, potężną maszyną. I jeśli tylko źle postawi łapę, ta maszyna zmiażdży go bez litości.

Powietrze zaskwierczało cicho. Greebo poczuł, że sierść mu się jeży.

Odwrócił się i odszedł z godnością. A kiedy uznał, że oddalił się poza zasięg wzroku, zaczął tak szybko przebierać łapami, że aż ślizgały się po błocie.

Później próbował uśmiechać się trochę do aligatorów, ale bez przekonania.

Na polance płaszcz poruszył się delikatnie raz jeszcze i znieruchomiał. Nie wiadomo dlaczego, było to jeszcze gorsze.

Legba patrzył. Powietrze stawało się ciężkie, jak przed burzą.

- Kiedyś to było wspaniałe miasto. Szczęśliwe. Nikt się nie starał uczynić go szczęśliwym. To się po prostu stało, samo z siebie - mówiła pani Gogol. - Kiedy żył jeszcze baron. Ale go zamordowano.

- Kto to zrobił? - spytała niania Ogg.

- Wszyscy wiedzą, że Duc.

Czarownice spojrzały po sobie nawzajem. Dworskie intrygi w obcych stronach najwyraźniej wyglądały całkiem inaczej.

- Zadukany na śmierć? - zdziwiła się niania.

- To straszne - dodała babcia.

- Duc to tytuł, nie czynność - tłumaczyła cierpliwie pani Gogol. - Baron został otruty. To była straszna noc. A ranniem Duc rządził w pałacu. Potem wyszła ta sprawa z testamentem.

- Proszę nie mówić, zgadnę - przerwała jej babcia. - Na pewno znaleziono testament zapisujący wszystko temu Ducowi. I że atrament jeszcze nie wysechł.

- Skąd pani wie? - zdumiała się pani Gogol.

- Tak mi podpowiada rozsądek - odparła wyniośle babcia.

- Baron miał młodą córkę.

- Pewnie wciąż jeszcze żyje.

- Dużo pani wie, droga pani - przyznała pani Gogol. - Dlaczego więc tak pani sądzi?

- No... - zaczęła babcia.

Chciała powiedzieć: bo tak działają opowieści. Ale przerwała jej niania Ogg.

- Jeśli ten baron był tak wspaniały, jak pani mówi, na pewno miał w mieście wielu przyjaciół. Tak?

- To prawda. Ludzie go lubili.

- Więc gdybym to ja była Dukiem i gdyby moje prawo do tronu opierało się na rozmazanym testamencie i buteleczce atramentu z wyjętym ciągle korkiem,

szukałabym sposobu, żeby załatwić tę sprawę bardziej oficjalnie. Ślub z prawdziwą następczynią to najlepsze rozwiązanie. Wtedy można wszystkim zagrać na nosie. A ona pewnie nawet nie wie, kim Duc jest naprawdę, co?

- Istotnie - przyznała pani Gogol. - Duc także ma przyjaciół, a raczej dozorców. Ludzi, którym lepiej się nie narażać. Wychowali ją i nie pozwalają zbyt często wychodzić.

Czarownice zamilkły na chwilę.

Nie, pomyślała babcia. To się nie zgadza. Tak by to wyglądało w książce o historii miasta. Ale to nie jest opowieść.

- Przepraszam, pani Gogol, a skąd pani wzięta się w tej sprawie? - spytała. - Bez urazy, ale wydaje mi się, że tutaj, na bagnach, wszystko jedno, kto rządzi miastem.

Po raz pierwszy odkąd się spotkały, pani Gogol wydała się trochę zakłopotana.

- Baron był moim... bliskim przyjacielem.

- Aha - mruknęła ze zrozumieniem babcia.

- Nie pochwałaj zombie, muszę przyznać. Twierdził, że jego zdaniem nie należy zmarłym zakłócać odpoczynku. Ale nie upierał się przy tym. Podczas gdy ten nowy...

- Nie lubi Interesujących Sztuk? - domyśliła się niania.

- Nie, raczej lubi - poprawiła ją babcia. - Na pewno. Nie pani magię, być może, ale jestem pewna, że otacza go sporo czarów.

- Czemu pani tak uważa? - zapytała pani Gogol.

- No cóż - rzekła niania. - Widzimy, że jest pani kobietą męznego serca i nie godziłaby się pani na to wszystko, gdyby pani nie musiała. Jak podejrzewam, jest wiele sposobów rozwiązywania takich spraw. Myślę, że jeśli pani kogoś nie lubi, to nagle mogą mu odpaść nogi albo tajemnicze węże znajdują się w jego butach...

- Alejgatory pod łóżkiem - dodała babcia.

- Istotnie - przyznała pani Gogol. - Ma osłonę.

- Aha.

- Potężne czary.

- Potężniejsze od pani? - upewniła się babcia. Zapadła długa, kłopotliwa cisza.

- Tak.

- Aha.

- Na razie - dodała pani Gogol.

Znowu umilkły. Żadna czarownica nie lubi się przyznawać do mniej niż niemal absolutnej potęgi, ani nawet słyszeć, jak robi to inna czarownica.

- Czekaj pani na właściwy moment, jak przypuszczam- odpowiedziała życzliwie babcia.

- Zbiera pani siły - dodała niania.

- To potężne osłony - wyjaśniła pani Gogol.

Babcia wyprostowała się. Kiedy znów się odezwała, mówiła tonem osoby, która ma kilka pomysłów i chce sprawdzić, co wiedzą inni.

- Jakiego rodzaju? - spytała. - Dokładnie.

Pani Gogol sięgnęła pod poduszkę swojego fotela na biegunach, poszperała trochę i wyjęła fajkę oraz kapciuch z tytoniem. Zapaliła, dmuchnęła dymem w powietrze.

- Często pani ostatnio zagląda w lustro, pani Weatherwax? - zapytała.

Pod babcią krzesło nagle przechyliło się do tyłu. Prawie spadła z werandy w czarną wodę. Kapelusz sfrunął między liście lilii.

Widziała, jak osiada delikatnie na wodzie. Unosił się przez chwilę, a potem...

...został pożarty. Bardzo duży aligator zatrzaskał szczęki i spojrzał na babcię wyzywająco.

Z ulgą stwierdziła, że ma wreszcie powody, by krzyczeć.

- Mój kapelusz! On zjadł mój kapelusz! Ten aligator pożarł mój kapelusz! To był mój kapelusz! Niech mi go odda!

Zerwała z najbliższego drzewa jakieś pnącze i uderzyła nim o wodę.

Niania Ogg cofnęła się.

- Nie rób tego, Esme! Nie powinnaś tego robić! - zawołała nieco drżącym głosem.

Aligator wycofał się do wody.

- Mogę przylać tej bezczelnej jaszczurce, jeśli tylko mam ochotę!

- Oczywiście, możesz. Pewnie że możesz - uspokajała ją niania. - Ale lepiej nie... wężem...

Babcia obejrzała pnącze z bliska. Średniej długości trójpasiasty bagiennik popatrzył na nią wystraszony, rozważył, czy nie ukąsić jej w nos, rozsądnie zrezygnował i bardzo mocno zamknął paszczę w nadziei, że zrozumie, o co mu chodzi. Rozprostowała palce. Wąż spadł na deski i odpełził pospiesznie.

Pani Gogol nie ruszyła się nawet - dopiero teraz odwróciła się w fotelu. Saturday wciąż cierpliwie obserwował sznurek swojej wędki.

- Saturday, idź i przynieś kapelusz pani - poleciła.

- Tak jest.

Nawet babcia nieco się zawahała.

- Nie może go pani tam posłać - powiedziała.

- Przecież jest martwy.

- Tak. Ale bycie martwym jest dostatecznie przykre, bez bycia w kawałkach na dodatek. Niech pan nie idzie, panie Saturday.

- Przecież to był pani kapelusz! - przypomniała pani Gogol.

- Tak, ale... - Babcia zająknęła się. - To przecież tylko kapelusz. Dla żadnego kapelusza nie posłałabym nikogo do alejgatorów.

Niania Ogg zrobiła przerażoną minę.

Nikt lepiej od babci Weatherwax nie wiedział, jak ważne są kapelusze. Nie były tylko nakryciami głowy. Kapelusze definiowały głowę. Określały, kim się jest. Nikt przecież nie słyszał o magu bez szpiczastego kapelusza - a w każdym razie o magu, o którym warto choćby wspomnieć. I już z pewnością nie słyszał o czarownicy. Nawet Magrat miała kapelusz, chociaż rzadko go nosiła, bo jak by wyglądała taka zmokła kura w kapeluszu. Zresztą to bez znaczenia: nie noszenie kapelusza się liczy, ale posiadanie go, co czyni noszenie możliwym. Każdy zawód, każdy fach miał swój kapelusz. Wystarczy zabrać królowi koronę, a zostanie tylko ktoś, kto ma cofnięty podbródek i najlepiej radzi sobie z machaniem do ludzi. Kapelusze mają moc. Są ważne. Ale ludzie także.

Pani Gogol pyknęła z fajki.

- Saturday, idź, przynieś mój najlepszy świąteczny kapelusz - rzuciła.

- Tak, pani Gogol.

Saturday zniknął w chacie i po chwili wrócił z dużym, odrapanym pudłem starannie obwiązanym lianą.

- Nie mogę tego przyjąć - broniła się babcia. - To przecież pani najlepszy kapelusz.

- Owszem, może pani - zapewniła pani Gogol. - Mam jeszcze inny. Tak, mam inny kapelusz.

Babcia ostrożnie odłożyła pudło na bok.

- Mam wrażenie, pani Gogol - powiedziała - że nie do końca jest pani tym, kim się wydaje.

- Ależ jestem, pani Weatherwax. Nigdy nie byłam nikim innym. Tak jak pani.

- Pani nas tu sprowadziła?

- Nie. Same się sprowadziłyście. Z wolnej i nieprzymuszonej woli. Żeby komuś pomóc, prawda? Postanowiłyście to zrobić, prawda? Nikt was do niczego nie zmuszał, prawda? Oprócz was.

- Tutaj ma rację - zgodziła się niania. - Wyczułybyśmy coś, gdyby działała na nas magia.

- To prawda - przyznała babcia. - Nikt nas nie zmuszał, tylko my same. Jaką grę pani prowadzi, pani Gogol?

- Nie prowadzę żadnej gry, pani Weatherwax. Chcę tylko odebrać to, co moje. Chcę sprawiedliwości. I chcę ją powstrzymać.

- Jąkają? - spytała niania Ogg.

Twarz babci zmieniła się w nieruchomą maskę.

- Ją, która stoi za tym wszystkim - wyjaśniła pani Gogol. - Duć ma mózg jak krewetka, pani Ogg. Chodzi mi o nią. O nią, z tą jej magią luster. O nią, która lubi kierować. O nią, która wszystkim rządzi. O nią, która majstruje przy przeznaczeniu. O nią, o której pani Weatherwax wie wszystko.

Niania Ogg nie zrozumiała.

- O czym ona mówi, Esme?

Babcia wymamrotała coś pod nosem.

- Co? - spytała niania. - Nie dosłyszałam.

Babcia Weatherwax uniosła głowę. Twarz miała czerwoną ze złości.

- Ona mówi o mojej siostrze, Gytho! Jasne? Usłyszałaś? Rozumiesz? Słyszysz? Moja siostra! Mam jeszcze raz powtórzyć? Chcesz wiedzieć, o kim ona mówi? Mam ci to może zapisać? Moja siostra! O niej! O mojej siostrze!

- Są siostrami? - spytała Magrat. Herbata całkiem jej wystygła.

- Nie wiem - odparła Ella. - Wyglądają... podobnie. Zwykle trzymają się razem, ale czuję, jak mnie obserwują. Bardzo dobrze umieją obserwować.

- I każą ci wykonywać wszystkie obowiązki?

- No... Właściwie to gotuję tylko dla siebie i dochodzącej służby - wyjaśniła Ella. - A sprzątanie i pranie wcale mi tak bardzo nie przeszkadza.

- Czyli one gotują dla siebie?

- Chyba nie. Chodzą po domu nocą, kiedy już się położę. Matka chrzestna Lilith powtarza, że muszę być dla nich dobra i litować się nad nimi, bo nie potrafią mówić. I mam zawsze pilnować, żeby w spiżarni było dużo sera.

- Jedzą tylko ser? - zdziwiła się Magrat.

- Nie sędzę.

- Wydawałoby się, że w takim starym domu myszy i szczury na pewno się do niego dobiorą.

- A wiesz, to zabawne - powiedziała Ella. - Nigdy jeszcze nie widziałam w tym domu myszy.

Magrat zadrżała. Czuła się obserwowana.

- Dlaczego po prostu sobie nie pójdziesz? Ja bym poszła.

- Dokąd? Zresztą i tak by mnie znalazły. Albo posłały za mną woźniców i służących.

- To okropne!

- Na pewno uważają, że prędzej czy później wyjdę za kogośkolwiek, byle tylko uciec od tego prania - stwierdziła Ella. - Chociaż nie sędzę, żeby ubrania księcia były prane - dodała z goryczą. - Raczej je palą.

- Pragniesz sama dojść do czegoś w życiu - oznajmiła Magrat, żeby podtrzymać dziewczynę na duchu. - Chcesz być kobietą samodzielną. Wyemancypowaną.

- Nie wydaje mi się, żebym tego właśnie chciała - odparła Ella ostrożnie, na wypadek gdyby urażenie wróżki chrzestnej było grzechem.

- Ależ chcesz - zapewniła Magrat.

- Naprawdę?

- Tak.

- Aha.

- Jeśli nie masz ochoty, za nikogo nie musisz wychodzić. Ella wyprostowała się.

- Jak jesteś potężna? - spytała.

- Ee... no cóż... przypuszczam...

- Wczoraj przynieśli suknię - poinformowała Ella. - Czeka w dużym pokoju od frontu, na stojaku, żeby się nie pogniotła. Żeby była idealna. I specjalnie wyczyścili karocę. Wynajęli też dodatkowych służących.

- Tak, ale może...

- Myślę, że będę musiała wyjść za kogoś, chociaż wcale nie mam ochoty - powiedziała Ella.

Babcia Weatherwax krążyła po werandzie. Cała chata drżała od jej kroków. Zmarszczki rozbiegały się po wodzie.

- Oczywiście, że jej nie pamiętasz! - krzyknęła. - Kiedy miała trzynaście lat, nasza mama wyrzuciła ją z domu. Obie wtedy byłyśmy małe. Ale pamiętam awantury! Słyszałam je, leżąc w łóżku. Ona była rozwiązła!

- Kiedy byłyśmy młode, zawsze mówiłaś, że to ja jestem rozwiązła. Babcia zawahała się i na moment zgubiła wątek. Potem z irytacją machnęła ręką.

- Bo byłaś, oczywiście - stwierdziła lekceważąco. - Ale nie używałaś do tego czarów, prawda?

- Nie musiałam - stwierdziła z dumą niania. - Zwykle całkiem wystarczała sukienka zsuwająca się z ramienia.

- Z ramienia i na trawę, o ile sobie przypominam - rzekła babcia. - Ale ona korzystała z czarów. I to nie ze zwykłej magii. Tak, była uparta.

Niania już chciała powiedzieć: Co? To znaczy nie taka zgodna i skromna jak ty, Esme? Ale się powstrzymała. Nie należy bawić się zapalkami w fabryce sztucznych ogni.

- Ojcowie młodych ludzi przychodzili się skarżyć - przypomniała sobie babcia.

- Na mnie nigdy nie przychodzili się skarżyć - pochwaliła się niania.

- I stale oglądała się w lustrach. Zarozumiała jak kot, taka była. Wołała patrzeć w lustro niż przez okno.

- Jak miała na imię?

- Lily.

- Ładne imię - przyznała niania.

- Nie tak każe się teraz nazywać - wtrąciła pani Gogol.

- Pewnie że nie!

- I to ona tak jakby rządzi w mieście? - spytała niania.
- Despotyczna też była!
- Ale po co w ogóle chce rządzić miastem? - nie rozumiała niania.
- Ma plany - wyjaśniła pani Gogol.
- A próżna... Strasznie próżna - mówiła babcia, zwracając się najwyraźniej do świata jako takiego.
- Wiedziałaś, że jest tutaj?
- Miałam przeczucie. Lustra!
- Lustrzana magia nie jest taka zła - zaprotestowała niania. - Różne rzeczy robiłam kiedyś z lustrami. Można się nieźle zabawić.
- Ona nie używa jednego lustra - poinformowała pani Gogol.
- Och...
- Używa dwóch.
- Och... To co innego.

Babcia spojrzała w wodę. Jej własna twarz spoglądała na nią z głębiny.
W każdym razie miała nadzieję, że to jej własna twarz.

- Czułam, że obserwuje nas przez całą drogę - powiedziała. - Wtedy jest najszcześniejsza: wewnątrz luster. Wewnątrz luster i wciągając ludzi w opowieści.

Dźgnęła odbicie patykiem.

- Patrzyła nawet na mnie w domu Dezyderaty, tuż przed przyjściem Magrat.

Nie jest przyjemnie zobaczyć we własnym odbiciu kogoś innego...

Urwała na moment.

- A właściwie gdzie jest Magrat? - zainteresowała się nagle.
- Poszła gdzieś matkować i wrózkować - odparła niania. - Mówiła, że nie potrzebuje pomocy.

Magrat była zirytowana. Była też przestraszona, co irytowało ją jeszcze bardziej. Ludzie ciężko znosili irytację Magrat. Przypominała atak mokrej chusteczki.

- Masz na to moje słowo - powiedziała. - Jeśli nie chcesz, nie musisz iść na ten bal.
- Nie zdołasz ich powstrzymać - odparła smętnie Ella. - Wiem, jak odbywa się wszystko w tym mieście.

- Słuchaj, powiedziałam przecież, że nie musisz nigdzie chodzić!

Magrat zastanowiła się.

- Nie ma w Genoi kogoś, za kogo chciałabyś wyjść zamiast za księcia? - spytała.

- Nie. Prawie nikogo nie znam. Nie mam okazji.

- Dobrze. To ułatwia sprawę. Proponuję, żeby cię stąd wyprowadzić i... i zabrać gdzie indziej.

- Nie ma żadnego gdzie indziej. Przecież mówiłam. Są tylko bagna. Raz czy dwa próbowałam, a one wysłały za mną woźniców. Byli całkiem mili... woźnice, znaczy. Po prostu się bali. Wszyscy się boją. Myślę, że nawet siostry się boją.

Magrat rozejrzała się, czujnie badając wzrokiem cienie.

- Czego? - zapytała.

- Podobno ludzie znikają. Kiedy rozzłoszczą Duca, coś się z nimi dzieje. Wszyscy w Genoi są bardzo uprzejmi - stwierdziła Ella kwaśnym tonem. - Nikt nie kradnie, nikt nie podnosi głosu i nikt nocą nie wychodzi z domu, chyba że w Tłusty Wtorek. - Westchnęła. - O, tam bym chciała pójść. Na karnawał. Zawsze każą mi tu zostać.. Ale słyszę jak sunie przez, miasto, i myślę wtedy, taka powinna być Genoa. Nie paru ludzi tańczących na ulicach, ale wszyscy tańczący na ulicach.

Magrat otrząsnęła się. Nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo daleko od domu.

- Myślę, że chyba przyda mi się jakaś pomoc - rzekła.

- Masz różdżkę - przypomniała Ella.

- Są takie chwile, że potrzebne jest coś więcej niż tylko różdżka - wyjaśniła Magrat. Wstała. - Ale powiem ci jedno - dodała jeszcze. - Nie podoba mi się ten dom. Nie podoba mi się to miasto. Elluszk?

- Tak?

- Nie pojedziesz na bal. Dopilnuję tego... Obejrzała się.

- Mówiłam. - Ella spuściła głowę. - Nawet się ich nie słyszy.

Jedna z sióstr stała na szczycie schodów. Jej nieruchome spojrzenie spoczywało na Magrat.

Podobno każdy człowiek ma cechy jakiegoś zwierzęcia. Magrat prawdopodobnie była bezpośrednio złączona psychicznie z jakimś zwierzętkiem futerkowym. Teraz ogarnęła ją groza przejmująca wszystkie małe gryzonie w obliczu

patrzącej nieruchomo śmierci. To straszne spojrzenie modulowało wszelkie typy przekazu: bezsens ucieczki, głupota oporu, nieuchronność zguby...

Wiedziała, że nic nie może zrobić. Nie panowała nad własnymi nogami, całkiem jakby rozkazy płynęły z tym wzrokiem do rdzenia kręgowego. Wrażenie bezradności napełniało niemal spokojem...

- Pokój temu domowi.

Siostra odwróciła się o wiele szybciej, niż byłoby to możliwe dla kogokolwiek z ludzi.

Babcia Weatherwax otworzyła drzwi.

- Alem zmęczona! - huknęła. - I laboga!

- O tak - poparła ją niania Ogg, wchodząc do środka. - Laboga też.

- Jesteśmy dwiema żebraczkami - wyjaśniła babcia, zbliżając się do Magrat.

- Chodzimy od domu do domu - dodała niania Ogg. - W żadnym razie nie przyszyliśmy prosto tutaj.

Obie chwyciły Magrat pod łokcie i uniosły nad podłogą.

Babcia obejrzała się jeszcze.

- A co z tobą, panienko?

Ella pokręciła głową, nie podnosząc wzroku.

- Nie - odparła. - Nie mogę odejść. Babcia zmrużyła oczy.

- Chyba nie - zgodziła się. - Wszyscy mamy swoją drogę do przejścia, a przynajmniej tak ludzie mówią, chociaż nie ja. Chodźmy, Gytho.

- Właśnie wychodzimy! - oznajmiła radośnie niania Ogg.

Odwróciły się.

Druga siostra stanęła w progu.

- O bogowie! - westchnęła niania. - Nawet nie zauważyłam, że się rusza.

- Właśnie wychodziłyśmy - powiedziała głośno babcia Weatherwax. - Jeśli to nie przeszkadza szanownej pani.

Zmierzyły się wzrokiem.

Powietrze zaiskrzyło.

- Kiedy powiem: teraz, Gytho... - rzuciła babcia przez zaciśnięte zęby.

- Słyszę - mruknęła niania.

Babcia sięgnęła ręką za plecy i znalazła imbryk, z którego przed chwilą korzystała Magrat. Zważyła go w dłoni. Poruszała się wolno i delikatnie.

- Gotowa, Gytho?

- Czekam, Esme.

- Teraz!

Babcia cisnęła imbryk w powietrze. Głowy obu sióstr skierowały się ku niemu.

Niania wyprowadziła potykającą się Magrat. Babcia zatrzęsnęła drzwiami w chwili, gdy bliższa z sióstr skoczyła ku nim z otwartymi ustami, za późno.

- Zostawiłyśmy tam dziewczynę! - zawołała niania, kiedy biegły alejką.

- One jej pilnują - odparła babcia. - Nie robią jej krzywdy.

- U nikogo jeszcze nie widziałam takich zębów.

- To dlatego że one nie są kimś. To węże. Dotarły do względnego bezpieczeństwa ulicy i zdyszane oparły się o mur.

- Węże? - wysapała niania. Magrat otworzyła oczy.

- To dzieło Lily - wyjaśniła babcia. - Pamiętam, dobra była w takich przemianach.

- Naprawdę węże?

- Tak - zapewniła ponuro babcia. - Lily łatwo znajduje przyjaciół.

- Niech mnie! Ja bym tak nie umiała.

- Dawniej ona też nie potrafiła, w każdym razie nie na dłużej niż kilka sekund.

Oto do czego prowadzi używanie luster.

- Ja... Ja... -wyjąkała Magrat.

- Ty jesteś bezpieczna - uspokoiła ją niania. Zerknęła na Esme Weatherwax. - Nie powinnyśmy zostawiać tam dziewczyny, cokolwiek byś mówiła. W domu, gdzie węże chodzą i myślą, że są ludźmi.

- Jest jeszcze gorzej. One chodzą i myślą, że są wężami.

- Wszystko jedno. Ty nigdy czegoś takiego nie robiłaś. Najgorsze twoje wyczyny to sprawić, że ludziom trochę się mieszało, kim są.

- No bo ja jestem tą dobrą - mruknęła z goryczą babcia. Magrat zadygotała.

- Spróbujemy ją wydostać? - zaproponowała niania.

- Jeszcze nie. Kiedy nadejdzie właściwy moment - odparła babcia. - Słyszysz mnie, Magrat?

- Tak, babciu - szepnęła Magrat.

- Musimy znaleźć jakieś spokojne miejsce i pogadać. O opowieściach.

- Co z opowieściami? - zdziwiła się Magrat.

- Lily je wykorzystuje. Nie widzisz tego? Przecież to się czuje w całym kraju. Opowieści zbierają się w tej okolicy, ponieważ tutaj znajdują ujście. Ona je żywi.

Posłuchaj uważnie: ona nie chce, żeby ta twoja Ella wyszła za tego Duca z powodu polityki czy czego tam jeszcze. To tylko... pretekst. Ale nie prawdziwy powód. Chce, żeby dziewczyna poślubiła księcia, bo tego wymaga opowieść.

- A co ona z tego ma? - zainteresowała się niania.

- W samym środku ich wszystkich tkwi dobra wróżka albo zła wiedźma... pamiętasz? Tam właśnie ustawia się Lily, Jak...jak... - Urwała, szukając właściwego słowa. - Pamiętasz, jak w zeszłym roku do Lancre przyjechał cyrk?

- Pamiętam! - zawołała niania. - Dziewczyny w obcisłych kostiumach z cekinami i tacy dwaj, co wlewali sobie farbę do spodni. Obiecali, że będą słonie, ale nie było ani jednego. Na afiszach namalowali słonie. Wydałam całe dwa pensy i nie zobaczyłam ani jednego sio...

- Tak, ale chodzi mi o coś innego - przerwała jej babcia, kiedy maszerowały szybko ulicą. - Był tam w środku taki człowiek. Pamiętasz? Z wąsem i w wielkim kapeluszu?

- On? Ale on nic ciekawego nie robił. Stał w środku namiotu i od czasu do czasu strzelał z bata, a wszystko inne działo się dookoła.

- Właśnie dlatego był tam najważniejszy - wyjaśniła babcia. - Wszystkie te rzeczy, dziejące się dookoła, czyniły go ważnym.

- Czym Lily żywi opowieści? - spytała Magrat.

- Ludźmi - stwierdziła babcia. I zmarszczyła czoło. - Opowieści! - zawołała. - No tak; będziemy musiały się zastanowić...

Zielonkawy zmierzch otulił miasto. Mgły unosiły się znad bagien.

Na ulicach płonęły pochodnie. Po dziedzińcach przesuwaly się niewyraźne sylwetki, ściągając osłony z platform. W ciemności błyszcząły cekiny i pobrzękiwały dzwonki.

Przez cały rok mieszkańcy Genoi byli uprzejmi i spokojni. Ale historia zawsze dawała uciśnionym jedną noc w roku - niezależnie od kalendarza - by na pewien czas przywrócić równowagę świata. Ta noc może się nazywać Świętem Błaznów albo Nocą Malowanego Króla. Albo, na przykład, Samedi Nuit Mort, kiedy nawet ci, na których spoczywają najtrudniejsze, najbardziej odpowiedzialne zadania, mogą o nich zapomnieć i rzucić się w wir zabawy.

W każdym razie większość.

Woźnice i stajenni siedzieli w swojej budce przy wybiegu przed stajniami, jedli kolację i narzekali, że muszą pracować w Noc Umarłych. Wypełniali także uświęcone tradycją, związane z tym rytuały, polegające głównie na porównywaniu, co też żony im dzisiaj zapakowały, oraz zazdrośczeniu kolegom, o których żony wyraźnie dbały lepiej.

Główny stajenny ostrożnie uniósł górną kromkę.

- Mam kurzą szyję i pikle - oświadczył. - Czy ktoś ma ser? Drugi woźnica sprawdził w swoim pudełku.

- Znowu gotowany bekon - poskarżył się. - Stale mi dają bekon. Wie przecież, że go nie lubię. I nawet nie odcięła tłuszczu.

- Taki gruby biały tłuszcz? - upewnił się pierwszy woźnica.

- Tak. Okropność. To ma być jedzenie na świąteczny wieczór?

- Zamienię się na sałatę i pomidora.

- Wchodzę. A co ty dostałeś, Jimmy?

Podstajenny nieśmiało rozpakował idealne zawiniątko. Wewnątrz były cztery kanapki z odciętą skórą. I gałązka zielonej pietruszki. I nawet serwetka.

- Wędzony łosoś i serek śmietankowy - powiedział.

- I kawałek weselnego ciasta - zauważył pierwszy woźnica. - Jeszcze go nie zjedliście?

- Robimy to co wieczór - zapewnił podstajenny. Budka zatrzęsała się od śmiechu. Powszechnie wiadomo, że każda niewinna uwaga wygłoszona przez dowolnego nowożeńca w dowolnej grupie roboczej natychmiast powoduje rubaszne żarty jego starszych i bardziej cynicznych kolegów. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy wszyscy zainteresowani mają po dziewięć odnóży i żyją na dnie oceanu amoniaku na ogromnej i mroźnej planecie. To po prostu jedna z tych rzeczy.

- Korzystaj, póki możesz - poradził smętnie drugi woźnica, kiedy już się uspokoił. - Zawsze zaczyna się od całusów, ciasta i odcinania skórek, a zanim się obejrzyś, masz tylko zimny jęzor, ciche dni i walek na powitanie.

- Moim zdaniem - wtrącił pierwszy woźnica - wszystko zależy od...

Ktoś zastukał do drzwi.

Podstajenny, jako najmłodszy, wstał i otworzył.

- To jakaś staruszka - poinformował kolegów. - Czego chcesz, staruszek?

- Napijcie się? - zaproponowała niania Ogg.

Pokazała dzban, nad którym unosiła się mgielka parującego alkoholu, i dmuchnęła w papierową świstawkę.

- Co? - zdziwił się stajenny.

- Wstyd, chłopaki, pracować akurat dzisiaj. Przecież to święto! Juhuu!

- Co się tu dzieje? - zapytał surowo najstarszy woźnica i wkroczył w obłok alkoholu. - Bogowie! Co to jest?

- Pachnie jak rum, panie Travis.

Najstarszy woźnica zawahał się. Z ulicy dobiegały śmiechy i muzyka - ruszył już pierwszy korowód. Sztuczne ognie strzelały na niebie. Nie była to noc, którą należało spędzać bez kropelki alkoholu.

- Jaka miła starsza dama - powiedział. Niania Ogg pomachała dzbanem.

- W górę oczy! - zawołała. - Na dno!

Coś, co można by nazwać klasyczną czarownicą, występuje w dwóch zasadniczych odmianach: wyrafinowanej i prostej. Inaczej mówiąc, czarownice dzielą się na takie, które mają pokój pełen insygniów swego zawodu, i takie, które nie mają. Magrat z upodobania należała do tej pierwszej odmiany. Takie na przykład magiczne noże. Posiadała pełną kolekcję magicznych noży z odpowiednimi kolorowymi rękojeściami i skomplikowanymi runami na klingach.

Dopiero wiele lat instrukcji babci Weatherwax przekonało Magrat, że zwykły kuchenny nóż do chleba jest o wiele lepszy od większości ozdobnych noży magicznych. Nie tylko potrafi zrobić wszystko, co tamte, ale jeszcze można nim kroić chleb.

W każdej kuchni leży jeden starożytny nóż z rękojeścią całkiem wytartą i ostrzem wygiętym jak banan, ale nie wiadomo dlaczego jest tak ostry, że sięganie nocą do szuflady przypomina raczej wyławianie jabłek z basenu pełnego piranii.

Taki właśnie nóż Magrat zatknęła za pasek. W tej chwili znajdowała się trzydzieści stóp nad ziemią. Jedną ręką ścisnęła miotłę, a drugą trzymała się rynny. Nogi zwisały jej w powietrzu. Włamanie powinny być łatwe, kiedy ma się miotłę - ale jakoś się to nie sprawdzało.

Wreszcie sięgnęła nogami do rynny i mocno objęła wygodnego gargulca. Wsunęła nóż między dwa skrzydła okna i podważyła zapadkę. Po kilku stęknieniach

znalazła się wewnątrz. Zdyszana, oparła się o ścianę. Niebieskie światełka pływały jej pod powiekami niczym odbicie fajerwerków rozjaśniających nocne niebo.

Babcia wciąż ją pytała, czy naprawdę chce to zrobić. A Magrat ze zdumieniem odkryła, że bardzo chce. Nawet jeśli te węzowe kobiety miałyby włóczyć się po domu. Być czarownicą oznaczało czasem konieczność udawania się do miejsc, gdzie człowiek nie miał ochoty trafić.

Otworzyła oczy.

Pośrodku pokoju, na krawieckim manekinie wisiała suknia.

Klatchiańska świeca wybuchła nad Genoą. Zielone i czerwone gwiazdy rozprysnęły się w aksamitnej ciemności, ukazując Magrat roziskrzzone klejnoty i jedwabie.

Nigdy jeszcze nie widziała niczego tak pięknego.

Na palcach ruszyła przed siebie. W gardle jej zaschło.

Ciepłe mgły kłębiły się nad bagnem.

Pani Gogol zamieszła w kociołku.

- Co robią? - zapytał Saturday.

- Powstrzymują opowieść - odparła. - A może nie...

Wstała.

- Tak czy inaczej, nadeszła nasza chwila. Idziemy na polanę.

Spojrzała na Saturdaya.

- Boisz się?

- Ja... Wiem, co się stanie potem - rzekł zombie. - Nawet jeśli zwyciężymy.

- Oboje wiemy. Ale mieliśmy dwanaście lat.

- Tak. Mieliśmy dwanaście lat.

- I Ella będzie rządziła miastem.

- Tak.

Stosunki między nianią Ogg i mężczyznami w budce były coraz cieplejsze. Jak sama by to określiła, niczym *maison en flambe*.

Podstajenny uśmiechnął się niewyraźnie do ściany i upadł na twarz.

- Tassy to ssą ci młodzdi - stwierdził starszy woźnica, próbując wyłowić z kufla swoją perukę. - Nie potra... trafią uczczymać dryn... drun... rumu.

- To co? Klin klinem, panie Travis? - zaproponowała niania Ogg i nalała mu jeszcze. - Czy może w tych stronach mówi się „aligatora aligatorem”?

- Myślę - odezwał się starszy stajenny - że czebba szygotować kartę... kratę... powóz, co?

- Wystarczy czasu na jeszcze jeden tyczek.

- Bardzo lasskawa - uznał stajenny. - Baadzo łaskawa pani, droga pani Goo...

Magrat marzyła o takich sukniach. W snach przed świtem tańczyła z księżętami. Nie takimi nieśmiałymi, zapracowanymi księżętami jak Verence w Lancre, ale prawdziwymi, o krystalicznie błękitnych oczach i białych zębach. I nosiła suknie takie jak ta. A one na nią pasowały.

Patrzyła na bufiaste rękawy, na haftowany stan, na piękną białą koronkę. Ta suknia była nieskończenie odległa od jej... hm... niania Ogg nazywała je „magratami”, ale to przecież były spodnie. Bardzo praktyczne.

Tak jakby praktyczność miała jakiekolwiek znaczenie.

Przyglądała się bardzo długo.

A potem, ze łzami, które spływały jej po twarzy i zmieniały kolor, odbijając światło sztucznych ogni, chwyciła nóż i zaczęła ciąć suknię na bardzo małe kawałeczki.

Głowa starszego woźnicy opadła miękko na jego kanapki. Niania Ogg wstała nieco chwiejnie. Wsunęła uśpionemu podstajennemu pod głowę perukę, gdyż była kobietą o dobrym sercu. Po czym wyszła w mrok nocy.

Jakaś postać przesuwiała się pod ścianą.

- Magrat? - szepnęła niania.

- Niania?

- Zajęłaś się suknią?

- Dopilnowałaś woźniców?

- Dobrze - rzekła babcia Weatherwax, wynurzając się z cienia. - Pozostała więc tylko karoca.

Skradając się teatralnie, podbiegła do wozowni i otworzyła wrota. Zgrzytnęły głośno o bruk.

- Pssst! - syknęła niania.

Na półce znalazły ogarek i zapaliki. Magrat zapaliła knot.

Karoca błysnęła jak bombka choinkowa.

Była niezwykle ozdobna, jak gdyby ktoś wziął całkiem zwyczajny powóz i szaleńczo nad nim pracował, dodając wszędzie rzeźbienia i złotą farbę.

Babcia Weatherwax obesła ją dookoła.

- Trochę krzykliwa - stwierdziła.

- Aż żal ją rozbijać - westchnęła smętnie niania. Podwinęła rękawy, a po namyśle wsunęła skraj spódnicy za reformy.

- Gdzieś tu musi być młot - mruknęła, sprawdzając długie ławy pod ścianami.

- Nie! Narobisz za dużo hałasu - szepnęła Magrat. - Zaczekaj chwilę...

Wyjęła zza pasa wzgardzoną różdżkę, ścisnęła mocno i machnęła na karocę.

Poczuły ostry podmuch.

- A niech mnie - powiedziała z podziwem niania Ogg. - W życiu bym na to nie wpadła.

Na podłodze leżała duża pomarańczowa dynia.

- To drobiazg - odparła Magrat, ryzykując nutę dumy w głosie.

- Ha! Ta karoca już nigdzie nie pojedzie.

- Zaraz... A możesz zmienić też konie? - spytała babcia.

Magrat pokręciła głową.

- Tego... Myślę, że to by było zbyt okrutne.

- Masz rację - zgodziła się babcia. - Masz rację. Nie ma usprawiedliwienia dla okrucieństwa wobec głupich zwierzaków.

Dwa ogiery z końską ciekawością obserwowały, jak otwiera wrota.

- Biegnijcie - powiedziała. - Gdzieś tam czekają rozległe, zielone pola. - Zerknęła na Magrat. - Zostałyście e-koń-cypowane.

Nie wywarło to na nich wrażenia.

Babcia westchnęła. Wspięła się na drewnianą ściankę rozdzielającą boksy, wyciągnęła obie ręce, złapała w każdą po końskim uchu i przyciągnęła je do poziomu swoich ust.

Szepnęła coś.

Ogiery odwróciły głowy i spojrzały sobie w oczy.

Potem spojrzały na babcię.

Uśmiechnęła się tylko i skinęła głową.

Wtedy...

Nie jest możliwe, by koń ze stojącego startu ruszył od razu galopem, ale im prawie się udało.

- Co im powiedziałaś, na miłość bogów? - spytała Magrat.

- Mistyczne zaklęcie jeźdźców - odparła babcia. - Przekazywane z pokolenia na pokolenie aż do Jasona Gythy, który przekazał je mnie. Działa za każdym razem.

- Powiedział ci? - nie dowierzała niania.

- Tak.

- Jak to? Całe?

- Tak - potwierdziła z dumą babcia.

Magrat wsunęła różdżkę za pasek. Kiedy to robiła, na podłogę wysunął się kwadrat białego materiału. Klejnoty i jedwab błysnęły w blasku świecy, gdy schyliła się szybko. Jednak niewiele mogło ująć uwagi babci Weatherwax.

Westchnęła.

- Magrat Garlick... - zaczęła.

- Tak - przyznała pokornie Magrat. - Tak, wiem. Jestem zmokłą kurą.

Niania pocieszająco klepnęła ją w ramię.

- Nic nie szkodzi - powiedziała. - Dziś w nocy wykonaliśmy dobrą robotę. Ta Ella ma szansę pojechać na bal, tak jak ja...jak ja zostać królową.

- Nie ma sukni, nie ma woźniców, nie ma koni i nie ma karocy - wyliczyła babcia. - Chciałabym zobaczyć, jak ona z tego wybrnie. Opowieści? Cha, cha.

- I co będziemy teraz robić? - spytała Magrat, kiedy wysunęły się na dziedziniec.

- Przecież jest Tłusta Pora Obiadowa! - zawołała niania. - Świnie na ogień!

Greebo wynurzył się z mroku i otarł ojej nogi.

- Myślałam, że Lily próbuje z tym skończyć - powiedziała Magrat.

- Równie dobrze mogłaby łyżką powstrzymywać powódź - odparła niania. - Poszalejemy!

- Nie popieram tańców na ulicy - oświadczyła babcia. - Ile rumu wypijaś, Gytho?

- Daj spokój, Esme. Mówią, że jeśli nie potrafisz się bawić w Genoi, to pewnie jesteś trupem. - Niania przypomniła sobie Saturdaya. - A prawdopodobnie można się spokojnie zabawić nawet wtedy.

- Czy nie powinniśmy zostać tutaj? - zaproponowała Magrat. -Dla pewności.

Babcia Weatherwax zawahała się.

- O czym ty myślisz, Esme? - spytała niania Ogg. - Myślisz, że poślą ją na bal w dyni? I pewnie jeszcze zaprzęgniętej w parę myszy? Hę, hę, hę...

Przez myśli babci przemknęło wspomnienie o węzowych kobietach. Zawahała się. Ale przecież miały za sobą męczący dzień. A kiedy się dobrze zastanowić, to przecież śmieszne...

- No dobrze - ustąpiła. - Ale poszalenie absolutnie nie wchodzi w grę. Zrozumiano?

- Tam są tańce - stwierdziła niania.

- I pewnie drinki z bananami - dodała Magrat.

- Istnieje taka szansa. Jedna na milion, owszem - przyznała radośnie niania.

Lilith de Tempscire uśmiechnęła się do siebie w podwójnym zwierciadle.

- Alem przerażona - powiedziała głośno. - Nie ma karocy, nie ma sukni, nie ma koni. Co ma począć biedna matka chrzestna? Alem przerażona. I prawdopodobnie jeszcze laboga.

Otworzyła niewielki skórzany futerał, w jakim muzyk mógłby przechowywać swój najlepszy flet.

W futerale leżała różdżka, identyczna z tą, jaką nosiła Magrat. Lilith wyjęła ją i przekręciła, przesuwając złote i srebrne pierścienie na nowe pozycje.

Szczękały jak najpaskudniejszy mechanizm pump-action.

- A mnie biednej została tylko dynia...

Różnica między obiektami świadomymi i nieświadomymi polega na tym, że chociaż trudno jest przemienić te pierwsze, nie jest to całkiem niemożliwe. To tylko kwestia zmiany psychicznego kanału. Za to obiekty pozbawione świadomości, jak na przykład dynia - a trudno wyobrazić sobie coś mniej świadomego od dyni - nie mogły być przemienione żadną magią prócz czarodzieielstwa.

Chyba że molekuły pamiętały czas, kiedy jeszcze nie były dynią...

Lilith roześmiała się, a miliard odbitych Lilith śmiał się wraz z nią wzdłuż całej krzywej lustrzanego wszechświata.

Tłustej Pory Obiadowej nie świętowano już w centrum Genoi. Ale w ubogich dzielnicach otaczających wysokie białe budynki zabawa trwała w najlepsze. Były sztuczne ognie. Byli tancerze, połykacze ognia, pióra i cekiny. Czarownice, dla których prosta rozrywka oznaczała do tej pory taniec morris, przyglądały się temu z otwartymi ustami. Stały w tłumie na chodniku, a obok przechodziły gwarne parady.

- Tam tańczą szkielety! - zdumiała się niania Ogg, kiedy przed nimi przeszło wirując kilkunastu kościstych tancerzy.

- Wcale nie. To ludzie w czarnych kostiumach z namalowanymi kośćmi - uświadomiła ją Magrat.

Ktoś szturchnął babcię Weatherwax. Podniosła głowę i spojrzała prosto w uśmiechniętą szeroko twarz czarnego mężczyzny. Podał jej glinianą flaszkę.

- Poczęstuj się, skarbie.

Babcia wzięła naczynie, zawahała się przez moment, po czym wypila łyk. Trąciła Magrat i wręczyła jej butelkę.

- Frgh!! Gizeer! - powiedziała.

- Co? - spytała Magrat, przekrzykując hałas orkiestry.

- Ten człowiek chce, żebyśmy spróbowały i podały dalej - wyjaśniła babcia.

Magrat przyjrzała się szyjce butelki. Spróbowała dyskretnie wytrzeć ją o spódnicę, mimo oczywistego faktu, że wszelkie żyjące tam zarazki już dawno by się spaliły. Zaryzykowała niewielki łysek i podsunęła naczynie niani Ogg.

- Kwizathuugner! - powiedziała i otarła oczy. Niania podniosła butelkę do ust. Po chwili Magrat szturchnęła ją nerwowo.

- Mamy ją chyba podać dalej - przypomniała.

Niania otarła wargi i przekazała o wiele lżejszą butelkę pierwszej z brzegu wysokiej postaci po swojej lewej stronie.

- Pij pan - zaprosiła. DZIĘKUJĘ BARDZO.

- Ładny masz pan kostium. Te kości są świetnie namalowane. Po czym wróciła do podziwiania żonglujących połykaczy ognia. I wtedy dopiero dokonała

pewnych myślowych skojarzeń. Obejrzała się, ale obcy już odszedł. Wzruszyła ramionami.

- Co dalej robimy? - zapytała.

Babcia Weatherwax patrzyła nieruchomo na grupę tancerzy wychylających się do tyłu tak, że niemal dotykali głowami ziemi. Wiele tańców w paradach ma pewną cechę wspólną: wyrażają wprost to, co takie na przykład gaiki jedynie sugerują. I osłaniają to cekinami.

- Nigdy już nie będziesz się czuła bezpiecznie w wychodku, co? - zaśmiała się niania.

U jej stóp siedział sztywno Greebo i przyglądał się tańczącym kobietom, okrytym jedynie piórami. Próbował wymyślić, jak powinien się wobec nich zachować.

- Nie. Myślałam o czymś innym. Myślałam o tym... jak działają opowieści. A teraz... Myślę, że chętnie bym coś zjadła - tłumaczyła słabym głosem babcia. Opanowała się. -Ale jakieś normalne potrawy, nie coś wygrzebanego z dna stawu. I nie życzę sobie tego... tego cuisine.

- Nie masz ochoty na przygodę, babciu? - wtrąciła Magrat.

- Nie mam nic przeciwko przygodom. Z umiarem - odparła babcia. - Ale nie przy jedzeniu.

- Po drodze mijałyśmy gospodę, gdzie podają sandwicze z aligatora. - Niania odwróciła się od parady. - Dacie wiarę? Aligatory w kanapce?

- To mi przypomina pewien żart - rzekła babcia Weatherwax. Coś ją dręczyło, lecz nie mogła sobie przypomnieć, co to takiego.

Niania Ogg zakaszłała, ale bez skutku.

- Otóż pewien lew zebrał zwierzęta... - zaczęła babcia, by zagłuszyć narastający niepokój. - I była tam żaba. Lew przemówił, a żaba kazała alejgatorowi się wynosić.

- Moim zdaniem pakowanie aligatorów do kanapek jest okrucieństwem - oświadczyła Magrat wśród martwego milczenia.

- A ja zawsze powtarzam, że śmiech to zdrowie - stwierdziła niania.

Lilith uśmiechnęła się do Elli stojącej żałośnie między dwoma węzowymi kobietami.

- I suknia całkiem podarta - powiedziała. - A przecież drzwi do pokoju były zamknięte na klucz. No, no... Jak mogło do tego dojść?

Ella wpatrywała się w podłogę. Lilith uśmiechnęła się do sióstr.

- Cóż - westchnęła. - Musimy sobie radzić z tym, co mamy do dyspozycji. Hm... Przynieście... Przynieście dwa szczury i dwie myszy. Wiem, że zawsze potraficie znaleźć szczury i myszy. Aha, i jeszcze dużą dynię.

Roześmiała się. Nie obłąkanym, piskliwym śmiechem złej wróżki, która właśnie została pokonana, ale uprzejmie, jak ktoś, kto docenia dobry żart.

Z namysłem spojrzała na różdżkę.

- Ale najpierw... - teraz wbiła wzrok w bladą twarz Elli - przyprowadźcie tych niedobrych ludzi, którzy pozwolili sobie na pijaństwo. Okazali brak szacunku. A jeśli nie ma się szacunku, nie ma się niczego.

Stukanie różdżki było w kuchni jedynym słyszalnym dźwiękiem.

Niania Ogg puknęła w wysoką szklankę. - Nie mam pojęcia, po co wkładają do tego parasolkę - oświadczyła, po czym wyssała koktajlową wisienkę na patyczku. - Znaczą coś, nie chcą, żeby zmokło?

Uśmiechnęła się szeroko do Magrat i babci, które ponuro obserwowały świętujących.

- Nie martwcie się tak - powiedziała. - W życiu nie widziałam pary takich smętnych twarzy.

- To czysty rum, co pijesz - zauważyła Magrat.

- Mnie to mówisz? - Niania pociągnęła solidny łyk. - Zdrowko!

- Za łatwo nam poszło - stwierdziła babcia Weatherwax.

- Tylko dlatego że to my się za to wzięliśmy. Chcesz coś załatwić, to jesteśmy właściwymi dziewczętami. Pokaż mi jeszcze kogoś, kto by tak się sprawił i wszystko w ostatniej chwili. Zwłaszcza ten numer z karocą.

- Nie byłoby z tego dobrej opowieści - stwierdziła babcia.

- A lecieć tam te opowieści - rzuciła lekceważąco niania. - Opowieść zawsze można zmienić.

- Tylko w odpowiednich miejscach. A co będzie, jeśli zdobędą dla niej nową suknię, konie i wszystko?

- Gdzie? Kiedy? - spytała niania. - Poza tym jest święto. I nie mają czasu. Lada chwila powinni rozpocząć bal. Babcia bębniła palcami o blat stolika. Niania westchnęła ciężko.

- O co ci teraz chodzi?

- Opowieści nie kończą się w taki sposób.

- Posłuchaj, Esme. Jedyna magia, która mogłaby teraz podziałać, to magia różdżki. A różdżkę ma Magrat. - Niania skinęła głową w stronę młodszej czarownicy.

- Mam rację, Magrat?

- Uhm.

- Nie zgubiłaś jej chyba?

- Nie, ale...

- Sama widzisz, Esme.

- Tylko że... no... - jąkała się Magrat. - Ella mówiła, że miała dwie matki chrzestne...

Pięść babci Weatherwax uderzyła w stół tak mocno, że szklanka niani aż podskoczyła i przewróciła się.

- To jest to! - krzyknęła babcia.

- Była prawie pełna. Wylałaś prawie całego drinka - wypomniała jej z wyrzutem niania.

- Idziemy!

- Prawie cała szklanka...

- Gytho!

- Czy powiedziałam, że nie idę? Chciałam tylko zauważyć...

- Natychmiast!

- Może tylko poproszę, żeby podali mi jesz...

- Gytho!!!

Czarownice były w połowie ulicy, gdy karoca wytoczyła się, z alejki i odjechała w stronę pałacu.

- To niemożliwe! - jęknęła Magrat. - Przecież się jej pozbyliśmy!

- Trzeba było ją posiekać - powiedziała niania. - Taką dynię można nieźle przyrządzić...

- Załatwili nas - stwierdziła babcia i przystanęła.

- Możecie wejść w umysły koni? - spytała Magrat. Czarownice skoncentrowały się.

- To nie są konie - oświadczyła niania. - Wyglądają raczej jak...

- Jak szczury zmienione w konie - dokończyła babcia, która potrafiła wejść komuś do umysłu nawet lepiej, niż zaleźć mu za skórę. - Podobne wrażenie jak u tego biednego wilka. Umysły jak pokaz sztucznych ogni. - Skrzywiła się, czując echo tych wrażeń we własnej głowie.

- Założę się - powiedziała z namysłem niania, spoglądając na znikającą za zakrętem karocę - że potrafię sprawić, by odpadły jej koła.

- To żadne rozwiązanie - uznała Magrat. - Poza tym Ella jest w środku.

- Może jest inny sposób - zgodziła się niania. - Znam kogoś, kto raz-dwa trafi do ich umysłów.

- Kto? - spytała Magrat.

- Wciąż mamy nasze miotły. Chyba bez trudu ich wyprzedzimy

Czarownice wylądowały w zaułku, o kilka minut wyprzedzając karocę.

- Mnie się to nie podoba - oświadczyła babcia. - To Lily robi takie rzeczy. Nie możecie tego wymagać ode mnie. Przypomnijcie sobie tego wilka.

Niania wyjęła Greeba z jego gniazodka między witkami.

- Przecież Greebo i tak jest już prawie jak człowiek - powiedziała.

- Ha!

- Zresztą to tylko na chwilę, nawet jeśli spróbujemy wszystkie trzy. No i ciekawie będzie sprawdzić, czy się uda.

- Tak, ale to złe - upierała się babcia.

- W tych stronach chyba nie - odparła niania.

- Poza tym - dodała z cnotliwą miną Magrat - nie może być złe, jeśli my to robimy. My jesteśmy te dobre.

- A tak, rzeczywiście - mruknęła babcia. - Przez moment o tym zapomniałam.

Niania cofnęła się. Greebo wyczuł, że czegoś od niego oczekują, i usiadł.

- Musisz przyznać, babciu, że nie masz lepszego pomysłu - powiedziała Magrat.

Babcia wahala się, ale pod niechęcią i wstrętem dla się maleńki zdradziecki płomyk fascynacji wyzwaniem. Ponadto ona i Greebo nienawidzili się serdecznie od lat. Prawie jak człowiek, tak? To niech spróbuje i zobaczy, jak to jest... Czula się trochę zawstydzona tą myślą. Ale nie za bardzo.

- No dobrze....

Skoncentrowały się.

Lily dobrze wiedziała, że zmiana kształtu obiektu to jeden z najtrudniejszych czarów. Ale jest łatwiej, jeśli obiekt żyje. W końcu żywa istota sama wie, jaki ma kształt. Trzeba tylko zmienić jej poglądy.

Greebo ziewnął i przeciągnął się. Po czym, ku swemu zdumieniu, rozciągał się nadal.

Po ścieżkach kociego mózgu popłynęła nagle fala wiary. Nagle uwierzył, że jest człowiekiem. Nie chodzi o to, że miał takie wrażenie - wierzył bezgranicznie. Czysta siła tej niewzruszonej wiary popłynęła do jego pola morficznego, przełamała sprzeczności, przerysowała wszystkie schematy jego istoty.

Z powrotem pomknęły nowe instrukcje.

Jeśli jest człowiekiem, nie potrzebuje tyle futra. I powinien być większy...

Czarownice przyglądały się zafascynowane.

- Nie sądziłam, że nam się uda - szepnęła babcia.

...mniej szpiczaste uszy, krótsze wąsiki...

...potrzebuje więcej mięśni, kości mają nieodpowiedni kształt, nogi powinny być dłuższe...

I nagle wszystko dobiegło końca.

Greebo wyprostował się i nieco chwiejnie stanął na nogach.

Niania wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Po chwili spuściła wzrok niżej...

- O rany - mruknęła.

- Myślę - oświadczyła babcia Weatherwax - że musimy wyobrazić sobie na nim jakąś odzież. I to szybko.

Nie sprawiło im to kłopotu. Kiedy Greebo był już zadowolająco ubrany, babcia kiwnęła głową i odstepiła o krok.

- Magrat, mozesz otworzyć oczy - powiedziała.

- Nie zamykałam ich.

- A powinnaś.

Greebo odwrócił się powoli; na jego poznaczonej bliznami twarzy pojawił się lekki, leniwy uśmieszek. Jako człowiek miał złamany nos, czarna opaska skrywała jego ślepe oko. Za to zdrowe błyszczało jak grzechy aniołów, a uśmiech był niczym upadek świętych. W każdym razie tych żeńskich.

Może to przez feromony, a może przez mięśnie prężące się pod czarną skórzaną koszulą, Greebo emanował w paśmie megawatowym oleistą, diaboliczną seksualność. Wystarczyło na niego popatrzeć, żeby mroczne skrzydła zatrzepotały w karmazynowej nocy.

- Ehm... Greebo - odezwała się niania. Otworzył usta. Błysnęły siekacze.

- Wrrauuu - powiedział.

- Rozumiesz mnie?

- Taaak, niaaniauuu.

Niania Ogg oparła się o mur.

Zastukały kopyta - to karoca skręciła w ulicę.

- Idź tam i zatrzymaj ten powóz!

Greebo uśmiechnął się znowu i wybiegł z zaułka.

Niania wachlowała się kapeluszem.

- O rany... - szepnęła. - Pomyśleć, że często łaskotałam go po brzuchu... Nic dziwnego, że kotki wrzeszczą po nocach.

- Gytho!

- Ty też jesteś cała czerwona, Esme.

- Po prostu się zmachałam.

- Zabawne. Wcale nie biegłaś.

Karoca z hurkotem mknęła po ulicy. Woźnice i lokaje nie byli całkiem pewni, czym właściwie są. Ich umysły oscylowały szaleńczo. W jednej chwili byli ludźmi myślącymi o serze i skórkach bekonu, w następnej myszami zastanawiającymi się, czemu noszą spodnie.

Co do koni... Konie i tak są trochę szalone, a bycie szczurami na pewno im nie pomagało.

Tak więc nikt nie był w stabilnym stanie psychicznym, gdy Greebo wynurzył się z mroku i uśmiechnął leniwie.

- Mrrauu - powiedział.

Konie próbowały zahamować, co jest praktycznie niemożliwe, kiedy z tyłu napiera karoca. Woźnice zesztynieli ze zgrozy.

- Mrrauu?

Karoca wpadła w poślizg i uderzyła bokiem o mur, strącając woźniców. Greebo podniósł jednego za kołnierz i potrząsnął kilka razy. Oszalałe konie próbowały wyrwać się z zaprzęgu.

- Uciekasz, futerrrkowy maluchu? - zaproponował.

Za przerażonymi oczami walczyli o pierwszeństwo mysz i człowiek. Ale nie musieli się tym przejmować - w obu przypadkach przegrywali. Kiedy świadomość przeskakiwała między stanami, stworzenie widziało albo szczerzące zęby kota, albo sześciostopowego, potężnie umięśnionego, jednookiego i uśmiechniętego prześladowcę.

Woźnica zemdłał. Greebo klepnął go kilka razy, na wypadek gdyby zamierzał się ruszyć...

Zbudź się, myszko...

...i stracił zainteresowanie.

Drzwiczki karocy zgrzytnęły, zacięły się i wreszcie stanęły otworem.

- Co się stało? - zapytała Ella.

- Mrrrauuu!

But niani Ogg trafił Greeba w tył głowy.

- O nie! Nic z tego, mój chłopcze - powiedziała.

- Chcę - odparł posępnie Greebo.

- Zawsze chcesz. W tym cały kłopot. - Niania Ogg uśmiechnęła się do Elli. - Wsiadaj, moja droga.

Greebo wzruszył ramionami i odszedł, wlokąc za sobą ogłuszonego woźnicę.

- Co się dzieje? - poskarżyła się Ella. - O, Magrat. Czy to ty zrobiłaś?

Magrat pozwoliła sobie na moment nieśmiałej dumy.

- Mówiłam przecież, że nie będziesz musiała iść na bal, prawda? Ella spojrzała na rozbitą karocę.

- Nie ma z tobą żadnych węzowych kobiet? - upewniła się babcia.

- Pojechały przodem - odparła Ella. I nagle jakby coś sobie przypomniała.

- Lilith zamieniła prawdziwych woźniców w żuki - szepnęła. - Przecież nie byli tacy źli! Kazała siostrze przynieść parę myszy i zrobiła z nich ludzi, a potem

powiedziała, że musi być zachowana równowaga. I siostry przywlokły woźniców, a ona zmieniła ich w żuki i... i rozdeptała...

Urwała wstrząśnięta.

Sztuczne ognie strzeliły w górze, ale na dole w powietrzu zawisł bąbel przerażonej ciszy.

- Czarownice nie zabijają ludzi - powiedziała Magrat.

- To obce strony - mruknęła niania, spuszczając wzrok.

- Myślę - stwierdziła babcia Weatherwax - że powinnaś jak najszybciej się stąd wynieść, moja panno.

- Tylko chrupnęło...

- Mamy miotły - przypomniała Magrat. - Możemy wszystkie stąd uciec.

- Pośle coś za wami - oświadczyła posępnie Ella. - Znam ją. Coś z lustra.

- To będziemy z tym walczyć.

- Nie - rzekła babcia. - Cokolwiek ma się zdarzyć, zdarzy się tutaj. Odeślemy tę panienkę w jakieś bezpieczne miejsce, a potem... potem zobaczymy.

- Ale jeśli zniknę, ona się dowie. Spodziewa się mnie na balu. I będzie mnie szukać.

- Ona ma rację, Esme - przyznała niania Ogg. - Chcesz przecież spotkać się z Lily w miejscu, które sama wybierzesz. Wolałabym, żeby nie skradała się za nami w taką noc. Chcę widzieć, jak nadchodzi.

Coś zatrzepotało w ciemności nad nimi, a po chwili niewielki czarny kształt spłynął w dół i wylądował na bruku. Nawet w ciemności widziały błysk jego oczu. Przyglądał się czarownicom wzrokiem zbyt inteligentnym jak na zwykły drób.

- To kogut pani Gogol - poznała go niania. - Tak?

- Czym jest rzeczywiście, może nigdy się nie dowiemy-odparła babcia. - Chciałabym wiedzieć, po której stronie ona stoi.

- Znaczą: dobra czy zła? - upewniła się Magrat.

- Jest dobrą kucharką - przypomniała niania. - Nie wierzę, żeby ktoś, kto umie tak gotować, był całkiem zły.

- Czy to ta kobieta, która mieszka na bagnach? - spytała Ella. - Słyszałam o niej najróżniejsze historie.

- Za łatwo jej przychodzi zamiana umarłych w zombie - stwierdziła babcia. - A to niedobrze.

- My przed chwilą zamieniliśmy kota w osobę... To znaczy w ludzką osobę - poprawiła się szybko niania, niepoprawna wielbicielka kotów. - A to też niezbyt dobrze. Myślę, że to bardzo dalekie od tego, co dobre.

- Tak, ale zrobiliśmy to ze słusznych powodów - przypomniała babcia.

- Nie znamy powodów działania pani Gogol.... Z zaułka dobiegł gniewny pomruk. Niania ruszyła w tamtą stronę i po chwili usłyszały jej karcący głos:

- Nie! Połóż go natychmiast!

- Mój! Mój!

Legba przeszedł dumnie kilka kroków, po czym obejrzał się wyczekująco.

Babcia podrapała się w głowę, odeszła kawałek od Magrat i Elli, zmierzyła je wzrokiem. Potem rozejrzała się dookoła.

- Hm... - mruknęła. - Lily spodziewa się ciebie na balu, tak?

- Ona potrafi wyglądać z odbić! - odparła załęczniona Ella.

- Hm... - Babcia wsunęła do ucha mały palec i kręciła nim przez moment. - Magrat, ty tu jesteś matką chrzestną. Co jest teraz dla nas najważniejsze?

Magrat nigdy w życiu nie grała w karty.

- Dbać o bezpieczeństwo Elli - odpowiedziała natychmiast, zdumiona, że babcia przyznała w końcu, iż to ona, Magrat, dostała różdżkę. - O to chodzi w całym chrzestnym matkowaniu wróżek.

- Tak?

Babcia Weatherwax zmarszczyła czoło.

- A wiesz - powiedziała -jesteście prawie tego samego wzrostu... Wyraz zdziwienia na twarzy Magrat przetrwał jeszcze pół sekundy, nim zastąpiła go zgroza. Cofnęła się o krok.

- Ktoś musi to zrobić - tłumaczyła babcia.

- Och, nie! Nie! To się nie uda! Nie może się udać! Wykluczone!

- Magrat Garlick - oznajmiła tryumfalnie babcia. - To ty pójdziesz na bal.

Karoca skrzyła na dwóch kołach. Greebo stał na koźle, kołysał się, oblakańczo szczyrzył zęby i strzelał z bata. To było nawet lepsze niż jego miękka piłka z dzwonkiem w środku. Wewnątrz, między dwoma starszymi czarownicami, siedziała Magrat i ścisnęła dłońmi głowę.

- Przecież Ella może zgubić drogę na bagnach!

- Nie, jeśli prowadzi ją kogut - uspokajała ją niania. - Będzie bezpieczniejsza na bagnie pani Gogol niż na balu. To pewne.

- Dziękuję uprzejmie!

- Nie ma za co - mruknęła babcia.

- Wszyscy od razu poznają, że nie jestem Ellą!

- Jak włożysz maskę, to nie poznają.

- Włosy są inne!

- Mogę je trochę podkolorować - zaproponowała niania. - Żaden kłopot.

- Mam inną figurę!

- Możemy... - Babcia zawahała się. - Mogłabyś, no wiesz, tak się trochę nadać?

- Nie!

- Masz może zapasową chusteczkę, Gytho?

- Mogę oderwać kawałek od halki, Esme.

- Auu!

- I już.

- Te szklane pantofelki nie pasują!

- Na mnie pasują - stwierdziła niania. - Przymierzałam.

- Tak, aleja mam mniejszą nogę od ciebie!

- Nic nie szkodzi - uspokoiła młodszą czarownicę babcia. - Włożysz dwie pary moich skarpet i będą idealne.

Wyczerpawszy wszystkie możliwe argumenty, Magrat pograżyła się w desperacji.

- Przecież ja nie wiem, jak się zachowywać na balach... Babcia Weatherwax musiała przyznać, że ona też nie wie. Zerknęła na nianię.

- Za młodu chodziłaś na tańce - przypomniała.

- Fakt - przyznała niania Ogg, nauczycielka manier. - Trzeba tylko pukać mężczyzn wachlarzem... Masz swój wachlarz? I mówić coś w rodzaju „La, sir!”. Pomaga też, jeśli będziesz chichotała. I trzepotała trochę rzęsami. I czasem wydymała wargi.

- Niby jak mam wydymać wargi? Niania Ogg zademonstrowała.

- Faj!

- Nie martw się - powiedziała babcia. - My też tam będziemy.

- I to niby ma mnie pocieszyć?

Niania sięgnęła ręką za plecami Magrat i chwyciła babcię za ramię. Samymi wargami bezgłośnie uformowała słowa: Nie uda się. Ona nie wytrzyma. Brak jej pewności.

Babcia skinęła głową.

- Może to ja powinnam cię zastąpić - powiedziała głośno niania. - Mam doświadczenie z balami. Założę się, że gdybym rozpuściła włosy, włożyła maskę i te błyszczące buciki, i jeszcze gdybyśmy podwinęły suknię o jakąś stopę, nikt by nie zauważył różnicy. Jak myślisz?

Magrat była tak poruszona samym obrazem tej możliwości, że posłuchała odruchowo, gdy babcia Weatherwax poleciła:

- Spójrz na mnie, Magrat Garlick!

Dyniowa karoca z wielką szybkością skręciła na wiodący do pałacu podjazd. Rozpędzając po drodze konie i pieszych, w strudze żwiru wyhamowała przed schodami.

- Niezła zabawa - stwierdził Greebo. I stracił zainteresowanie. Dwóch lokajów podbiegło, by otworzyć drzwiczki. Niemal odrzuciła ich siła emanującej z wnętrza czystej arogancji.

- Szybciej, wieśniacy!

Magrat wysiadła z dumą, odpychając majordomusa. Chwyciła spódnicę i wbiegła po czerwonym dywanie. Na szczycie schodów lokaj okazał brak rozsądku i zapytał ją o zaproszenie.

- Ty bezczelny sługusie!

Lokaj rozpoznał bezgranicznie złe maniery osoby wysoko urodzonej i odstąpił natychmiast.

Na dole, w karocy, niania Ogg pochyliła się do babci Weatherwax.

- Nie wydaje ci się, że trochę przesadziłaś?

- Musiałam. Wiesz, jaka ona jest.

- A jak my się tam dostaniemy? Nie mamy zaproszeń. W dodatku nie jesteśmy odpowiednio ubrane.

- Zdejmij miody z dachu - poleciła babcia. - Idziemy wprost na szczyt.

Wylądowały na blankach wieży wyrastającej nad terenami wokół pałacu. Z dołu dobiegała dworska muzyka, od czasu do czasu nad rzeką strzelały sztuczne ognie. Babcia otworzyła prawdopodobnie wyglądające drzwi i razem zeszły po spiralnych schodach. Prowadziły do korytarza.

- Elegancki dywan - zauważyła niania. - Dlaczego jest nie tylko na podłodze, ale też na ścianach?

- To są gobeliny - wyjaśniła babcia.

- Coś takiego... - mruknęła niania. - Człowiek się uczy przez całe życie. Przynajmniej ja.

Babcia znieruchomiała z dłonią na klamce.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Na przykład nie wiedziałam, że masz siostrę.

- Nigdy o niej nie mówiliśmy.

- To straszne, kiedy rodzina tak się rozpada.

- Tak? Sama kiedyś mówiłaś o swojej siostrze Beryl, że jest chciwą niewdzięcznicą i ma sumienie godne ostrzygi.

- Niby tak. Ale ona wciąż jest moją siostrą. Babcia otworzyła drzwi.

- No, no... - powiedziała.

- Co tam jest? No pokaż! Nie stój tak. - Niania zajrzała do pokoju pod ramieniem babci. - O rany... - mruknęła.

Magrat zatrzymała się w rozległym przedpokoju wyłożonym czerwonym aksamitem. Dziwne myśli pojawiały się w jej głowie; nie czuła się tak od czasu incydentu z winem ziołowym. Ale pomiędzy nimi jakiś wewnętrzny głos - walczący o jej uwagę niczym maleńki prozaiczny ziemniak w kępie psychodelicznych chryzantem - krzyczał, że przecież nie umie nawet tańczyć. Chyba że w kręgu.

Ale to przecież nie może być trudne, skoro udaje się zwykłym ludziom.

Maleńka wewnętrzna Magrat, usiłująca zachować równowagę w rwącym strumieniu pewności siebie, zastanawiała się, czy tak właśnie przez cały czas czuje się babcia Weatherwax.

Uniosła skraj sukni i spojrzała na pantofelki.

To nie mogło być prawdziwe szkło - inaczej kuśtykałaby teraz, szukając pierwszej pomocy. Nie były też przezroczyste. Ludzka stopa to bardzo użyteczny narząd, ale nie jest zbyt atrakcyjnym widokiem - chyba że dla osób o bardzo szczególnych zainteresowaniach.

Były lustrzane. Dziesiątki faset odbijały światło.

Dwa lustra na nogach... Magrat niejasno przypominała sobie coś o... o czarownicy, która nie powinna stawać między dwoma zwierciadłami? Czy może o tym, że nie należy ufać mężczyźnie o pomarańczowych brwiach? Coś takiego, czego ją uczyli, kiedy była jeszcze kimś zwyczajnym. Chodziło o to... zaraz... o to, że czarownica nie powinna stawać między dwoma zwierciadłami, bo kiedy wyjdzie, może już nie być tą samą osobą. Albo coś w tym rodzaju. Znaczący... Człowiek rozmywa się w tych wszystkich odbiciach, cała dusza zostaje rozrzedzona, a gdzieś w najdalszych obrazach najciemniejsza część jaźni może się wydostać i zacząć go szukać, jeśli nie jest dostatecznie ostrożny. Czy jakoś tak.

Stłumiła tę myśl. To teraz nieważne.

Ruszyła naprzód, do niewielkiej grupki gości czekających na zaanonsowanie.

- Lord Henry Wyśięk i lady Wyśięk!

Sala balowa wcale nie była salą, ale dziedzińcem otwartym na ciepłe nocne powietrze. Od wejścia w dół prowadziły schody. Po drugiej stronie schody o wiele szersze i oświetlone migoczącymi pochodniami prowadziły do samego pałacu. Na ścianie wisiał zegar - wielki i widoczny z daleka.

- Szanowny Douglas Nieustanny!

Zegar wskazywał za piętnaście ósmą. Magrat niejasno przypominała sobie jakąś starą kobietę krzyczącą coś o czasie, ale to również było nieważne.

- Lady Volentia d'Arrangement!

Dotarła do szczytu schodów. Lokaj, który anonsował gości, przyjrzał się jej z uwagą. A potem, tonem człowieka, który otrzymał bardzo ściśle instrukcje dotyczące tej właśnie chwili, krzyknął potężnym głosem:

- Ehm... Tajemnicza i piękna nieznajoma!

Cisza rozlewała się od schodów niczym wylana farba. Pięćset głów odwróciło się równocześnie i spojrzało na Magrat.

Jeszcze wczoraj na samą myśl o pięciuset wpatrzonych w nią ludziach Magrat rozpułyby się jak masło na patelni. Ale teraz ona także spojrzała, uśmiechnęła się i dumnie uniosła podbródek.

Otwarcie wachlarza zabrzmiało jak wystrzał.

Tajemnicza i piękna nieznajoma, córka Simplicity Garlick, wnuczka Araminty Garlick, z pewnością siebie tak skoncentrowaną, że aż krystalizowała się na obrzeżach jej osobowości...

...przekroczyła próg.

W chwilę później obok lokaja przeszedł kolejny gość. Lokaj zawahał się. Coś w tej postaci go zaniepokoiło. Nie potrafił skupić na niej wzroku. Właściwie to wcale nie był pewien, czy w ogóle ktoś tam jest.

Ale zaraz powrócił zdrowy rozsądek, który na moment wymknął się i schował za czymś innym. To przecież Samedi Nuit Mort - ludzie powinni się przebierać i wyglądać dziwnie. I człowiekowi wolno widzieć takie osoby.

- Przepraszam szanownego pana - odezwał się. - Kogo mam zaanonsować?

JESTEM TU INCOGNITO.

Lokaj był pewien, że nic nie zostało powiedziane, ale równie pewien, że usłyszał słowa.

- Ee... oczywiście - wymamrotał. - Proszę wejść, hm... - Rozjaśnił się nagle. - Znakomita jest ta maska szanownego pana.

Spojrzał, jak mroczna figura schodzi w dół, po czym oparł się o kolumnę.

Miał dosyć. Wyjął z kieszeni chustkę, zdjął upudrowaną perukę i otarł czoło. Czuł się, jakby właśnie czegoś uniknął, a co gorsza nie miał pojęcia czego.

Rozejrzał się ostrożnie i dyskretnie przemknął do przedpokoju. Tam zajął pozycję za aksamitną kotarą, gdzie mógł spokojnie zapalić.

Niemal połknął niedopałek, kiedy po czerwonym dywanie zbliżył się bezgłośnie kolejny gość. Ubrany był jak pirat, który właśnie obrabował statek wiozący skórzane kostiumy dla wybrednych klientów. Na jednym oku nosił przepaskę, drugie błyszczało niczym złowrogi szmaragd.

Nikt tak wielki nie powinien umieć tak cicho chodzić.

Lokaj schował niedopałek za ucho.

- Przepraszam, milordzie. - Pobiegł za nowo przybyłym i stanowczo, choć z szacunkiem dotknął jego ramienia. - Muszę obejrzeć pańskie zap... pańskie... zap...

Gość spojrzał na dłoń na swoim ramieniu. Lokaj odsunął ją pospiesznie.

- Mrrauu?

- Pańskie... zaproszenie... Gość otworzył usta i zasyczał.

- Naturalnie. - Lokaj cofnął się z szybkością człowieka, któremu nie płacą aż tyle, żeby się szarpał z ubranym w czarną skórę maniakiem o zębach ostrych jak igły. - Jest pan jednym z przyjaciół Duca, jak sędzę...

- Mrrauu.

- Żaden problem, żaden... Ale szanowny pan zapomniał swojej maski.

- Mrrauu?

Lokaj gorączkowo pomachał w stronę zaszypanego maskami stołu.

- Duc żąda, by wszyscy nosili maski - wyjaśnił. - Tego... Może tutaj znajdzie pan coś odpowiadającego pańskim gustom.

Zawsze znajdzie się paru takich, myślał. Na zaproszeniu mają wypisane „Bal Maskowy”, dużymi i ozdobnymi literami, w dodatku na złoto, ale zawsze są tacy, którym wydaje się, że to ktoś o nazwisku Maska jest organizatorem. A ten tutaj pewnie rabował miasta, kiedy powinien uczyć się czytać.

Gość przyjrzał się maskom. Wcześniej przybyli zabrali już te najlepsze, ale to mu wyraźnie nie przeszkadzało.

Wyciągnął rękę.

- Chcę tę - powiedział.

- Ehm... Doskonały wybór, szanowny panie. Pomogę ją...

- Mrrauu!

Lokaj odstąpił, ściskając się za ramię.

Gość spojrzał na niego wrogo, wsunął maskę na twarz i przez dziurkę na oko przyjrzał się sobie w lustrze.

Dziwne, pomyślał lokaj. Mężczyźni raczej nie wybierają takich masek. Wolą czaszki, ptaki, byki i inne takie. Ale nie koty.

Jeszcze dziwniejsze, że leżąc na stole maska przedstawiała pyszczek ładnego rudego kota. Na przybyszu była... nadal kocim pyskiem, tylko że o wiele bardziej. I o wiele groźniejszym niż powinna.

- Zawsze chciałem być rudy - oświadczył gość.

- Dobrze na panu wygląda - zapewnił lokaj.

Kociogłowy mężczyzna obracał się lekko, wyraźnie zachwycony własnym odbiciem.

Potem Greebo miauknął cicho i ruszył na bal. Potrzebował czegoś do zjedzenia, kogoś do walki, a potem... potem się zobaczy.

Dla wilków, świń i niedźwiedzi uczucie, że są ludźmi, jest tragedią. Dla kota to po prostu nowe doświadczenie.

Poza tym nowy kształt okazał się o wiele zabawniejszy. Już od dziesięciu minut nikt nie cisnął w niego butem.

Dwie czarownice rozejrzały się po pokoju. - Dziwne - stwierdziła niania Ogg. - Nie tego spodziewałam się w tej, no wiesz, w królewskiej sypialni.

- A to królewska sypialna?

- Jest korona na drzwiach.

- Aha.

Babcia przyjrzała się wyposażeniu.

- Co ty możesz wiedzieć o królewskich sypialniach? - rzuciła, głównie po to, żeby coś powiedzieć. - Nigdy nie byłaś w królewskiej sypialni.

- Mogłam być - oburzyła się niania.

- Nie byłaś!

- Pamiętasz koronację młodego Verence'a? Wszystkich nas zaprosił do pałacu. Kiedy wyszłam się... no, upudrować sobie nos, zauważyłam otwarte drzwi, więc zajrzałam i trochę się pokręciłam.

- To zdrada. Za takie coś można trafić do lochu - oznajmiła surowo babcia Weatherwax. - Jak tam było? - dodała.

- Bardzo wygodnie. Młoda Magrat nie wie, co traci. I wyglądało tam o wiele lepiej niż tutaj, mogę cię zapewnić.

W tej sypialni wszystko było zielone. Zielone ściany, zielona podłoga. Stała szafa i mała szafka nocna. Leżał nawet dywanik, też zielony. Światło wpadało przez zielone szkło w oknie.

- Czuję się jak na dnie stawu - stwierdziła babcia i machnęła ręką. - Pełno tu much. - Urwała, jakby nagle zamyślona. - Hm...

- Jak u nas przy dukcie - zauważyła niania. Rzeczywiście, wszędzie latały muchy. Brzęczały przy oknie i zygzakowały bezcelowo pod sufitem.

- Staw przy dukcie - powtórzyła niania, ponieważ ludzie, który wygłaszają takie żarty, nie umieją przepuścić okazji. - Jak Duć...

- Słyszałam. - Babcia machnęła na tłustą zieloną muchę.

- W każdym razie uważam, że w królewskiej sypialni much być nie powinno.

- Można by się za to spodziewać łóżka.

Którego tu nie było. Zamiast niego na podłodze leżała okrągła drewniana pokrywa budząca lekki niepokój. Miała jakieś sześć stóp średnicy i wyposażono ją w wygodne uchwyty.

Obeszły pokrywę dookoła. Muchy wleciały i odfrunęły.

- Przypomina mi to pewną opowieść - powiedziała babcia.

- Mnie też - zgodziła się niania Ogg tonem nieco bardziej piskliwym niż zwykle.

- Była taka dziewczyna i ona wyszła za tego mężczyznę, a on jej powiedział, że może wszędzie chodzić po pałacu, ale nie wolno jej otwierać takich drzwi, ale ona otworzyła i odkryła, że zamordował wszystkie poprzednie...

Umilkła.

Babcia popatrzyła na pokrywę i w zadumie skrobała się po brodzie.

- Ujmę to tak - rzekła niania Ogg, mimo przeciwności losu próbując zachować rozsądek. - Co możemy tam znaleźć gorszego, niż sobie wyobrażamy?

Każda ujęła uchwyt.

Pięć minut później babcia Weatherwax i niania Ogg wyszły z sypialni Duca. Babcia bardzo starannie zamknęła drzwi. Spojrzały na siebie nawzajem.

- A niech mnie - mruknęła wciąż blada niania.

- Tak - zgodziła się babcia. - Opowieści...

- Słyszałam o takich... no wiesz, o takich ludziach jak on, ale nigdy w to nie wierzyłam. Fuj! Ciekawe, jak on wygląda.

- Nie poznasz, jeśli będziesz tylko patrzeć.

- To w każdym razie tłumaczy muchy - stwierdziła niania Ogg. I ze zgrozą podniosła dłoń do ust.

- A nasza Magrat jest z nim na dole! - zawołała. - I wiesz, co się zdarzy. Spotkają się ze sobą i...

- Przecież są tam setki innych ludzi - przypomniała babcia. -Trudno to nazwać intymnym nastrojem.

- Tak... ale nawet myślenie o nim, jego dotknięcie... Przecież to jakby trzymać w ręku...

- Czy Ella liczy się jako księżniczka? - spytała babcia. -Jak sądzisz?

- Co? Och... tak, chyba tak. W obcych stronach... Czemu pytasz?

- To znaczy, że rozgrywa się tu więcej niż jedna opowieść. Lily pozwala się toczyć kilku jednocześnie. Zastanów się. Tu nie chodzi o dotknięcie, ale o pocałunek.

- Musimy dostać się na dół - uznała niania. - Nie wolno do tego dopuścić! Znasz mnie przecież, nie jestem pruderyjna, ale... fuj!

- Słyszysz, co mówię, starucho?

Obejrzały się. Niewysoka gruba kobieta w czerwonej sukni i wysokiej białej peruce spoglądała na nie wyniośle spod lisiej maski.

- Tak? - burknęła babcia.

- Tak, jaśnie pani - poprawiła ją kobieta. - Gdzie twoje maniery? Żądam, żebyś natychmiast skierowała mnie do toalety! I co ty niby wyprawiasz?

Ostatnie słowa skierowane były do niani Ogg, które obeszła kobietę dookoła, krytycznym wzrokiem mierząc jej suknię.

- Rozmiar dwudziesty, czy może dwudziesty drugi?

- Co? Cóż to za impertynencja?! Niania Ogg w zadumie potarła brodę.

- Sama nie wiem - mruczała. - Czerwone suknie nigdy mi nie pasowały. Nie masz czegoś niebieskiego?

Kobieta spróbowała uderzyć nianię wachlarzem, ale wtedy w ramię stuknął ją kościsty palec.

Podniosła głowę i spojrzała w twarz babci Weatherwax.

Kiedy osuwała się sennie, słyszała jakiś bardzo daleki głos, mówiący:

- Na mnie pasuje. Ale ona wcale nie ma rozmiaru dwadzieścia. I z taką twarzą jak ona nigdy nie włożyłabym na siebie nic czerwonego...

Lady Volentia d'Arrangement odprężyła się nieco w wewnętrznym sanktuarium damskiej toalety. Zdjęła maskę i wyłowiła z dekoltu zagubioną muszkę. Potem sięgnęła do tyłu, by poprawić swoją turniurę - ćwiczenie gwarantujące najśmieszniejszą damską gimnastykę do czasu wynalezienia pasa do pończoch.

Chociaż była pasożytem tak doskonale zaadaptowanym jak huba nadrzewna, lady Volentia w zasadzie należała do osób raczej nieszkodliwych. Zawsze zjawiała się na ważniejszych balach dobroczynnych i starała się pamiętać imiona prawie wszystkich swoich służących - przynajmniej tych czyściejszych. Była na ogół łagodna dla zwierząt, a nawet dzieci, jeśli tylko zostały do czysta wymyte i nie robiły zbyt wiele hałasu. W związku z tym nie zasługiwała na to, co właśnie miało ją spotkać - na los, jaki Matka Natura przeznaczyła w tym pomieszczeniu i tej nocy dowolnej kobiecie, mającej wymiary zbliżone do babci Weatherwax.

Zdała sobie sprawę, że ktoś staje obok niej.

- Przepraszam bardzo...

Okazało się, że to niska, dość obrzydliwa kobieta z gminu, z szerokim i bezczelnym uśmiechem na twarzy.

- Czego chcesz, stara kobieto? - spytała lady Volentia.

- Przepraszam bardzo - powtórzyła niania Ogg. - Moja przyjaciółka chciałaby zamienić z panią słówko.

Lady Volentia z wyższością spojrzała...

...w lodowate, błękitnookie zapomnienie.

- Co to jest to coś, jak dodatkowy ty... hobo? - To turniura, Esme.

- Paskudnie niewygodna, ot co. Mam wrażenie, jakby stale ktoś za mną chodził.

- Do twarzy ci w bieli.

- Wcale nie. Czarny to jedyny kolor odpowiedni dla czarownicy. A w tej peruce jest za gorąco. Komu potrzebna stopa włosów na głowie?

Babcia włożyła maskę. Była to głowa orła z białymi piórami i cekinami.

Niania poprawiła jakieś ukryte pod krynoliną niewymowne elementy i wyprostowała się.

- Rany, popatrz tylko - powiedziała. - Te pióra w twoich włosach naprawdę nieźle wyglądają.

- Nigdy nie byłam próżna - oświadczyła babcia Weatherwax. -Wiesz o tym, Gytho. Nikt nie mógłby zarzucić mi próżności.

- Nie, Esme - zgodziła się niania Ogg. Babcia odwróciła się.

- Jesteś gotowa, hrabino Ogg?

- Tak. Do dzieła, lady Weatherwax.

Parkiet był zatłoczony. Z każdego filaru zisały dekoracje, wszystkie czarne i srebrne, gdyż takie były barwy festiwalu Samedi Nuit Mort. Na balkonie grała orkiestra. Wirowali tancerze. Gwar ogłuszał.

Kelner z tacą kieliszków odkrył nagle, że jest kelnerem bez tacy kieliszków. Rozejrzał się dookoła, a potem spojrział w dół, na niską lisicę pod wielką peruką.

- Spadaj stąd i przynieś więcej - poprosiła uprzejmie niania. - Czyją widzisz, milady?

- Za dużo tu ludzi.

- A może widzisz Duca?

- Skąd mogę wiedzieć? Wszyscy noszą maski.

- Chwileczkę! Tam jest jedzenie!

Przy długim stole zebrało się wielu mniej energicznych albo bardziej wygłodniałych przedstawicieli genoańskiej arystokracji. Zauważyli jedynie - oprócz mocnych szturchnięć pary pracowitych łokci - przyjazny monotonny głos na poziomie piersi. Powtarzał:...uwaga na plecy... odsunąć się tam... przechodzę!".

Niania przebiła się do samego stołu i rozpychając się lekko, zdobyła też miejsce dla babci.

- Nieźle zastawiony - pochwaliła. - Patrz, jakie w tych stronach mają małe kurczaki.

- To przepiórki.

- Wezmę trzy. Tutaj, charlie chan! Podszedł kelner.

- Macie pikle?

- Obawiam się, że nie, madam.

Niania Ogg spojrzała na stół, gdzie stały między innymi pieczone łabędzie i pieczony paw, który pewnie nie czułby się ani trochę lepiej, choćby wiedział, że pióra z ogona zostaną mu wetknięte z powrotem. A także więcej owoców, gotowanych homarów, orzechów, ciast, kremów i przekąsek niż w sennych marzeniach pustelnika.

- Jakież przyprawy?

- Nie, madam.

- Ketchup?

- Nie, madam!

- I to ma być raj smakosza? - mruknęła niania, gdy orkiestra zaczęła następny taniec.

Szturchnęła kogoś wysokiego, kto nakładał sobie porcję homara.

- Niezła impreza, co?

BARDZO MIŁA.

- Świetną ma pan maskę.

DZIĘKUJĘ.

Niania odwróciła się nagle, szarpnięta mocno przez babcię Weatherwax.

- Tam jest Magrat!

- Gdzie? Gdzie?

- Tam... Siedzi przy tych roślinach w doniczkach.

- A tak. Na chassy longe. To po zagranicznymu „sofa” - wyjaśniła niania.

- Ale co ona robi?

- Myślę, że pociąga mężczyzn.

- Magrat?

- Owszem. Coraz lepiej ci idzie z hipnotyzmem, trzeba przyznać.

Magrat machnęła wachlarzem i spojrzała na stojącego przy niej comte de Yoyo.

- La, sir - powiedziała. - Może mi pan przynieść jeszcze talerz jajek skowronka. Jeśli pan naprawdę musi.

- Natychmiast, dziecinko.

Staruszek pomknął w stronę bufetu.

Magrat zmierzyła wzrokiem armię swych admiratorów i leniwie wyciągnęła rękę w stronę kapitana de Vere z gwardii pałacowej. Kapitan stanął na baczność.

- Drogi kapitanie - powiedziała. - Owszem, mogę pana zaszczyścić następnym tańcem.

- Zachowuje się rozpustnie - stwierdziła z dezaprobatą babcia.

Niania zerknęła na nią dziwnie.

- Wcale nie - odparła. - Zresztą odrobina rozpusty jeszcze nikomu nie zaszkodziła. A przynajmniej żaden z tych mężczyzn nie wygląda na Duca. Zaraz, co ty tu robisz?

Ostatnie zdanie skierowała do niskiego, łyszego człowieczka, który usiłował dyskretnie rozstawić przed nią małe sztalugi.

- Tego... Czy panie zechciałyby nie ruszać się przez kilka minut? - spytał nieśmiało. - Do drzeworytu?

- Jakiego drzeworytu? - zdziwiła się babcia.

- No, wiecie panie - odparł, otwierając mały scyzoryk. - Po takim balu każdy lubi oglądać swoje drzeworyty w gazetach. „Lady Jakaś bawi się żartem lorda Jakmutam” i takie rzeczy?

Babcia Weatherwax otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale niania Ogg delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu. Babcia uspokoiła się trochę.

- Znam żart o alejgatorach - powiedziała i strząsnęła rękę niani. - Był taki lew i żaba, a kiedy lew wygłosił mowę, żaba mówi do aligatora „Słyszałeś? Lepiej stąd idź”.

Spojrzała tryumfalnie.

- Tak? - spytał rzeźbiarz, szybko wycinając klocek. - I co się działo potem?

Niania Ogg pośpiesznie odciągnęła przyjaciółkę.

- Niektórzy ludzie zupełnie nie znają się na żartach - stwierdziła babcia.

Orkiestra zaczęła nową melodię. Niania Ogg sięgnęła do kieszonki i znalazła karnecik należący do właścicielki sukni, w tej chwili śpiącej spokojnie w dalekiej komnacie.

- Kto to jest... - odwróciła karnet, bezgłośnie poruszając ustami. - Kto to jest ten Kadryl?

- Madam...

Babcia obejrzała się. Za nią stał z pochyloną głową pulchny, wąsaty mężczyzna w mundurze. Wyglądał, jakby w swoim czasie bawił się całkiem licznymi żartami.

-Tak?

- Obiecała pani zaszczyścić mnie tym tańcem.

- Nic podobnego. Mężczyzna zdziwił się.

- Ależ zapewniam panią, lady d'Arrangement... pani karnet... Jestem pułkownik Moutarde...

Babcia przyjrzała mu się podejrzliwie, po czym zajrzała do karnetu przywiązanego nitką do wachlarza.

- Och...

- Umiesz tańczyć? - szepnęła niania.

- Oczywiście.

- Nigdy nie widziałam, żebyś tańczyła. Babcia Weatherwax zamierzała właśnie odmówić pułkownikowi jak najuprzejmiej. Teraz jednak wyprostowała się dumnie.

- Czarownica potrafi wszystko, jeśli tylko się skupi, Gytho Ogg. Chodźmy, panie pułkowniku.

Niania obserwowała, jak znikają wśród tancerzy.

- Witaj, lisiczko - odezwał się jakiś głos za jej plecami. Obejrzała się. Nikogo nie było.

- Na dole.

Spojrzała w dół.

I zobaczyła bardzo małe ciało w mundurze kapitana gwardii pałacowej, w pudrowanej peruce i z przymilnym uśmiechem.

- Nazywam się Casanunda - powiedział. - Znany jako największy kochanek na świecie. Co ty na to?

Niania Ogg zmierzyła go wzrokiem, co w tym wypadku trwało całkiem krótko.

- Jesteś krasnoludem - zauważyła.

- Wielkość się nie liczy.

Niania Ogg rozważyła sytuację. Jedną z koleżanek, znaną ze swej nieśmiałości i skromności, zachowywała się obecnie jak... jak jej było... ta pogańska królowa, która stale uwodziła mężczyzn, kąpała się w oślim mleku i w ogóle, a druga

zachowywała się dziwnie i tańczyła z mężczyzną, choć nie odróżniała jednej stopy od drugiej. Niania Ogg uznała, że jej też się coś należy.

- A umiesz tańczyć? - zapytała.

- Oczywiście. Może randka?

- Myślisz, że ile mam lat? Casanunda zastanowił się.

- No dobrze. Więc może spacer? Niania westchnęła i podała mu rękę.

- Chodźmy.

Lady Volentia d'Arrangement szła chwiejnie korytarzem - smętna, chuda sylwetka w skomplikowanym gorsecie i długiej do kostek halce.

Nie była pewna, co się właściwie stało. Pamiętała tę straszną kobietę, potem uczucie absolutnej rozkoszy, a później... siedziała na dywanie bez sukni. Lady Volentia w swym nudnym życiu bywała na licznych balach i wiedziała, że czasem kobieta budzi się w obcym pokoju bez sukni. Ale zwykle działo się to wieczorem i przynajmniej miała pojęcie, skąd się tam wzięła...

Sunęła przed siebie, opierając się o ścianę. Stanowczo ktoś musi się o tym dowiedzieć.

Jakiś człowiek wyszedł zza rogu. Jedną ręką niedbale podrzucał w powietrze indyczą nogę, a drugą ją łapał.

- Chwileczkę! - zawołała lady Volentia. - Czy zechciałbyś uprzejmie... och...

Zobaczyła kogoś w czarnej skórze, z opaską na oku i z uśmiechem godnym korsarza.

- Mrrauu!

- Ojej!

Nic trudnego w takim tańcu, mówiła sobie babcia Weatherwax. To tylko ruszanie się w kółko pod muzykę. Pomagało, że umiała czytać w umyśle partnera. Taniec jest instynktowny, kiedy przekroczy się już etap patrzenia w dół i sprawdzania, co robią stopy, a czarownice dobrze sobie radzą z odczytywaniem instynktów. Przez chwilę trwała walka, gdyż pułkownik starał się prowadzić. Szybko

jednak zrezygnował, po części z powodu uporu babci, ale głównie z powodu jej butów.

Buciki lady d'Arrangement nie pasowały. Poza tym babcia była przywiązana do swoich butów. Miały skomplikowane żelazne okucia i czubki jak tarany. Kiedy dochodziło do tańca, buty babci trafiały dokładnie tam, gdzie chciały trafić.

Pokierowała swego bezradnego i nieco kulejącego partnera w stronę niani Ogg, która zdołała już oczyścić sporą przestrzeń wokół siebie. To, co babcia osiągała dzięki dwóm funtom podkutych synkop, niania Ogg uzyskiwała dzięki swemu łonu.

Było to łono spore i doświadczone, a także nie poddające się żadnym ograniczeniom. Kiedy niania Ogg podskakiwała w górę, ono opadało; kiedy obracała się w lewo, nie dokończyło jeszcze obrotu w prawo. Na dodatek stopy niani poruszały się w skomplikowanym kroku jigowym, nie zważając na rytm muzyki, więc kiedy ciało przesunęło się w tempie walca, stopy wykonywały rodzaj marynarskiego tańca z przytupami. Zmuszało to partnera do tańczenia w odległości przynajmniej łokcia, a liczne pobliskie pary nieruchomiały, by obserwować to z fascynacją - na wypadek gdyby narastające wibracje harmoniczne cisnęły nianię w kryształowe kandelabry.

Babcia i jej bezradny partner przewirowali obok.

- Przestań się popisywać - syknęła babcia i zniknęła w tłumie.

- Kim jest twoja przyjaciółka? - zainteresował się Casanunda.

- Jest...

Huknęły fanfary.

- Stracili rytm - zauważyła niania.

- Nie. To znaczy, że przybył Duc.

Orkiestra umilkła; tancerze odwracali się w stronę głównych schodów.

Dwie postacie schodziły z godnością.

Słowo daję, szczupły jest i przystojny jak diabeł, pomyślała niania. Na pokaz. Esme ma rację: patrząc trudno poznać.

A ona...

...to Lily Weatherwax?

Kobieta nie włożyła maski.

Z dokładnością do kilku zmarszczek, wyglądała dokładnie jak babcia.

Prawie...

Niania zdała sobie nagle sprawę, że wypatruje w tłumie białej głowy orła. Wszyscy patrzyli na schody, ale jedno spojrzenie przypominało raczej stalowy pręt.

Lily Weatherwax ubrała się na białe. Aż do tej chwili niani Ogg nie przyszło nawet do głowy, że mogą istnieć różne odcienie bieli. Teraz już wiedziała. Biel sukni Lily Weatherwax zdawała się promieniować; gdyby nagle zgasły światła, suknia świeciłaby w ciemności. Miała styl. Błyszcząca, miała bufiaste rękawy i była obszyta koronką.

Lily Weatherwax wyglądała - co niania musiała przyznać - młodziej. Miała tę samą figurę i piękną cerę Weatherwaxów, ale wydawała się... mniej zużyta.

Jeśli bycie złą tak na ciebie działa, pomyślała niania, mogłam też się tym zająć już parę lat temu. Zapłatą za grzech jest śmierć, ale taka sama jest nagroda za cnotę, a zło przynajmniej może w piątki wcześniej wracać do domu.

Tylko oczy miały identyczne. Gdzieś w genach Weatherwaxów tkwił okruch szafiru. Może nawet całe ich pokolenia.

Duc zaś był niewiarygodnie przystojny - ale to zrozumiałe. Ubierał się na czarno. Nawet jego oczy były skryte za czernią.

Niania otrząsnęła się i przecisnęła do babci Weatherwax.

- Esme?

Chwyciła koleżankę za rękę.

- Esme?

- Hmm?

Niania widziała, że tłum rozsuwa się, rozstępuje jak morze pomiędzy schodami a sofą na drugim końcu sali.

Palce babci Weatherwax były tak białe jak jej suknia.

- Esme! Co się dzieje? Co robisz? - szepnęła niania.

- Próbuję... powstrzymać... opowieść.

- A co robi ona?

- Pozwala... rzeczom... się... dziać!

Goście cofali się wokół. Zdawało się, że nie robią tego świadomie. Po prostu tak się zdarzyło, że utworzyło się coś w rodzaju korytarza.

Książę szedł wolno. Za Lily wisiały w powietrzu jej mgliste wizerunki - zdawało się, że podąża za nią szereg blednących widm.

Magrat wstała.

Niania dostrzegła migotanie tęczy w powietrzu. Możliwe, że ćwierkały też ptaszki.

Księżę ujął Magrat za rękę.

Niania zerknęła na Lily Weatherwax, która przystanęła o kilka stóp od schodów i uśmiechała się dobrodusznie.

Potem niania próbowała zogniskować się na przyszłości...

...co było straszliwie łatwe.

Normalnie przyszłość rozgałęzia się przy każdym zakręcie i można uzyskać tylko mocno zamglony obraz tego, co prawdopodobnie się zdarzy, nawet jeśli ktoś jest tak czasowo wyczulony jak czarownica. Ale tutaj opowieści owijały drzewo wydarzeń i zginały je w nowy kształt.

Babcia Weatherwax nie miała pojęcia, czym jest wzorec kwantowej nieuniknioności; nie poznałaby go, gdyby nawet spotkali się na kolacji. Gdyby wymówić przy niej słowa „paradygmaty czasu i przestrzeni”, powiedziałyby tylko: „Co?”. Ale to nie znaczy, że była ignorantką. To znaczy, że nie przywiązywała wagi do słów, a zwłaszcza do bełkotu. Wiedziała tylko, że w ludzkiej historii ciągle, niczym trójwymiarowe klisze, powtarzały się pewne zjawiska - opowieści.

- I teraz jesteśmy jej częścią! A ja nie potrafię jej powstrzymać - tłumaczyła babcia. - Musi być jakiś punkt, gdzie to jest możliwe, ale nie umiem go znaleźć.

Orkiestra zagrała walca.

Magrat i Księżę zawirowali w tańcu; przez cały czas wpatrywali się w siebie nawzajem. Po chwili kilka par ośmieliło się do nich dołączyć. A potem cały bal stał się maszyną, którą od nowa nakręcono;

tancerze popłynęli po parkiecie, strzępy rozmów wypełniły pustkę.

- Przedstawisz mnie swojej koleżance? - zapytał Casanunda gdzieś spod łokcia niani.

- To wszystko się wydarzy - mówiła babcia, nie zważając na to wtrącenie z dolnych regionów. - Wszystko. Pocałunek, zegar wybijający północ, jej ucieczka i zgubienie szklanego pantofelka... Wszystko.

- Uch, fuj! - mruknęła niania, opierając się o głowę partnera.

- Wolałabym lizać ropuchy.

- Jest akurat w moim typie - tłumaczył nieco zduszonym głosem Casanunda. - Zawsze pociągały mnie kobiety dominujące.

Czarownice obserwowały tańczącą parę, wpatrzoną sobie nawzajem w oczy.

- Mogę im podstawić nogę - zaproponowała niania. - Żaden problem.
- Nie możesz. Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć.
- Cóż, Magrat jest rozsądna. Mniej więcej rozsądna - pocieszyła przyjaciółkę niania. - Może zauważy, że coś jest nie w porządku.
- Znam się na swojej pracy, Gytho Ogg - odparła babcia. - Nie zauważy niczego, dopóki zegar nie wybije północy.
Obejrzały się równocześnie. Właśnie minęła dziewiąta.
- A wiesz - powiedziała niania Ogg - zegary nie wybijają północy. Moim zdaniem wybijają tylko dwanaście uderzeń. Rozumiesz, to tylko kwestia dongów.
Raz jeszcze popatrzyły na zegar.

Na bagnie zapiał kogut Legba. Zawsze piał o zachodzie słońca.

Niania Ogg wbiegła na kolejny ciąg stopni i oparła się o ścianę, żeby złapać oddech. To musiało być gdzieś tutaj.

- Następnym razem nauczysz się trzymać język za zębem, Gytho Ogg - mruknęła.

- Jak sądzę, opuściliśmy balowy rozgardiasz, by odbyć gdzieś intymne tete-a-tete? - spytał z nadzieją Casanunda biegnący za nią truchtem.

Usiłując nie zwracać na niego uwagi, niania pobiegła zakurzonym przejściem. Po jednej stronie miała balustradę, za nią w dole salę balową. A tutaj...

...małe drewniane drzwiczki.

Otworzyła je łokciem. Wewnątrz kółka zębate kręciły się niczym kontrapunkt dla wirujących w dole tancerzy -jak gdyby to zegar ich napędzał. Zresztą, w metaforycznym sensie, tak właśnie było.

Mechanizm zegarowy, pomyślała niania. Kiedy człowiek zna się na mechanizmie zegara, zna się na wszystkim.

Chciałabym choć trochę znać się na tych przeklętych mechanizmach.

- Bardzo przytulnie - pochwalił Casanunda.

Niania przecisnęła się przez drzwiczki do pomieszczenia zegara. Koła zębate ze stukiem przesuwają się przed jej nosem. Przyglądała im się przez chwilę. Laboga... I wszystko po to, żeby ciąć Czas na małe kawałeczki.

- Może odrobinieczkę przyciasno - zauważył Casanunda gdzieś spod jej pachy. - Ale jeśli potrzeba zmusza... Pamiętam, kiedyś w Quirmie była tylko lektyka i...

Popatrzmy, myślała niania. To kółko łączy się z tamtym, to się obraca, to się obraca szybciej, ten kolczasty kawałek kołysze się tam i z powrotem...

Co tam. Ściśnij pierwszą rzecz, jaka ci wpadnie w rękę, jak powiedział najwyższy kapłan do westalki²⁴.

Niania Ogg splunęła w dłonie, chwyciła największe koło zębate i ścisnęła.

Obracało się dalej, wlokąc ją za sobą.

A niech to... Trudno.

Postąpiła w sposób, o jakim babcia Weatherwax ani Magrat w tych okolicznościach nawet by nie pomyślały. Ale w swych wyprawach po morzu między płciowych kontaktów niania Ogg dotarła dalej niż tylko do latarni morskiej. Nie widziała nic zdrożnego w poproszeniu mężczyzny o pomoc.

Uśmiechnęła się zalotnie do Casanundy.

- Byłoby nam o wiele wygodniej w tym naszym małym pie-de-terre, gdybyś zechciał pchnąć trochę to kółko - powiedziała. - Jestem pewna, że potrafisz.

- Och, to żaden kłopot, piękna pani - zapewnił Casanunda.

Sięgnął jedną ręką. Krasnoludy są niezwykle silne jak na swój wzrost. Zdawało się, że koło nie stawia mu żadnego oporu.

Wewnątrz mechanizmu coś zaklinowało się na chwilę, po czym ustąpiło z cichym brzękiem. Wielkie koła obracały się niechętnie. Małe kółeczka zapiszczały na ośkach. Nieduży, ale ważny element wyfrunął i odbił się od okrągłej głowy Casanundy.

Wskazówki zaś pomknęły po tarczy o wiele prędzej, niż zaplanowała to natura.

Jakiś odgłos z góry kazał niani Ogg podnieść głowę.

Jej zadowolenie rozwiało się w jednej chwili. Młotek wybijający godziny odchyłał się powoli. Nianię uderzyła myśl, że stoi dokładnie pod dzwonem - i w tej samej chwili dzwon także został uderzony.

Bim...

- A niech to!

...bim... .

..bim...

...bom...

Bagno spowiła mgła. Poruszały się w niej jakieś cienie o kształtach niewyraźnych tej nocy, kiedy różnica między żywymi i martwymi jest tylko kwestią czasu.

Pani Gogol wyczuwała ich między drzewami. To bezdomni. Głodni. Milczący. Zapomniani przez bogów i ludzi. Istoty z mgły i błota, których jedyna siła leżała gdzieś po drugiej stronie słabości, których wierzenia były tak nieskładne i pokrzywione jak ich chaty. I ludzie z miasta - nie ci mieszkający w wielkich białych domach i jeżdżący na bal pięknymi karocami, ale ci drudzy. Ci, o których nie mówią opowieści. Opowieści na ogół nie interesują się świnio-pasami, którzy pozostają świniopasami, ani biednymi, lekceważonymi szewczykami, którzy umierają trochę biedniejsi i o wiele bardziej lekceważeni.

To byli ludzie, dzięki którym funkcjonowało magiczne królestwo, którzy gotowali posiłki, zmiatali podłogi, wywozili nieczystości, którzy byli tylko twarzami w tłumie i których pragnienia i marzenia, choć skromne, nie miały żadnego znaczenia. To... niewidzialni.

I ja między nimi, pomyślała. Zakładająca pułapki na bogów. W multiwersum istnieje wiele odmian voodoo, gdyż jest to religia, którą można złożyć z dowolnych składników, jakie tylko znajdą się pod ręką. A wszystkie próbują, na swój sposób, przywołać boga do ciała istoty ludzkiej.

To głupie, myślała pani Gogol. To niebezpieczne.

Voodoo pani Gogol działało odwrotnie. Czym jest bóg? Ogniskiem wiary. Kiedy ludzie wierzyli, bóg zaczynał rosnąć. Z początku niepewnie, ale jeśli bagno mogło już czegoś nauczyć, to właśnie cierpliwości. Za punkt zogniskowania boga mogło posłużyć cokolwiek: garść piór przewiązanych czerwoną wstążką, kapelusz i płaszcz na dwóch drągach... byle co. Ponieważ, jeśli ludzie nie mają właściwie

²⁴ Pointa dyskowego dowcipu, straconego niestety dla potomności.

niczego, cokolwiek może się stać niemal wszystkim. Potem karmiło się to jak gęś przeznaczoną na pasztet, a moc wzrastała bardzo powoli. I kiedy nadchodził czas, trzeba było otworzyć drogę...wstecz. Człowiek mógł dosiadać boga, zamiast odwrotnie. Oczywiście, cena była wysoka, ale tak jest zawsze. Doświadczenie mówiło pani Gogol, że każdy człowiek kończy jako trup.

Wypiła łyk rumu i podała dzban Saturdayowi.

Saturday także łyknął i włożył dzban w coś, co mogło być ręką.

- Niech się zacznie - powiedziała pani Gogol.

Martwy mężczyzna ustawił trzy bębny i zaczął wybijać na nich rytm w tempie pulsu.

Po chwili coś stuknęło panią Gogol w ramię i wręczyło jej dzban. Był pusty.

Można właściwie zaczynać...

- Lady Bon Anno, uśmiechnij się do mnie. Panie Tesco, osłaniaj mnie. Kroczący Szeroko, prowadź mnie. Hotalogo Andrews, pochwyć mnie. Stoję pomiędzy światłem a ciemnością, ale to nie ma znaczenia, ponieważ ja jestem pomiędzy. Tutaj jest rum dla was, tytoń dla was, pożywienie dla was, dom dla was. A teraz posłuchajcie mnie uważnie...

...bom...

Dla Magrat było to niczym przejście ze snu w sen. Śniła, że tańczy z najprzystojniejszym mężczyzną na sali i... i rzeczywiście tańczyła z najprzystojniejszym mężczyzną na sali.

Tyle że nosił na oczach dwa krążki przydymionego szkła.

Choć Magrat była osobą o miękkim sercu, kompulsywną marzycielką i - jak określiła to babcia Weatherwax - zmokłą kurą, była także czarownicą. Nie została by nią, gdyby nie miała pewnych instynktów i rozsądku nakazującego im ufać. Podniosła rękę i zanim zdążył zareagować, zdjęła mu szkła.

Widziała już takie oczy, ale nigdy u istoty chodzącej w pozycji pionowej.

Jej stopy, jeszcze przed chwilą przesuwające się z gracją po parkiecie, teraz potknęły się jedna o drugą.

- Ee... - zaczęła.

I uświadomiła sobie, że jego dłonie - różowe i wymanikiurowane - są zimne i wilgotne.

Odwróciła się i ruszyła biegiem, w szaleńczej ucieczce roztrącając tańczące pary. Nogi plątały się w suknię. Bezsensowne pantofelki ślizgały się na podłodze.

Dwóch lokajów blokowało schody.

Magrat zmrużyła oczy. Musiała się wydostać.

- Hai!

- Auu!

Pobiegła dalej. Potknęła się na szczycie schodów i szklany pantofelek upadł na podłogę.

- Jak, do demona, człowiek ma się poruszać w czymś takim?!! - wrzasnęła z pretensją do świata jako takiego. Podskakując na jednej nodze, zdjęła drugi bucik i boso odbiegła w noc.

Książę wszedł wolno po schodach i schylił się po zgubiony pantofelek.

Podniósł go. Światło błysnęło w lustrzanych powierzchniach.

Skryta w cieniu babcia Weatherwax oparła się o ścianę. Wszystkie opowieści mają swój punkt zwrotny, a ten musiał być już blisko.

Całkiem dobrze potrafiła przedostawać się do ludzkich umysłów, ale teraz chciała trafić do niej. Skoncentrowała się. Głębiej, głębiej... obok codziennych myśli i drobnych trosk, szybciej, szybciej... przez warstwy głębokich rozmyślań... dalej... mijając rzeczy zapieczętowane i zarośnięte, dawne wyrzuty sumienia i zakrzepłe żale, ale teraz nie ma na nie czasu... w dół... tam... srebrna nić opowieści. Ona była częścią opowieści, jest częścią opowieści, więc i opowieść musi być częścią niej.

Przesuwała się przed nią. Babcia wyciągnęła rękę.

Nienawidziła wszystkiego, co wyznaczało ludzki los, co ogłupiało ludzi, czyniło z nich coś mniej niż ludzkie istoty.

Opowieść strzeliła jak zerwana lina holownicza. Babcia chwyciła ją mocno.

I ze zdumieniem otworzyła oczy. Po czym zrobiła krok naprzód.

- Przepraszam, wasza wysokość.

Wyrwała pantofelek z dłoni Duca i wzniosła go nad głowę.

Odbicie jej twarzy, pełnej złośliwej satysfakcji, było przerażające.

Babcia rzuciła pantofelek.

Rozbił się o schody. Tysiące błyszczących odłamków posypało się na marmur.

Owinięta wzdłuż całej żółwiokształtnej czasoprzestrzeni, znanej jako świat Dysku, opowieść zadrzała. Jeden zerwany koniec kołysał się i sunął przez ciemność, szukając dowolnej sekwencji, by się nią pożywić...

Na polanie poruszyły się drzewa. A wraz z nimi cienie. Cienie się nie powinny poruszać, jeśli światło pozostawało nieruchome. Te potrafiły.

Bębnienie ucichło.

W ciszy rozbrzmiewały tylko z rzadka ciche trzaski, gdy moc płynęła po wiszącym płaszczu.

Saturday podszedł. Zielone iskry strzeliły mu z rąk, kiedy zdjął płaszcz z drąga i włożył na siebie. Jego ciało drgnęło gwałtownie.

Erzulie Gogol wypuściła oddech.

- Jesteś tutaj - powiedziała. - Nadal jesteś sobą. Dokładnie sobą.

Saturday uniósł ręce i zacisnął pięści. Od czasu do czasu ręka czy noga drgała mu gwałtownie, kiedy wewnętrzna moc krążyła w ciele i szukała ujścia. Pani Gogol widziała jednak, że to Saturday rządzi.

- Będzie ci coraz łatwiej - obiecała łagodnie.

Saturday skinął głową.

Z płynącą przez niego mocą, pomyślała, może znów odzyskać swój dawny ogień. Wiedziała, że nie był wyjątkowo dobrym człowiekiem, tak jak Genoa nie była modelem społeczeństwa obywatelskiego. Ale przynajmniej nie wmawiał ludziom, że chcą, by ich prześladował, ani że wszystko co robi, robi dla ich dobra.

Wokół kręgu mieszkańcy Nowej Genoi - starej Nowej Genoi - klękali lub kłaniali się nisko.

Nie był dobrotliwym władcą. Ale pasował. I kiedy zachowywał się samowolnie, arogancko albo kiedy zwyczajnie popełniał błąd, nie tłumaczył, że usprawiedliwia go cokolwiek innego od faktu, że jest większy, silniejszy, a czasem złośliwszy od innych. Nigdy nikomu nie wmawiał, że to dlatego, że jest lepszy. I nigdy nie mówił ludziom, że mają być szczęśliwi, ani nie narzucał im rodzaju szczęścia. Niewidzialni pojmowali, że szczęście nie jest naturalnym stanem ludzkości i nie da się go osiągnąć od zewnątrz.

Saturday raz jeszcze skinął głową, tym razem z satysfakcją. Kiedy otworzył usta, iskry strzeliły mu między zębami. A kiedy ruszył przez bagno, aligatory na wyścigi schodziły mu z drogi.

W pałacowych kuchniach panował spokój. Wielkie półmiski pieczonych mięs, świńskie łby z jabłkami w pyskach i wielowarstwowe przekąski już dawno zostały wyniesione na górę. Słychać było tylko stuki od strony wielkich zlewów w głębi, gdzie podkuchenne zaczynały już zmywanie.

Pani Pleasant, kucharka, przygotowała sobie talerz czerwonych skalarów w rakowym sosie. Nie była najlepszą kucharką w Genoi - nikt nie potrafił dorównać pani Gogol, ludzie wstawali niemal z martwych, żeby skosztować gumba pani Gogol - ale różnica była tak niewielka jak, powiedzmy, między diamentem i szafirem. Pani Pleasant zrobiła co mogła, żeby przygotować dobry bankiet, ponieważ miała swoją zawodową dumę -jednak, jej zdaniem, niewiele można osiągnąć z kawałkami mięsa.

Genoańska kuchnia, jak wszelkie najlepsze kuchnie w całym multiwersum, została rozwinięta przez ludzi, którzy desperacko usiłowali wykorzystać składniki odrzucone przez ich władców. Nikt przecież nie próbowałby jeść ptasiego gniazda, gdyby nie musiał. Tylko głód może skłonić człowieka, by skosztował swojego pierwszego aligatora. Nikt nie jadłby płetwy rekina, gdyby pozwolono mu zjeść resztę.

Pani Pleasant nalała sobie rumu i właśnie sięgała po łyżkę, kiedy poczuła, że jest obserwowana.

Potężny mężczyzna w czarnym skórzanym kaftanie przyglądał się jej od drzwi. Kołysał trzymaną w ręku maską rudego kota.

Było to bardzo bezpośrednie spojrzenie. Pani Pleasant zaczęła żałować, że nie zrobiła czegoś z włosami i że nie ma na sobie lepszej sukni.

- Słucham - powiedziała. - Czego chcesz?

- Chcęęęjeeeść, paaani Pleasunt - oznajmił Greebo. Zmierzyła go wzrokiem. Ostatnio w Genoi spotykało się dziwne typy. Ten tutaj musiał być gościem na balu, ale było w nim coś... coś znajomego.

Greebo nie był zadowolonym kotem. Najpierw mieli do niego pretensje, bo ściągnął pod stół pieczonego indyka. Potem chuda samica z szerokimi zębami

uśmiechała się do niego zalotnie i powtarzała, że spotka się z nim później w różanym ogrodzie, co nie jest kocim sposobem załatwiania spraw. Niepokoiło go również, że jego ciało nie było właściwe - a jej też nie. I dookoła kręciło się zbyt wielu innych samców.

A potem wywąchał kuchnię. Koty grawitują do kuchni jak kamienie grawitują do grawitacji.

- Widziałam cię już kiedyś? - spytała pani Pleasant.

Greebo nie odpowiedział. Podążył za swoim nosem do miski na stole.

- Chcęęę - zażądał.

- Rybie łby? - zdziwiła się pani Pleasant.

Formalnie były to odpadki, choć planowała, że z dodatkiem ryżu i kilku specjalnych sosów zmieni je w danie, o które walczą królowie.

- Chcęęę - powtórzył Greebo.

Pani Pleasant wzruszyła ramionami.

- Chcesz jeść surowe rybie łby, to sobie je weź.

Greebo niepewnie podniósł miskę. Nie miał wprawy w posługiwaniu się palcami. Rozejrzał się konspiracyjnie i zniknął pod stołem. Rozległ się odgłos gwałtownego przełykania i szuranie miski o podłogę.

Po chwili Greebo się wynurzył.

- Mleko? - zapytał.

Pani Pleasant jak zafascynowana sięgnęła po dzbanek z mlekiem i kubek...

- Ssspoodeeeek - powiedział Greebo.

...i spodek.

Greebo przyjrzał mu się z uwagą i postawił na podłodze.

Pani Pleasant patrzyła.

Greebo skończył mleko i zlizął resztki z brody. Teraz czuł się o wiele lepiej. Zauważył płonący ogień, więc podszedł do paleniska, usiadł, napluł na rękę i spróbował wyczyścić uszy. Nie udało mu się, ponieważ nie wiadomo dlaczego ani uszy, ani łapa nie miały odpowiedniego kształtu. Zwinął się zatem jak mógł najlepiej, czyli nie za dobrze, ponieważ kręgosłup także miał nieodpowiedni.

Po chwili pani Pleasant usłyszała niskie, astmatyczne chrapanie. To Greebo próbował mruścić.

Miał nieodpowiednią krtań.

Za chwilę obudzi się w złym humorze i będzie chciał z czymś walczyć.

Pani Pleasant wróciła do kolacji. Mimo że potężny mężczyzna właśnie na jej oczach zjadł miskę rybich łbów i wychleptał spodek mleka, wcale nie była przestraszona. Musiała wręcz hamować odruch, by podrapać go po brzuchu.

Kiedy Magrat biegła po czerwonym dywanie w stronę pałacowej bramy i wolności, zerwała z nogi drugi pantofelek. Ucieczka jest najważniejsza. „Przed czym” było ważniejsze niż ”dokąd”.

Nagle dwie sylwetki wynurzyły się z cienia i stanęły przed nią. Odruchowo wzniosła pantofelek, gdy zbliżyły się w absolutnej ciszy, ale nawet w mroku czuła na sobie ich wzrok.

Tłum rozstał się i Lily Weatherwax z szelestem jedwabiu . spłynęła w dół.

Nie pokazując po sobie nawet śladu zdziwienia, zmierzyła babcię wzrokiem.

- Też cała w bieli - stwierdziła oschle. - Coś podobnego, czyżbyś ty była tą miłą?

- Powstrzymałam cię - oznajmiła babcia, wciąż zdyszana po wysiłku. - Rozbiłam go.

Lily Weatherwax spojrzała poza nią. Po schodach zbliżały się wężowe siostry, prowadząc między sobą bezwładną Magrat.

- Niech bogowie zbawią nas od ludzi, którzy myślą dosłownie - powiedziała Lily. - Wiesz przecież, że one występują w parach.

Podeszła do Magrat i wyjęła jej z ręki drugi pantofelek.

- Zegar był interesujący - przyznała, zwracając się znowu do niani. - Zrobił na mnie wrażenie. Ale sama wiesz, że to na nic. Nie można zatrzymać takich historii. Mają pęd nieodwracalności. Nie zepsujesz dobrej opowieści. Sama powinnaś to wiedzieć.

Podawała pantofelek Księżciu, jednak cały czas nie spuszczała wzroku z babci.

- Będzie na nią pasował - rzuciła.

Dwaj dworzanie podnieśli stopę Magrat, a Księżę wcisnął pantofelek na sztywne palce.

- No właśnie - rzekła Lily. - I nie próbuj na mnie tego hipnotyzmu jak u wiejskiej czarownicy.

- Pasuje - oznajmił Książę, jednak w jego głosie brzmiało powątpiewanie.

- Owszem - odezwał się wesoły głos gdzieś z tyłu. - Wszystko pasuje, jeśli wcześniej włoży się dwie pary grubych skarpet.

Lily zerknęła w dół, potem na maskę Magrat. Wyciągnęła rękę i zdarła ją z twarzy.

- Au!

- Niewłaściwa dziewczyna - przyznała Lily. - Ale to bez znaczenia, Esme, ponieważ pantofelek jest właściwy. Musimy tylko znaleźć dziewczynę, na której stopę będzie pasował...

W tłumie nastąpiło poruszenie. Dworzanie rozstąpili się, odsłaniając nianię Ogg, brudną od smaru i obwieszoną pajęczynami.

- Jeśli to rozmiar pięć i pół, tęgość wąska, to właśnie mnie szukacie - powiedziała. - Niech tylko zdejmę te buty...

- Nie o tobie mówiłam, starucho - odparła lodowatym tonem Lily.

- Ależ tak, właśnie o mnie. Wiemy przecież, jak to idzie. Książę wędruje z pantofelkiem po mieście i szuka dziewczyny, na którą będzie pasował. Tak to zaplanowałeś. Ale dzięki mnie oszczędzisz sobie kłopotu. Co ty na to?

Po twarzy Lily przemknął wyraz niepewności.

- Dziewczyny - przypomniała - w wieku odpowiednim do małżeństwa.

- Żaden problem - zapewniła radośnie niania Ogg.

Krasnolud Casanunda z dumą szturchnął dworzanina w kolano.

- Ta pani jest moją bardzo bliską przyjaciółką - oświadczył. Lily spojrzała na siostrę.

- Ty to robisz. Nie myśl, że o tym nie wiem.

- Niczego nie robię - odparła babcia. - Prawdziwe życie zdarza się samo z siebie.

Niania wyrwała pantofelek z ręki Księcia i zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, wsunęła go na stopę.

Pomachała nogą w powietrzu. Pantofelek pasował idealnie.

- Proszę! - zawołała. - Widzicie? A mogliście zmarnować cały dzień.

- Zwłaszcza że w tak wielkim mieście muszą być setki stóp rozmiaru pięć i pół...

- ...tęgość wąska...

- ...tęgość wąska - mówiła dalej babcia. - Chyba że, ma się rozumieć, już na samym początku przypadkiem trafiłabyś do właściwego domu. Gdyby intuicja podpowiedziała ci prawidłowo.

- Ale to by było oszustwo - stwierdziła niania. Szturchnęła Księcia.

- Chcę tylko dodać - rzekła - że nie mam nic przeciwko machaniu tłumom, otwieraniu różnych rzeczy i innym królewskim sprawom. Ale nie zgadzam się na sypianie w tym samym łóżku co ten tu przystojniak.

- Ponieważ on nie śpi w łóżku - dodała babcia.

- Nie. Śpi w stawie - wyjaśniła niania. - Widzieliśmy. Taki wielki kryty staw.

- Ponieważ jest żabą - stwierdziła babcia.

- I pełno tam much na wypadek, gdyby obudził się w nocy i miał ochotę coś przekąsić.

- Tak myślałam! - zawołała Magrat, wrywając się gwardzistom.

- On ma lepkie dłonie.

- Wielu ludzi ma lepkie dłonie - zauważyła babcia. - Ale ten tutaj ma takie, ponieważ jest żabą.

- Jestem księciem królewskiej krwi - zaprotestował Książę.

- I żabą - uzupełniła babcia.

- Nie przeszkadza mi to - zapewnił Casanunda gdzieś z dołu.

- Jestem zwolennikiem otwartych związków. Jeśli chcesz chodzić z żabą, proszę bardzo...

Lily spojrzała na tłum gości. I pstryknęła palcami.

Babcia Weatherwax zdała sobie sprawę, że zapadła cisza.

Niania Ogg przyjrzała się ludziom po bokach. Pomachała ręką przed twarzą gwardzisty.

- Nieżle - stwierdziła.

- Nie możesz tego utrzymywać zbyt długo - oświadczyła babcia. - Nie możesz tak unieruchomić tysiąca ludzi.

Lily wzruszyła ramionami.

- Nie są ważni. Kto będzie pamiętał listę gości na balu? Zapamiętają tylko ucieczkę, pantofelek i szczęśliwe zakończenie.

- Już ci mówiłam: nie możesz zaczynać od nowa. A on jest żabą. Nawet ty nie potrafisz przez całą dobę zachować go w takim kształcie. Nocami odzyskuje dawną postać. Ma sypialnię, w której jest staw. Jest żabą.

- Ale tylko we wnętrzu - przypomniała siostrze Lily.

- Tylko wnętrze się liczy.

- Chociaż zewnątrz też jest ważne - wtrąciła niania.

- Wielu ludzi jest wewnątrz zwierzętami. Wiele zwierząt jest wewnątrz ludźmi.

Komu to szkodzi?

- On jest żabą.

- Zwłaszcza nocami - dodała niania.

Przyszło jej na myśl, że mąż, który w dzień jest mężczyzną, a nocą zmienia się w żabę, byłby prawie do przyjęcia. Co prawda nie oddawałby wypłaty, ale mniej niszczyłby meble. Nie mogła też wypchnąć z umysłu pewnych osobistych spekulacji na temat długości jego języka.

- A ty zabiłaś barona - odezwała się Magrat.

- Uważasz, że był miłym człowiekiem? - spytała Lily. - Poza tym nie okazywał mi szacunku. A jeśli nie masz szacunku, nie masz niczego.

Niania i Magrat odruchowo spojrzały na babcię.

- On jest żabą.

- Znalazłam go w bagnie - wyjaśniła Lily. - Poznałam, że jest dość rozsądny. Potrzebowałam kogoś... podatnego na perswazje. Czy żabom nie należy się szansa? Nie będzie gorszym mężem od wielu innych. Jeden pocałunek księżniczki przypieczętuje czar.

- Tak. Ale on jest żabą - upierała się babcia.

- Spójrz na to z mojego punktu widzenia - zaproponowała Lily. - Widziałas okolicę? Same bagna i mgły. A ja potrafię to zmienić we wspaniałe miasto. Nie takie byle jakie, jak Ankh-Morpork, ale takie, które naprawdę funkcjonuje.

- Dziewczyna nie chce żaby za męża.

- Jakie to będzie miało znaczenie za sto lat?

- Teraz ma znaczenie. Lily rozłożyła ręce.

- W takim razie czego ode mnie oczekujesz? Do ciebie należy wybór. Albo ja, albo ta kobieta na bagnach. Światło albo ciemność. Mgła i słońce. Mroczny chaos i szczęśliwe zakończenie.

- On jest żabą, a ty zabiłaś starego barona - powiedziała babcia.

- Postąpiłabyś tak samo - stwierdziła Lily.
 - Nie - zaprzeczyła babcia. - Pomyślałabym tak samo, ale bym tego nie zrobiła.
 - A jaka to różnica w głębi serca?
 - Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? - zdumiała się niania. Lily roześmiała się.
 - Spójrzcie na siebie, wszystkie trzy! Aż kipiecie od nieskutecznych dobrych intencji. Dziewica, matka i starucha.
 - Kogo nazywasz dziewczcą? - oburzyła się niania Ogg.
 - Kogo nazywasz matką? - spytała gniewnie Magrat. Babcia Weatherwax zmarszczyła brwi jak ktoś, kto odkrył, że pozostała już tylko jedna słomka, a wszyscy pozostali wyciągnęli długie.
 - Co ja mam z wami zrobić? - zastanowiła się Lily. - Naprawdę nie lubię zabijać ludzi, chyba że to konieczne. Ale przecież nie mogę pozwolić, żebyście kręciły się tutaj i zachowywały głupio...
- Przyjrzała się swoim paznokciom.
- Myślę, że umieszczę was gdzieś do czasu, aż wszystko dobiegnie końca. A potem... Zgadniecie, co zrobię potem? Będę oczekiwać waszej ucieczki. Ponieważ to przecież ja jestem dobrą wróżką.

Podążając za wyprężoną sylwetką Legby, Ella szła ostrożnie przez oświetlone księżycem bagno. Wyczuwała jakieś poruszenia w wodzie, ale nic się nie wynurzało - złe wieści, takie jak o Legbie, szybko się rozchodzą, nawet wśród aligatorów.

W oddali błysnęło czerwone światelko. Okazało się, że to chata pani Gogol, czy może łódź albo cokolwiek to było. Na bagnie różnica pomiędzy ziemią a wodą to właściwie kwestia wyboru.

- Hej! Jest tu kto?
- Wejdź, dziecko. Usiądź. Odpocznij.

Ella weszła niepewnie na kołyszącą się werandę. Pani Gogol siedziała w bujanym fotelu i trzymała na kolanach białą ubraną szmacianą lalkę.

- Magrat powiedziała...
- Wiem o wszystkim. Podejdź do Erzulie.
- Kim jesteś?

- Jestem twoją... przyjaciółką, dziecko.

Ella zbliżyła się tak, by w każdej chwili być gotową do ucieczki.

- Nie jesteś żadną odmianą matki chrzestnej, prawda?

- Nie. Nie, na bogów. Tylko przyjaciółką. Czy ktoś szedł za tobą?

- Nie... Chyba nie.

- To bez znaczenia, dziecko, nawet jeśli cię śledzili. Bez znaczenia. Ale może na chwilę powinniśmy przenieść się na rzekę. Otoczone wodą będziemy bezpieczniejsze.

Chata zadygotała.

- Lepiej usiądź. Łapy będą trzęsły, dopóki nie znajdziemy się na głębokiej wodzie.

Mimo to Ella zaryzykowała szybkie spojrzenie.

Chata pani Gogol poruszała się na czterech kaczyczych łapach, w tej chwili wygrzebujących się z błota. Chlapiąc poczłapały po płyciźnie i delikatnie zanurzyły się w rzece.

Greebo obudził się i przeciągnął.

I na dodatek nieodpowiednie ręce i nogi.

Pani Pleasant, która siedziała nieruchomo i przyglądała mu się, odstawiła szklankę.

- Czego pan teraz chce, panie kocie? Greebo podszedł do drzwi prowadzących na zewnętrzny świat i podrapał je.

- Chcęęę wyjść, paaani Pleaaaasunt - oświadczył.

- Wystarczy, że naciśniesz klamkę.

Greebo spojrzał na klamkę jak człowiek, który usiłuje zrozumieć działanie bardzo zaawansowanego technicznie urządzenia, po czym rzucił pani Pleasant błagalne spojrzenie.

Otworzyła mu, odsunęła się, kiedy wychodził, potem zamknęła drzwi, przekręciła klucz i oparła się o nie plecami.

- Duszek na pewno jest już bezpieczna u pani Gogol - stwierdziła Magrat.

- Ha! - rzekła babcia.
- Całkiem ją polubiłam - przyznała niania Ogg.
- Nie ufam nikomu, kto pije rum i pali fajkę - oświadczyła babcia.
- Niania Ogg pali fajkę i pije wszystko - zauważyła Magrat.
- Tak, ale to dlatego że jest obrzydliwym starym tobołem - odparła babcia, nie podnosząc głowy.

Niania Ogg wyjęła fajkę z zębów.

- To fakt - powiedziała przyjaznym tonem. - Człowiek jest nikim, jeżeli nie dba o swój wizerunek. Babcia odwróciła się od zamka.

- Nie mogę go ruszyć. - Westchnęła. - To też oktiron. Nie potrafię otworzyć czarem.

- To głupie, tak nas zamykać - uznała niania. - Ja bym kazała nas zabić.

- Bo jesteś zasadniczo dobra - wyjaśniła Magrat. - Dobrzy są niewinni i kreują sprawiedliwość. Żli są winni i właśnie dlatego wymyślają litość.

- Nie. Ja wiem, czemu ona to zrobiła - powiedziała babcia. - Żebyśmy wiedziały, że przegrałyśmy.

- Przecież mówiła, że uciekniemy - przypomniała Magrat. - Nie rozumiem. Musi wiedzieć, że ci dobrzy zawsze w końcu wygrywają.

- Tylko w opowieściach. - Babcia zaczęła badać zawiasy. - A ona myśli, że włada opowieściami. Zagina je wokół siebie. Uważa, że to ona jest dobra.

- Chociaż muszę przyznać - dodała Magrat - że też nie lubię bagien. Gdyby nie ta żaba i cała reszta, mogłabym zrozumieć Lily...

- A więc jesteś tylko głupią matką chrzestną - warknęła babcia. Wróciła do zamka. - Nie możesz tak sobie budować lepszego świata dla ludzi. Tylko ludzie mogą zbudować lepszy świat dla ludzi. W przeciwnym razie to klatka. Poza tym nie buduje się lepszego świata, ścinając głowy i oddając dziewczęta żabom.

- Ale postęp...

- Tylko mi nie mów o postępie. Postęp oznacza jedynie, że złe rzeczy przydarzają się szybciej. Czy któraś ma jeszcze jedną spinę? Ta jest do niczego.

Niania, która posiadała Greebową zdolność bycia jak w domu w dowolnym miejscu, w jakim się znalazła, usiadła w kącie celi.

- Słyszałam kiedyś taką historię - powiedziała. - Taki jeden siedział zamknięty przez lata, długie lata, i dowiedział się zadziwiających rzeczy o wszechświecie od innego więźnia, niesamowicie mądrego, a potem uciekł i się zemścił.

- A jakież to znasz niesamowicie mądre rzeczy o wszechświecie, Gytho Ogg?
- Lecieć to wszystko - wyjaśniła z satysfakcją niania.
- W takim razie lepiej, żebyśmy uciekły w tej chwili. Niania wyjęta z kapelusza strzępek tektury, znalazła tam ogryzek ołówka, polizała koniec i zastanowiła się. Po czym zaczęła pisać:

*Drogi Jasonie unt zo wajter (jak mawiają w obcych stronach),
zdziwisz się, ale twoja stara matka znowu siedzi w pudle. Mam swoje lata,
będziesz mi musiał przystać ciasto z pilnikiem w środku i zostawię matę strzałki na
murze, żartowałam. To jest Szkic lochu. Postawiłam X tam, gdzie jesteśmy, to
znaczy w Środku. Magrat na obrazku nosi elegancką suknię, bo zastępowała
Książeczkę. Też na rys. Esme, która ma dosyć, bo nie może uruchomić zamka, ale
myślę, że wszystko będzie dobrze, bo dobrzy w końcu wygrywają, a to przecież my.
A wszystko dlatego że jedna dziewczyna nie chce wyjść za Księcia, co Duka i jest
żabą i nie powiem, żebym się dziwiła, kto by chciał, żeby następcy mieli gieny,
mieszkali w słoju po dżemie, a potem wyskoczyli i ktoś ich rozdeptał...*

Przerwała jej całkiem wprawnie grana na mandolinie melodia. Słaby, ale bardzo stanowczy głos zaśpiewał:

- ...si consuenti d'amore, ventre dimo tontreduro-ooo...
- Jakże tęsknię, ukochana, za jadalnią pełną twoich ciepłych maceracji - przetłumaczyła niania, nie podnosząc głowy.
- ...delia delia t'ozentro, audri t'dren yontarieeeee...
- Sklep, sklep, mam cukierka, niebo jest różowe - mówiła niania. Babcia i Magrat spojrzały na siebie nawzajem.
- ...guarunto del tan, bella porę di lorientos...
- Raduj się, wyrabiaczu świec, masz wielki...
- Nie wierzę ci - rzekła babcia Weatherwax. - Wymyślasz to wszystko.
- Dosłowne tłumaczenie - zapewniła niania Ogg. - Mówię po zagranicznemu jak po naszymu. Wiecie przecież.

- Pani Ogg? Czy to ty, moja ukochana?

Wszystkie trzy odwróciły się do zakratowanego okna. Z zewnątrz zaglądała nieduża twarz.

- Casanunda? - zdziwiła się niania.
- To ja, pani Ogg.
- Moja ukochana... - mruknęła babcia.

- Jak się dostałeś do okna? - spytała niania, nie zwracając uwagi na przyjaciółkę.

- Zawsze wiem, gdzie można zdobyć drabinę, pani Ogg.

- Ale pewnie nie wiesz, gdzie można zdobyć klucz?

- To nic nie da. Przed drzwiami stoi zbyt wielu strażników. Zbyt wielu nawet dla tak sławnego szermierza jak ja. Jej wysokość wydała ścisłe rozkazy. Nikomu nie wolno was słuchać ani choćby na was popatrzeć.

- Jak to się stało, Casanundo, że służysz w gwardii pałacowej?

- Żołnierz fortuny przyjmuje taką pracę, jaka się zdarzy, pani Ogg - wyjaśnił szczerze Casanunda.

- Ale wszyscy inni mają po sześć stóp wzrostu, a ty jesteś... niższej natury.

- Skłamałem o swoim wzroście, pani Ogg. Jestem słynnym na cały świat kłamcą.

- To prawda?

- Nie.

- A co z najwspanialszym kochankiem na świecie? Przez chwilę panowała cisza.

- No, może jestem tylko numerem drugim - przyznał Casanunda. - Ale się staram.

- Czy mógłby pan poszukać nam pilnika albo czegoś w tym rodzaju, panie Casanunda? - zapytała Magrat.

- Zrobię, co będę mógł, panienko. Twarz zniknęła.

- Może ktoś by nas odwiedził, a my byśmy uciekły w ich ubraniach? - zaproponowała niania Ogg.

- A teraz wbiłam sobie szpilkę w palec - mruknęła babcia Weatherwax.

- Albo Magrat mogłaby uwieść któregoś ze strażników - mówiła dalej niania.

- Czemu nie ty? - odpowiedziała Magrat tak złośliwie, jak tylko potrafiła.

- W porządku. Wchodzę w to.

Znów zabrzmiał jakiś dźwięk od strony okna.

To był Legba.

Czarny kogut zajrzał przez kraty i odfrunął.

- Dreszcze mnie przechodzą, kiedy go widzę - przyznała niania. - Za każdym razem myślę tęsknie o szalwi, cebulce i ziemniakach.

Pomarszczona twarz niani pomarszczyła się jeszcze bardziej.

- Greebo! - zawołała. - Gdzie się podział?
- Przecież jest tylko kotem - zauważyła babcia. - Koty potrafią o siebie zadbać.
- To tylko wielki pieszczoł... - zaczęła niania. I wtedy ktoś zaczął rozbijać mur.

Pojawił się otwór. Do środka wsunęła się szara ręka i chwyciła kolejny kamień. Zapachniało rzeczonym mułem. Kamień rozkruszył się w uścisku palców.

- Szanowne panie? - zabrzmiał dźwięczny głos.
- Och, pan Saturday! - zawołała niania Ogg. - Póki życia... Nie chciałam pana urazić.

Saturday zaburczał coś i odszedł.

Ktoś zaczął walić w drzwi. Ktoś inny wcisnął klucz do zamka.

- Lepiej tu nie zostawać - uznała babcia. - Chodźcie.

Pomagając sobie nawzajem, przeszły przez otwór. Saturday był już po przeciwnej stronie bocznego dziedzińca i szedł w kierunku sali balowej. A za nim było jeszcze coś, sunęło jego śladem jak ogon komety.

- Co to jest?

- Dzieło pani Gogol - odparła posępnie babcia.

Za Saturdayem, coraz szerszy, w miarę jak wił się przez pałacowe grunty aż do bramy, podążał strumień głębszej ciemności. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że mającą w nim jakieś kształty, ale dokładniejsza obserwacja ujawniała, że to zaledwie sugestie kształtów, formujące się i zmienne. Na chwilę wśród wiru błysnęły oczy. Rozlegało się cykanie świerszczy i brzęczenie komarów. Płynął zapach mchu i smród rzeczego mułu.

- To bagno - domyśliła się Magrat.

- To idea bagna - poprawiła ją babcia. - Coś, co trzeba mieć najpierw, zanim ma się bagno.

- O rany... - mruknęła niania. I wzruszyła ramionami. - Ella się wydostała i my też, więc teraz następuje ten kawałek, gdzie uciekamy, tak? To właśnie powinniśmy zrobić.

Żadna z nich się nie poruszyła.

- Ludzie tutaj nie są szczególnie mili - rzekła Magrat. - Ale nie zasługują na aligatory.

- Hej, czarownice! - krzyknął ktoś. - Nie ruszajcie się!

Sześciu strażników zebrało się wokół otworu w murze.

- Życie w mieście z pewnością jest bardzo urozmaicone - uznała niania, wyciągając z kapelusza kolejną szpilkę.

- Mają kusze - ostrzegła Magrat. - Niewiele można poradzić przeciwko kuszom. Broń miotająca to Lekcja Siódma, a nie dotarłam jeszcze tak daleko.

- Nie zdołają nacisnąć spustów, jeśli będą wierzyli, że mają płetwy - rzekła groźnie babcia.

- Spokojnie - powiedziała niania. - Nie posuwajmy się za daleko. Wszyscy wiedzą, że dobrzy zawsze wygrywają, zwłaszcza wtedy, kiedy źli mają przewagę liczebną.

Strażnicy wyszli na dziedziniec.

A kiedy precisnęli się już przez otwór, za ich plecami z muru zeskoczyła bezgłośnie wysoka czarna postać.

- No i macie - ucieszyła się niania. - Nie mówiłam, że nie odejdzie daleko od swojej mamuni?

Jeden czy dwaj strażnicy zauważyli, że spogląda z dumą gdzieś poza nich, i odwrócili głowy.

O ile mogli to stwierdzić, znaleźli się twarzą w twarz z wysokim mężczyzną o szerokich ramionach, z grzywą czarnych włosów, opaską na oku i bardzo szerokim uśmiechem.

Stał nieruchomo, z rękami splecionymi swobodnie na piersi. Odczekał, aż wszyscy skupią na nim uwagę, po czym rozchylił wargi.

Kilku strażników cofnęło się o krok.

- O co chodzi? - odezwał się jeden z nich. - Mamy przecież broń...

Greebo podniósł rękę.

Pazury wysuwały się bezgłośnie, ale powinny wydawać jakiś dźwięk. I ten dźwięk powinien brzmieć „tzing!”.

Greebo uśmiechnął się szerzej. Przynajmniej to działało jak należy.

Jeden ze strażników okazał się dość rozsądny, by unieść kuszę, ale dostatecznie głupi, by zrobić to, mając za plecami nianię Ogg ze szpilką od kapelusza. Jej dłoń poruszyła się tak szybko, że każdy szukający mądrości, odziany w szafranową szatę młodzieniec rozpocząłby tutaj i teraz Drogę Pani Ogg. Strażnik wrzasnął i wypuścił broń.

- Wrrrauuu!

Greebo skoczył.

Koty są jak czarownice. Nie walczą, żeby zabić, ale żeby zwyciężyć. To istotna różnica. Nie warto zabijać przeciwnika. W ten sposób nie wie, że przegrał, a żeby być prawdziwym zwycięzcą, trzeba mieć przeciwnika, który został pokonany i zdaje sobie z tego sprawę. Nie ma poczucia tryumfu nad trupem; za to pokonany przeciwnik, który pozostanie pokonany każdego dnia reszty swego smętnego i nędznego życia, to prawdziwy skarb.

Koty, naturalnie, nie racjonalizują swych działań w taki sposób. Po prostu lubią odesłać kogoś kulejącego i pozbawionego ogona oraz kilku cali kwadratowych futra.

Technika Greeba była całkiem nienaukowa; nie miałby najmniejszej szansy przeciwko wprawnemu szermierzowi. Na jego korzyść przemawiał fakt, że trudno uprawiać szermierkę komuś, kto staje przeciwko mikserowi kuchennemu, który usiłuje odgryźć mu ucho.

Czarownice przyglądały się z zaciekawieniem.

- Chyba możemy go zostawić - uznała niania Ogg. - Wydaje się, że doskonale się bawi.

I pospieszyły do sali balowej.

Orkiestra grała właśnie jakąś skomplikowaną melodię, kiedy pierwszy skrzypek przypadkiem rzucił okiem w stronę drzwi i upuścił smyczek. Wiolonczelista chciał sprawdzić, co się stało, podążył wzrokiem za nieruchomym spojrzeniem kolegi i wstrząśnięty usiłował grać na swym instrumencie od tyłu.

W kakofonii pisków i zgrzytów orkiestra przestała grać. Tancerze poruszali się jeszcze chwilę siłą rozpędu, ale w końcu i oni przerwali, zebrani w bezładną grupę. Jeden po drugim kierowali spojrzenia ku schodom.

U wejścia stał Saturday.

W ciszy rozległo się bębnienie. Przy nim muzyka, jaka rozbrzmiewała tu przed chwilą, wydawała się tak nieistotna jak cykanie świerszczy. Teraz zagrała prawdziwa muzyka krwi; każda melodia, jaką kiedykolwiek napisano, jest tylko żalosną próbą naśladownictwa.

Melodia wlała się do sali, a wraz z nią upał i ciepły, roślinny odór bagna. W powietrzu pojawiła się sugestia aligatora - nie jego obecność, ale obietnica.

Bębnienie zabrzmiało głośniejsze. Pojawiły się złożone rytmy, bardziej wyczuwane niż słyszane.

Saturday strzepnął pyłek kurzu z ramienia swego starego płaszcza i wyciągnął rękę. W jego dłoni pojawił się cylinder.

Wyciągnął drugą rękę. Czarna laska ze srebrną główką zakreśliła się nagle w powietrzu i została tryumfalnie pochwyciona.

Włożył cylinder na głowę. Machnął laską.

Bębny przyspieszyły. Tylko że... to już nie były bębny; rytm wibrował w samej podłodze, a może w murach albo w powietrzu. Był szybki, gorący... Ludzie w sali odkryli, że ich stopy poruszają się z własnej woli, ponieważ bębnienie zdawało się docierać do palców przez tyłomózgowie, bez pośrednictwa uszu.

Stopy Saturdaya także się poruszały, wybijając własne staccato na marmurowej posadzce. Zatańczył po schodach w dół.

Zawirował. Skoczył. Poły płaszcza z szumem rozcięły powietrze. A potem wylądował przed schodami, a jego stopy uderzyły o podłogę z łoskotem zguby.

Dopiero wtedy nastąpiło poruszenie.

- To nie może być on! - wychrypiał Książę. - On jest martwy! Straże! Zabić go! Obejrzał się przerażony na gwardzystów przy schodach.

Kapitan zbladł nagle.

- Ja, tego, znowu? Znaczący, nie wydaje mi się... - zaczął.

- Natychmiast!

Kapitan nerwowo uniósł kuszę. Groźbę kreślił ósemki przed jego twarzą.

- Powiedziałem: natychmiast!

Brzęknęła cięciwa.

Saturday spojrzał na pióra sterczące mu z piersi, po czym wyszczerzył zęby i uniósł laskę.

Kapitan patrzył na niego ze zgrozą i pewnością rychłej śmierci. Upuścił kuszę, rzucił się do ucieczki i zdołał zrobić dwa kroki, nim runął na twarz.

- Nie - zabrzmiał głos za plecami Księcia. - Nie w taki sposób zabija się martwego.

Lily Weatherwax wystąpiła przed Duca; twarz miała bladą z wściekłości.

- Nie tutaj jest twoje miejsce - syknęła. - Nie jesteś częścią opowieści.

Podniosła rękę.

Widmowe obrazy z tyłu zogniskowały się nagle na niej, tak że rozjarzyła się jeszcze bardziej. Srebrzysty płomień przemknął po sali.

Baron Saturday wysunął laskę. Czar uderzył w nią i spłynął przez niego do ziemi, pozostawiając srebrne ścieżki, które migotały przez chwilę i zgasły.

- Nie, pani - powiedział. - Żaden sposób nie pozwoli zabić martwego człowieka.

Trzy czarownice przyglądały się temu od drzwi.

- Sama to poczułam - szepnęła niania Ogg. - Coś takiego powinno rozwalić go na kawałki.

- Co rozwalić na kawałki? - spytała babcia. - Bagno? Rzekę? Świat? On jest nimi wszystkimi. Nie ma co, sprytna jest ta pani Gogol.

- Co? - nie zrozumiała Magrat. - Jak to: nimi wszystkimi? Lily cofnęła się. Raz jeszcze uniosła rękę i wystrzeliła w barona drugą ognistą kulę, która trafiła w kapelusz i rozprysnęła się jak sztuczne ognie.

- Głupia, głupia! - mruknęła babcia. - Widziała, że to nie skutkuje, a jednak spróbowała po raz drugi.

- Myślałam, że nie stoisz po jej stronie - zdziwiła się Magrat.

- Bo nie stoję! Ale nie lubię patrzeć na głupców. Takie czary na nic się nie przydadzą, Magrat Garlick, przecież nawet ty potrafisz... Och nie, nie znowu!

Baron roześmiał się, gdy trzecia próba uziemiła się bez szkody. Po czym wzniosł laskę i dwóch dworzan runęło.

Lily Weatherwax cofała się ciągle, aż dotarła do stóp głównych schodów.

Baron kroczył naprzód.

- Czy chcesz, pani, spróbować czegoś innego? - zapytał.

Lily podniosła obie ręce.

Wszystkie trzy czarownice to poczuły - straszliwe ssanie, kiedy usiłowała skoncentrować całą moc w okolicy.

Na zewnątrz jedyny strażnik, który stał jeszcze na nogach, odkrył nagle, że nie walczy z mężczyzną, ale z rozwścieczonym kocurem. Niewielka to była pociecha. Przemiana oznaczała bowiem, że w tej chwili Greebo dysponuje dodatkową parą uzbrojonych w pazury łap.

Księżę wrzasnął.

Był to długi, cichnący wrzask, zakończony skrzeczeniem gdzieś z poziomu podłogi. Baron Saturday wykonał jeden ciężki krok i skrzeczenie umilkło.

Bębny ucichły nagle.

I wtedy zapadła prawdziwa cisza, zakłócana jedynie szelestem jedwabiu sukni uciekającej po schodach Lily.

Za plecami czarownic odezwał się inny głos.

- Dziękuję paniom. A teraz czy zechcecie panie się odsunąć?

Obejrzały się. Za nimi stała pani Gogol i trzymała za rękę Ellę. Na ramieniu miała wypchaną, barwnie haftowaną torbę.

Przyglądały się nieruchomo, jak prowadzi dziewczynę w dół, pomiędzy milczących gości.

- To też nie jest dobrze - mruknęła pod nosem babcia.

- Co? - zapytała Magrat. - Co takiego? Baron Saturday uderzył laską o podłogę.

- Znać mnie - oznajmił. - Wszyscy mnie znacie. Wiecie, że zostałem zamordowany. A teraz znów jestem tutaj. Zostałem zamordowany, a wy co zrobiliście?

- A co pani zrobiła, pani Gogol? - szepnęła babcia. - Nie, na to nie możemy pozwolić.

- Ciszej - syknęła niania. - Nie słyszę, co on mówi.

- Mówi, że może znowu nimi władać. Albo Ella.

- A rządzić będzie pani Gogol - stwierdziła babcia. - Zostanie jedną z tych, no, *eminences greases*.

- Nie jest taka zła - zauważyła niania.

- Na bagnie nie jest taka zła - odparła babcia. - Z kimś, kto równoważy jej wpływy, nie jest taka zła. Ale pani Gogol rozkazuje całemu miastu... to nie w porządku. Magia jest zbyt ważna, by ją wykorzystywać do rządzenia ludźmi. Poza tym Lily tylko zabijała ludzi; pani Gogol każe im jeszcze potem rąbać drzewo i harować w gospodarstwie. Moim zdaniem po pracowitym życiu człowiek ma prawo trochę odpocząć.

- Leżeć spokojnie i odczuwać przyjemność - podsumowała niania. Babcia spojrzała na swoją białą suknię.

- Wolałabym mieć na sobie stare ubranie - stwierdziła. - Czerń to właściwy kolor dla czarownicy.

Wyszła na schody i podniosła dłonie do ust.

- Hej! Pani Gogol!

Baron Saturday przerwał. Pani Gogol skinęła babci głową.

- Słucham, panno Weatherwax.

- Pani, nie panno! -warknęła babcia, ale natychmiast złagodniała. - Tak być nie powinno i wie pani o tym dobrze. To ona powinna rządzić, przyznaję. A pani korzystała z czarów, żeby jej pomóc, i to jest w porządku. Ale na tym koniec. Od niej zależy, co się stanie potem. Nie można magią uczynić rzeczy dobrymi; można tylko sprawić, by nie były złe.

Pani Gogol wyprostowała się na całą swą imponującą wysokość.

- Jakie pani ma prawo mi mówić, co mogę, a czego nie mogę robić?

- Jesteśmy jej matkami chrzestnymi - odparła babcia.

- No właśnie - poparła ją niania Ogg.

- I mamy różdżkę - dodała Magrat.

- Przecież nie znosi pani matek chrzestnych, pani Weatherwax - przypomniała pani Gogol.

- My jesteśmy tym innym rodzajem - wyjaśniła babcia. - Tym rodzajem, który daje ludziom to, o czym wiedzą, że naprawdę tego potrzebują, a nie to, czego naszym zdaniem powinni pragnąć.

W tłumie zafascynowanych gości kilka warg poruszyło się bezgłośnie, gdy ich właściciele usiłowali zrozumieć, o co chodzi w tym zdaniu.

- W takim razie wykonaliście już swoje zadanie - oświadczyła pani Gogol, która myślała szybciej niż większość obecnych. - Wykonaliście je dobrze.

- Nie słuchała pani - upomniała ją babcia. - Bycie matką chrzestną jest bardziej skomplikowane. Ona może być dobrą władczynią. Albo złą. Ale musi sama się o tym przekonać. I nikt nie powinien się wtrącać.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy, jak sądzę, będziemy musiały dalej pełnić funkcję matek chrzestnych.

- Wie pani, jak długo pracowałam, by zwyciężyć? - spytała z wyższością pani Gogol. - Wie pani, co straciłam?

- A teraz zwyciężyła pani i na tym koniec - odparła babcia.

- Czy to ma być wyzwanie, pani Weatherwax?

Babcia zawahała się na moment, po czym wyprostowała się dumnie. Jej ręce prawie niezauważalnie odsunęły się od bioder. Niania i Magrat odstąpiły o pół kroku.

- Jeśli tego pani sobie życzy...

- Moje voodoo przeciwko pani... głowologii?

- Jeśli pani sobie życzy.

- A jaka będzie stawka?

- Koniec czarów w sprawach rządów w Genoi - powiedziała babcia. - Żadnych więcej opowieści. Żadnych matek chrzestnych. Tylko ludzie, sami podejmujący decyzje o swoim życiu. Na dobre czy złe. Słuszne czy błędne.

- Zgoda.

- I zostawi mi pani Lily Weatherwax.

Wszyscy usłyszeli, jak pani Gogol gwałtownie nabiera tchu.

- Nigdy!

- Hm - mruknęła babcia Weatherwax. - Chyba się pani nie obawia przegranej?

- Nie chcę pani zranić, pani Weatherwax - zapewniła pani Gogol.

- To dobrze - zgodziła się babcia. - Ja też nie chcę, żeby mnie pani zraniła.

- Nie życzę sobie żadnych walk - odezwała się nagle Ella. Wszyscy spojrzeli na nią.

- Ona teraz tu rządzi, prawda? - spytała babcia. - Musimy jej słuchać.

- Będę się trzymać z dala od miasta - obiecała pani Gogol, nie zwracając uwagi na babcię. - Ale Lilith jest moja.

- Nie.

Pani Gogol sięgnęła do torby i wyjęła szmacianą lalkę.

- Widzi pani to?

Owszem, widzę - przyznała babcia.

- To miała być ona. Niech to nie będzie pani.

- Przykro mi, pani Gogol, ale jasno widzę swoje obowiązki.

- Jest pani mądrą kobietą, pani Weatherwax. Ale znalazła się pani daleko od domu.

Babcia wzruszyła ramionami. Pani Gogol podniosła lalkę - kukła miała szafirowoniebieskie oczy.

- Wie pani o czarach z lustrami? To jest mój rodzaj lustra, pani Weatherwax. Mogę sprawić, że to będzie pani. A potem mogę kazać jej cierpieć. Niech mnie pani do tego nie zmusza. Proszę.

Jak pani chce, pani Gogol. Ale to ja policzę się z Lily.

- Na twoim miejscu nie byłabym taka uparta, Esme - mruknęła niania Ogg. - Ona jest w tym naprawdę dobra.

- Uważam, że potrafi być bezlitosna - dodała Magrat.

- Żywię dla pani Gogol wyłącznie najgłębszy szacunek - zapewniła babcia Weatherwax. - Wspaniała kobieta. Ale za dużo gada. Na jej miejscu już wbiłabym w tę zabawkę kilka solidnych gwoździ.

- To na pewno - zgodziła się niania. - Całe szczęście, że jesteś dobra, nie ma co.

- Dobrze - rzekła babcia, znowu pełnym głosem. - Idę teraz poszukać mojej siostry, pani Gogol. To sprawa rodzinna. Spokojnie ruszyła w stronę schodów. Magrat chwyciła różdżkę.

- Jeśli robi babci coś złego, to przez resztę życia będzie pomarańczowa, okrągła i z pestkami w środku - zagroziła.

- Esme by się nie podobało, gdybyś zrobiła coś takiego - stwierdziła niania. - Nie przejmuj się. Ona nie wierzy w te bajki o igłach i lalkach.

- Ona w nic nie wierzy. Ale to nie ma żadnego znaczenia! -przekonywała Magrat. - Bo pani Gogol wierzy! To jej moc. Według niej to właśnie się liczy.

- Nie sądzisz, że Esme wie o tym? Babcia Weatherwax dotarła do schodów.

- Pani Weatherwax! Babcia obejrzała się.

Pani Gogol trzymała w ręku długą drzazgę. Rozpaczliwie kręcąc głową, wbiła ją w stopę lalki.

Wszyscy widzieli, że Esme Weatherwax skrzywiła się z bólu. Kolejna drzazga trafiła w szmaciane ramię.

Babcia powoli uniosła drugą rękę i drgnęła, kiedy dotknęła rękawa. Potem, utykając lekko, podjęła wspinaczkę po schodach.

- Następnym razem mogę trafić w serce, pani Weatherwax! -zawołała pani Gogol.

- Jestem pewna, że pani może. Jest pani w tym dobra. Wie pani, że jest w tym dobra - odparła babcia, nie oglądając się nawet.

Pani Gogol wbiła drzazgę w nogę. Babcia potknęła się i przytrzymała balustrady. Tuż obok niej płonęła jedna z wielkich pochodni.

- Następnym razem! - powiedziała pani Gogol. - Jasne? Następnym razem. Bez wahania.

Babcia odwróciła się.

Spojrzała na setki zwróconych ku sobie twarzy.

Kiedy przemówiła, głos miała tak cichy, że musieli wytyżać słuch, by ją zrozumieć.

- Wiem, że się pani nie zawaha, pani Gogol. Pani naprawdę wierzy. Proszę mi tylko przypomnieć: gramy o Lily, tak? I o miasto?

- Czy to teraz ważne? Nie zrezygnuje pani? Babcia Weatherwax wsunęła mały palec do ucha i pokręciła nim w zadumie.

- Nie - stwierdziła. - Raczej nie. Nie to zamierzam. Czy patrzy pani, pani Gogol? Czy przygląda się pani uważnie?

Przesunęła wzrokiem po sali i na ułamek sekundy zatrzymała spojrzenie na Magrat. A potem wyciągnęła rękę i aż po łokieć wsunęła ją w płomień pochodni.

Lalka Erzulie Gogol stanęła w ogniu.

Palila się, choć czarownica z wrzaskiem rzuciła ją na podłogę. Palila się, dopóki niania Ogg, gwiżdżąc przez zęby, nie podbiegła z dzbankiem soku owocowego ze stołu i nie zalała płomieni.

Babcia cofnęła rękę. Nie było ani śladu oparzenia.

- To właśnie jest głowologia - oświadczyła. - Jedyne, co się naprawdę liczy. Cała reszta to tylko zwykłe sztuczki. Mam nadzieję, że nie zrobiłam pani krzywdy, pani Gogol.

Ruszyła dalej po schodach.

Pani Gogol wpatrywała się w wilgotne popioły. Niania Ogg przyjacielsko poklepała ją po ramieniu.

- Jak ona to zrobiła? - spytała pani Gogol.

- Wcale. Pozwoliła pani to zrobić - wyjaśniła niania. - Przy Esme Weatherwax trzeba na siebie uważać. Chciałabym widzieć któregoś z tych łobuzów od zen, jak pewnego dnia staje przeciwko niej.

- I ona jest tą dobrą? - zdumiał się baron Saturday.

- Tak - potwierdziła niania. - Zabawne, jak to wszystko się czasem układa.

Spojrzała na pusty dzbanek w ręku.

- Przydałoby się - oznajmiła tonem osoby, która wyciąga wnioski na podstawie długich rozważań - parę bananów, rum i jeszcze kilka dodatków...

Kiedy stanowczym krokiem ruszyła w kierunku daikry, Magrat chwyciła ją za sukienkę.

- Nie teraz! - zawołała. - Musimy iść za babcią! Może nas potrzebować!

- Nie wydaje mi się - odparła niania. - Nie chciałabym być w skórze Lily, kiedy Esme ją dopadnie.

- Ale nigdy jeszcze nie widziałam jej tak wzburzonej - przekonywała Magrat. -
Wszystka może się zdarzyć.

- I bardzo dobrze, jeśli się zdarzy.

Niania skinęła znacząco na lokaja, który - jako dysponujący szybką orientacją
- stanął na baczność.

- Ale ona może zrobić coś... okropnego.

- To dobrze. Zawsze o tym marzyła. - Niania zwróciła się do lokaja. - Jeszcze
raz banana daikry, mahatma koła, rach-ciach.

- Nie. To nie byłoby dobrze - upierała się Magrat.

- Niech ci będzie - ustąpiła niania. Wręczyła pusty dzbanek baronowi
Saturdayowi, który przyjął go jak w hipnotycznym transie. - Idziemy przypilnować
spraw - oświadczyła. - Przepraszam za to. Pijcie dalej... jeśli komuś jeszcze coś
zostało.

Kiedy czarownice odeszły, pani Gogol schyliła się po resztki lalki. Jeden czy
dwóch gości odkaslnęło.

- To wszystko? - spytał baron Saturday. - Po dwunastu latach?

- Księżę nie żyje - zauważyła pani Gogol.

- Ale obiecałaś mi, że będę mógł zemścić się na niej.

- Sądzę, że zemsta nastąpi. - Pani Gogol rzuciła lalkę na podłogę. - Lilith
walczyła ze mną od dwunastu lat i nigdy nie udało jej się do mnie dotrzeć. A ta nawet
się nie zmęczyła. Dlatego myślę, że będzie zemsta.

- Nie musisz się przecież trzymać danego słowa!

- Muszę. Czegoś muszę się trzymać. - Pani Gogol objęła ramieniem Ellę. - To
jest to, dziewczyno - powiedziała. - Twój pałac. Twoje miasto. Nie ma tu nikogo, kto
by zaprzeczył.

Popatrzyła groźnie na gości. Jedna czy dwie osoby cofnęły się lękliwie.

Ella spojrzała na Saturdaya.

- Wydaje mi się, że powinnam cię znać - oświadczyła. Zwróciła się do pani
Gogol. - I panią także. Widziałam was oboje... kiedyś. Dawno temu?

Baron Saturday otworzył usta, by odpowiedzieć. Pani Gogol uniosła rękę.

- Obiecaliśmy - przypomniwała. - Żadnego wtrącania się.

- Nawet my?

- Nawet my. - Spojrzała na Ellę. - Jesteśmy po prostu ludźmi.

- To znaczy... - Ella zająknęła się. - Przez lata harowałam w kuchni, a teraz...
teraz mam rządzić miastem? Tak po prostu?

- Tak to bywa.

Ella zamyśliła się głęboko.

- I cokolwiek powiem, ludzie muszą mnie słuchać? - zapytała niewinnie.

W tłumie gości rozległy się nerwowe chrząknięcia.

- Tak - przyznała pani Gogol.

Przez chwilę Ella stała ze spuszczoną głową, mimowolnie obgryzając paznokieć kciuka. Wreszcie wyprostowała się.

- W takim razie pierwsze, co ma nastąpić, to koniec tego balu. Natychmiast! Mam zamiar iść na karnawał. Zawsze chciałam tańczyć w karnawale. - Rozejrzała się po zatroskanych twarzach. - Ale dla innych pójście nie jest obowiązkowe - dodała.

Arystokracja Genoi miała wiele doświadczenia. Wiedzieli, co to znaczy, gdy władca mówi, że coś nie jest obowiązkowe.

W ciągu kilku minut sala opustoszała. Pozostały tylko trzy osoby.

- Ale... Ale... Chciałem zemsty - tłumaczył baron. - Chciałem śmierci. Chciałem naszej córki u władzy.

DWA Z TRZECH TO CAŁKIEM NIEZŁY WYNIK.

Pani Gogol i baron odwrócili się. Śmierć odstawił drinka i podszedł bliżej.

Baron Saturday wyprostował się.

- Jestem gotów pójść z tobą - rzeki. Śmierć wzruszył ramionami. Gotów czy nie, zdawał się sugerować ten gest, naprawdę nie ma znaczenia.

- Ale powstrzymałem cię - dodał baron. - Na dwanaście lat. - Objął Erzulie za ramiona. - Kiedy mnie zabili i wrzucili ciało do rzeki, wykradliśmy ci życie!

PRZESTAŁEŚ ŻYĆ. ALE NIE UMARŁEŚ. WTEDY NIE PRZYSZEDŁEM PO CIEBIE.

- Nie?

SPOTKANIE Z TOBĄ MIAŁEM ZAPLANOWANE NA DZISIAJ.

Baron wręczył pani Gogol swoją laskę. Zdjął czarny cylinder. Ściągnął płaszcz.

Moc iskrzyła w fałdach materiału.

- Koniec z baronem Saturdayem - powiedział.

MOŻLIWE. ŁADNY KAPELUSZ.

Baron zwrócił się do Erzulie.

- Chyba muszę już iść.

- Tak.

- Co teraz zrobisz?

Kobieta voodoo spojrzała na trzymany w rękach kapelusz.

- Wrócę na bagno - odparła.

- Możesz zostać tutaj. Nie ufam tej zagranicznej czarownicy.

- Ja ufam. I dlatego wrócę na bagno. Ponieważ niektóre opowieści muszą się kończyć. Kimkolwiek stanie się Ella, musi sama się o to zatroszczyć.

Tylko krótki spacer dzielił ich od brunatnych, mętnych wód rzeki. Baron zatrzymał się na brzegu.

- Czy będzie żyła długo i szczęśliwie?

NIE PRZEZ WIECZNOŚĆ. ALE BYĆ MOŻE DOSTATECZNIE DŁUGO.

I tak kończą się opowieści.

Zła czarownica jest pokonana, księżniczka w łachmanach odzyskuje pozycję, królestwo rozkwita. Wracają szczęśliwe dni. Długie i szczęśliwe. Na zawsze - co by znaczyło, że życie w tym miejscu zamiera.

Opowieści chcą się kończyć. Nie dbają o to, co będzie potem.

Niania sapała głośno, biegnąc korytarzem. - Nigdy nie widziałam Esme w takim stanie - powiedziała. - Ma zabawny nastrój. Może stanowić zagrożenie dla samej siebie.

- Stanowi zagrożenie dla wszystkich - poprawiła ją Magrat. - Ona...

Wężowe kobiety wyszły na korytarz przed nimi.

- Pomyślmy przez chwilę - mruknęła pod nosem niania. - Co właściwie mogą nam zrobić?

- Nie znoszę węży - oświadczyła cichym głosem Magrat.

- Oczywiście, mają ostre zęby. - Niania mówiła tak, jakby prowadziła seminarium. - Właściwie raczej kły. Chodźmy stąd. Sprawdźmy, czy nie ma innej drogi.

- Nienawidzę ich.

Niania pociągnęła Magrat, jednak młodsza czarownica nawet nie drgnęła.

- No chodź!

- Naprawdę ich nienawidzę.

- Z daleka będziesz ich mogła nienawidzić nawet bardziej. Siostry były już prawie przy nich. Nie szły, ale sunęły. Być może, Lily nie była w tej chwili dostatecznie skupiona, ponieważ bardziej niż kiedykolwiek przypominały węże. Niania miała wrażenie, że dostrzega pod skórą rysunek łusek. Linie podbródków były całkiem nieludzkie.

- Magrat!

Jedna z sióstr wyciągnęła rękę. Magrat zadrżała.

Wężowa siostra otworzyła usta.

Wtedy Magrat podniosła głowę i niemal sennie uderzyła ją tak mocno, że siostra poleciała na kilka stóp do tyłu.

Nie był to cios należący do żadnej Drogi czy Ścieżki. Nikt nigdy nie narysował jego diagramu ani nie ćwiczył przed lustrem z opaską zawiązaną na głowie. Pochodził wprost z leksykonu dziedzicznych, przerażonych odruchów przetrwania.

- Użyj różdżki! - krzyknęła niania i rzuciła się na pomoc. - Nie ninuj ich! Użyj różdżki! Do tego służy!

Drugi wąż odwrócił się instynktownie, by obserwować ruch. Co jest dowodem na to, że nie zawsze instynkty służą przetrwaniu, gdyż Magrat walnęła go w tył głowy. Różdżką.

Osunął się na podłogę, tracąc przy tym resztki ludzkich kształtów.

Kłopot z czarownicami polega na tym, że nigdy nie uciekają przed tym, czego naprawdę nienawidzą.

A kłopot z małymi futerkowymi zwierzątkami w kacie polega na tym, że raz na jakiś czas jedno z nich okazuje się mangustą.

Babcia Weatherwax zawsze się zastanawiała, co niby jest takiego szczególnego w pełni księżyca. Przecież to tylko duży krąg światła, A nów księżyca to tylko ciemność. Za to w połowie drogi między nimi, kiedy księżyc znajdował się pomiędzy światami ciemności i światła, kiedy nawet on żył na krawędzi... Może wtedy czarownica mogłaby uwierzyć w księżyc.

Właśnie teraz jego sierp płynął ponad bagnami.

Lustrzane gniazdo Lily odbijało zimne światło, tak samo jak wszystko inne. Oparte o mur stały trzy miotły.

Babcia wzięła swoją. Nosila niewłaściwe barwy i nie miała kapelusza; potrzebowała czegoś, co było takie, jak należy. Nic się nie poruszyło.

- Lily! - zawołała cicho babcia. Z luster wyrzało jej własne odbicie,

- Wszystko może się teraz skończyć. Możesz wziąć moją miotłę, a ja wezmę Magrat. Ona zawsze może się przysiąść do Gythy. Pani Gogol nie będzie cię ścigać. Załatwiłam to. A w domu przyda nam się dodatkowa czarownica. I koniec z chrzestnym matkowaniem. Koniec z zabijaniem ludzi po to, żeby ich córki były gotowe do objęcia roli w opowieści. Wiem, że tylko z tego powodu to zrobiłaś. Wracaj do domu. To propozycja nie do odrzucenia.

Jedno z luster odsunęło się bezgłośnie.

- Próbujesz być dla mnie łaskawa? - spytała Lily.

- Nie myśl, że przychodzi mi to łatwo - odparła babcia już normalniejszym głosem.

Zaszeleściła w ciemności suknia i Lily stanęła przed babcią.

- A zatem pokonałaś tę kobietę z bagien? - zapytała.

- Nie.

- Ale przyszedł tutaj zamiast niej.

- Tak.

Lily wyjęła babci z rąk miotłę.

- Nigdy czegoś takiego nie używałam - wyznała. - Po prostu siada się na tym i leci?

- Przy tej akurat konieczne jest szybkie bieganie, zanim zaskoczy, ale ogólnie rzecz biorąc tak, masz rację.

- Hm... Znasz symbolikę miotły?

- Ma jakiś związek z gaikami, piosenkami ludowymi i temu podobnymi? - zapytała babcia.

- O tak.

- W takim razie nie chcę o niej słyszeć.

- Nie - zgodziła się Lily. - Nie wyobrażam sobie, żebyś chciała. - Oddała miotłę. - Zostaję tutaj. Pani Gogol może i wymyśliła nową sztuczkę, ale to jeszcze nie znaczy, że wygrała.

- Nie. Bo widzisz, wszystko dobiegło końca - odparła babcia. - Tak się dzieje, kiedy zmieniasz świat w opowieści. Nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś zmieniać świata w opowieści. Nie powinnaś traktować ludzi, jakby byli postaciami, byli rzeczami. Ale jeśli to robisz, musisz wiedzieć, kiedy opowieść się kończy.

- Musisz włożyć czerwone od żaru pantofelki i przetańczyć całą noc? - spytała Lily.

- Owszem, coś w tym rodzaju.

- A wszyscy inni będą żyli długo i szczęśliwie?

- Nic o tym nie wiem - zapewniła babcia. - To już zależy od nich. Chcę tylko powiedzieć, że nie wolno ci zaczynać od początku. Przegrałaś.

- Wiesz przecież, że Weatherwaxówny nigdy nie przegrywają.

- Jedna z nich nauczy się tej nocy.

- Przecież my istniejemy poza opowieściami - próbowała tłumaczyć Lily. - Ja, ponieważ... jestem medium, poprzez które się dzieją, a ty, ponieważ z nimi walczysz. Istniejemy pośrodku. Jesteśmy wolne...

Z tyłu rozległ się jakiś dźwięk. Znad krętych schodów wynurzyły się twarze Magrat i niani Ogg.

- Potrzebna ci pomoc, Esme? - zapytała czujnie niania. Lily parsknęła śmiechem.

- To twoje węże, Esme! A wiesz - dodała - tak naprawdę jesteś taka sama jak ja. Nie wiedziałaś o tym? Ani jedna myśl nie przemknęła mi przez głowę, której ty także nie pomyślałaś. Nie dokonałam żadnego czynu, którego ty byś nie rozważała. Ale zawsze brakowało ci odwagi. Na tym polega różnica między takimi ludźmi jak ja a takimi jak ty. My mamy odwagę, by zrobić to, o czym wy tylko marzycie.

- Tak? - oburzyła się babcia. - Tak uważasz? Sądzisz, że tylko marzę?

Lily poruszyła palcem. Magrat, szarpiąc się, wyfrunęła z klatki schodowej. Gorączkowo wymachiwała różdżką.

- To mi się podoba - stwierdziła Lily. - Ludzie, którzy czegoś sobie życzą. Ja nigdy w życiu niczego sobie nie życzylam. Zawsze sprawiałam, by rzeczy się zdarzały. To daje więcej satysfakcji.

Magrat zacisnęła zęby.

- Na pewno nie wyglądałabym dobrze jako dynia - powiedziała Lily. I od niechcenia machnęła ręką. Magrat wzleciała wyżej.

- Byłabyś zdziwiona tym, co potrafię - mówiła wolno Lily, gdy najmłodsza czarownica sunęła gładko ponad kamieniami. - Powinnaś spróbować luster, Esme. Czynią cuda dla duszy. Pozwoliłam przeżyć tej kobiecie z bagna tylko dlatego, że jej nienawiść dodawała mi wigoru. Wiesz, że lubię być znienawidzona. Wiesz o tym, na pewno. To rodzaj szacunku. Dowodzi posiadania wpływu. Jest jak zimna kąpiel w upalny dzień. Kiedy głupi ludzie są bezsilni, a ich wysiłki daremne, kiedy zostają pobici i nie mają już nic prócz ziejącej jamy kwasu, jaką są ich żołądki... cóż, muszę przyznać, że ich nienawiść jest jak modlitwa. A opowieści... Mknąć na opowieściach... wypożyczać od nich moc... czuć ich wsparcie... znajdować cię w ich ukrytym sercu... Czy możesz to zrozumieć? Tę czystą rozkosz obserwowania, jak powtarza się wzorzec? Zawsze lubiłam wzorce. A przy okazji, jeśli ta Ogg nadal będzie próbowała przekraść mi się za plecy, naprawdę pozwolę twojej młodej przyjaciółce przepłynąć nad dziedziniec, a potem, Esme, potem mogę przestać się nią interesować.

- Spacerowałam tylko - oświadczyła niania Ogg. - To chyba nie jest zabronione?

- Zmieniłaś opowieść na swój sposób, a teraz ja zamierzam zmienić ją na swój - mówiła dalej Lily. - A potem znowu. Ty musisz tylko odejść. Po prostu odejść. Przecież nie ma znaczenia, co się tu dzieje. To dalekie miasto, o którym prawie nic nie wiesz. Nie jestem całkiem pewna, czy zdołam cię przechytrzyć. Ale te dwie... Brakuje im tego, co najważniejsze. Mogłabym przerobić je na dżem. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. A zatem dziś wieczorem proponuję, by Weatherwaxówna nauczyła się przegrywać.

Babcia milczała przez chwilę, wsparta o beużyteczną miotłę.

- Zgoda - powiedziała wreszcie. - Postaw ją na ziemi. A wtedy powiem, że wygrałaś.

- Chciałabym w to uwierzyć. Ale zaraz... Przecież ty jesteś tą dobrą, tak? Musisz dotrzymywać słowa.

- Popatrz na mnie - rzekła babcia. Podeszła do parapetu i spojrzała w dół. Dwubarwny księżyc świecił dostatecznie jasno, by ukazać kłęby mgły, otaczającej pałac niczym morze. - Magrat... Gytho... Przepraszam was. Lily, wygrałaś. Nic nie mogę poradzić.

Skoczyła.

Niania Ogg rzuciła się do przodu i wyrzała za krawędź. Zdążyła jeszcze zobaczyć znikającą w mgle niewyraźną figurkę.

Wszystkie trzy pozostałe na wieży odetchnęły głośno.

- To sztuczka - stwierdziła Lily. - Żeby odwrócić moją uwagę.

- Wcale nie! - wrzasnęła Magrat, opadając na kamienie.

- Przecież miała miotłę.

- Ta miotła nie działa! Nie można jej uruchomić! - krzyknęła niania. - No dobrze - powiedziała groźnym tonem. - Zaraz zetrę ci z buźki ten zadowolony uśmieszek...

Znieruchomiała, kiedy srebrzysty ból przeszył jej ciało.

Lily zaśmiała się.

- A więc to prawda? - spytała. - Tak, widzę to w waszych twarzach. Esme miała dość rozumu i pojęła, że nie może wygrać. Nie bądźcie głupie. I proszę przestać machać na mnie tą głupią różdżką, panno Garlick. Stara Dezyderata już dawno by mnie pokonała, gdyby tylko mogła. Ludzie niczego nie rozumieją.

- Powinnyśmy iść na dół - powiedziała Magrat. - Ona może gdzieś leży...

- No właśnie. Bądźcie dobre. To wam dobrze wychodzi - rzuciła Lily, kiedy biegły w kierunku schodów.

- Ale wrócimy - zagroziła niania Ogg. - Choćbyśmy miały zamieszkać na bagnie z panią Gogol i żywić się łebkami węży.

- Oczywiście. - Lily uniosła brew. - O tym przecież mówiłam. Takie osoby są zawsze potrzebne. W przeciwnym razie człowiek nie byłby pewny, że coś robi. Takie osoby to metoda prowadzenia rachunków.

Przyglądała się, jak znikają na schodach.

Wiatr dmuchnął nad wieżą. Lily uniosła brzeg sukni i podeszła na krawędź, skąd mogła widzieć strzępy mgły płynące ponad dachami w dole. Z daleka dobiegała muzyka - to karnawałowy korowód wił się po ulicach.

Wkrótce nadejdzie północ. Prawdziwa północ, a nie ta fałszowana wersja wywołana przez jakąś staruchę łązącą po zegarze.

Lily spróbowała dojrzeć coś w mroku u stóp wieży.

- Doprawdy, Esme - szepnęła - za mocno wzięłaś sobie do serca tę przegraną.

Niania dogoniła Magrat zbiegającą po spiralnych schodach. - Zwolnij trochę - powiedziała.

- Ale ona może być ranna...

- Ty też, jeśli się potkniesz. Zresztą nie sędzę, żeby Esme leżała gdzieś jako bezwładny ochłap. Nie w taki sposób odejdzie. Moim zdaniem zrobiła to dlatego, żeby Lily o nas zapomniała i nie próbowała niczego nam zrobić. Pewnie uznała, że jesteśmy... Jak się nazywał ten chłopak z Tsortu, którego można było zranić tylko wtedy, kiedy się go trafiło w odpowiednie miejsce? Nikt nie mógł go pokonać, dopóki tego nie wykryli. To chyba było kolano. Jesteśmy jej tsorteańskim kolaniem. Rozumiesz?

- Przecież wiemy, że trzeba biec naprawdę prędko, by uruchomić jej miotłę! - zawołała Magrat.

- Tak, wiemy - przyznała niania. - Też tak myślałam. A teraz się zastanawiam... Jak szybko się poruszasz, kiedy spadasz? Znaczy się prosto w dół?

- Ja... ja nie wiem.

- Moim zdaniem Esme uznała, że warto się przekonać. Tak uważam.

Jakaś postać wynurzyła się zza zakrętu. Wspinała się w górę. Odsunęły się uprzejmie, by ją przepuścić.

- Nie mogę sobie przypomnieć, w jaką część trzeba było go trafić - westchnęła niania. - Będzie mnie to dręczyło przez całą noc.

W PIĘTĘ.

- Naprawdę? Dziękuję.

ZAWSZE DO USŁUG.

Postać ruszyła dalej.

- Dobrą miał maskę, prawda? - odezwała się po chwili Magrat.

Ona i niania szukały potwierdzenia w wyrazach swoich twarzy.

Magrat pobladła. Spojrzała za dziwną postacią.

- Powinnyśmy chyba biec z powrotem na górę i... - zaczęła. Niania Ogg była o wiele starsza.

- Myślę, że powinnyśmy iść na dół - oświadczyła.

Lady Volentia d'Arrangement usiadła w różanym ogrodzie pod wieżą i wysiadała nos.

Czekała pół godziny i miała już dosyć.

Żywiła nadzieję na romantyczne tete-a-tete; on wydawał się miłym człowiekiem, tak jakby równocześnie gwałtownym i nieśmiałym. Zamiast tego niewiele brakowało, a dostałaby w głowę, kiedy jakaś stara kobieta na miotle, ubrana w coś, co - choć rozmazane z powodu prędkości - wyglądało jak własna suknia lady Volentii, z krzykiem wynurzyła się z mgły. Butami wyryła dwie bruzdy w różach, a potem trajektoria lotu wyniosła ją z powrotem w górę.

W dodatku jakiś brudny, cuchnący kocur ocierał się o jej nogi.

A zapowiadał się taki piękny wieczór...

- Witam, wasza wysokość.

Rozejrzała się wśród krzewów.

- Nazywam się Casanunda - zabrzmiał pełen nadziei głos.

Lily Weatherwax obejrzała się, słysząc brzęk szkła spomiędzy luster. Zmarszczyła czoło. Przebiegła po kamieniach i otworzyła drzwi prowadzące do jej lustrzanego świata. Nie rozbrzmiewał żaden odgłos prócz szelestu jej sukni i szumu jej własnego oddechu. Wsunęła się w przestrzeń między lustrami.

Miriady odbić spojrzały na nią z aprobatą. Lily uspokoiła się trochę.

Zaczepiła o coś nogą. Na kamieniach, czarna w świetle księżyca, wśród odłamków szkła leżała miotła.

Przerażone spojrzenie Lily skierowało się ku odbiciu. A ono także na nią spojrzało.

- Co to za przyjemność wygrywać, jeśli przegrana nie żyje i nie wie, że przegrała?

Lily cofnęła się. Bezgłośnie otwierała i zamykała usta.

Babcia Weatherwax przestąpiła przez pustą ramę. Lily spojrzała na podłogę, poza swą żadną zemstę siostrę.

- Rozbiłaś moje lustro!

- I wszystko to tylko dlatego? - spytała babcia. - Żeby grać małą królową w jakimś wilgotnym mieście? To ma być moc?

- Nie rozumiesz... Rozbiłaś moje lustro...

- Podobno nie należy tego robić. Ale pomyślałam sobie: czym jest kolejne siedem lat nieszczęścia?

...Obraz za obrazem rozpada się na kawałki wzdłuż całego wielkiego łuku lustrzanego świata; pęknięcie mknie szybciej niż światło...

- Musisz zbić oba, żeby być bezpieczna. Zakłóciłaś równowagę-

- Naprawdę zakłóciłam? - Babcia zrobiła krok do przodu; jej oczy były jak dwa szafiry pełne gorzkości. - Mam zamiar spuścić ci łanie, jakiego nigdy nie dostałaś od mamy, Lily Weatherwax. Nie za pomocą magii ani głowologii, ani kijem, jak to robił tato, i pamiętam, że zużył ich sporo. Złoję ci skórę golą ręką. Nie dlatego że byłaś tą złą. Nie dlatego że mieszałaś się do opowieści. Każdy ma swoją ścieżkę, którą musi podążać. Ale dlatego, a chcę, byś to dobrze zrozumiała, że kiedy odeszłaś, ja musiałam być dobra. Ty miałaś całą zabawę. W żaden sposób nie sprawię, że mi za to zapłacisz, Lily, ale na pewno będę się starać...

- Przecież to... to... to ja jestem dobra - szepnęła pobladła nagle Lily. - Ja jestem dobra. Nie mogę przegrać. Jestem matką chrzestną, a ty jesteś złą czarownicą. I rozbiłaś lustro...

...pędząc jak kometa, pęknięcie w zwierciadle dociera do najdalszego punktu i zawraca po łuku, sunąc przez niezliczone światy...

Musisz mi pomóc... Trzeba zrównoważyć obrazy - mamrotała słabym głosem Lily, cofając się do ocalałego zwierciadła.

- Dobra? Dobra? Karmiąc ludźmi opowieści? Niszcząc im życie? To ma być dobro, tak? - mówiła babcia. - Chcesz powiedzieć, że nie miałaś nawet zabawy? Gdybym ja była taka zła jak ty, byłabym o wiele gorsza. Robiłabym to lepiej, niż możesz sobie wyobrazić.

Zamachnęła się.

...pęknięcie wróciło do swego punktu początkowego, niosąc z sobą ulotne odbicia wszystkich luster...

Szeroko otworzyła oczy.

Szkoło pękło i rozpadło się za plecami Lily Weatherwax.

A w lustrze obraz Lily Weatherwax odwrócił się, uśmiechnął rozkosznie i wyciągnął ręce z ramy, by wziąć Lily Weatherwax w ramiona.

- Lily!

Wszystkie zwierciadła rozsypały się, eksplodowały w tysiącach odłamków spadających ze szczytu wieży - przez chwilę spowijał ją obłok srebrzystego pyłu wróżek.

Niania Ogg i Magrat wpadły na dach niczym para aniołów zemsty po okresie zaniedbań w niebiańskiej kontroli jakości. Zatrzymały się.

Tam, gdzie stał labirynt luster, pozostały tylko puste ramy. Kamienie pokryły odłamki szkła, a na nich leżała postać w białej sukni.

Niania pchnęła Magrat za siebie i podeszła ostrożnie, chrzęszcząc przy każdym kroku. Trąciła leżącą postać czubkiem buta.

- Zrzućmy ją z wieży - zaproponowała Magrat.

- Dobrze - zgodziła się niania. - Zrób to.

Magrat zawahała się.

- Właściwie - powiedziała - kiedy mówiłam, żeby ją zrzucić, nie chodziło mi o to, żebym konkretnie ją zrzuciła. Ale gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, ona powinna być zrzucona...

- W takim razie na twoim miejscu darowałabym sobie dalsze uwagi. - Niania uklękła ostrożnie na szklanych odłamkach. - Poza tym miałam rację. To Esme. Wszędzie poznałabym tę twarz. Zdejmuj halkę.

- Po co?

- Popatrz na jej ręce, dziewczyno!

Magrat popatrzyła. I podniosła dłoń do ust.

- Co ona robiła?

- Sądząc z wyglądu, próbowała sięgnąć rękami przez szkło. A teraz ściągnij tę halkę. Pomóż mi porwać ją na pasy, a później poszukaj pani Gogol i zapytaj, czy nie ma jakichś maści i czy może nam pomóc. I powiedz jeszcze, że jeśli nie, to lepiej, żeby do rana była już daleko stąd. - Niania zbadała puls babci. - Może Lily Weatherwax potrafiłaby przerobić nas na dżem, ale jestem wściekle pewna, że gdyby przyszło co do czego, mogłabym podbić oko pani Gogol.

Niania zdjęła swój patentowany niezniszczalny kapelusz i poszukała chwilę w czubku. Wyjęła aksamitne zawiniątko. Wewnątrz był komplet igieł i szpulka nici.

Polizała nitkę i mrużąc oczy podniosła igłę do księżyca.

- Och, Esme, Esme - mrużała, biorąc się do szycia. - Za mocno wzięłaś sobie do serca tę wygraną.

Lily Weatherwax rozejrzała się po wielowarstwowym, srebrzystym świecie. - Gdzie ja jestem? WEWNĄTRZ LUSTRA.

- Czy umarłam?

ODPOWIEDŹ NA TO PYTANIE, odparł Śmierć, LEŻY GDZIEŚ POMIĘDZY NIE I TAK.

Lily odwróciła się, a miliard postaci odwrócił się wraz z nią.

- Kiedy będę mogła wyjść?

KIEDY ZNAJDZIESZ TĘ, KTÓRA JEST PRAWDZIWA.

Lily Weatherwax pobiegła przez nieskończone odbicia.

Dobra kucharka zawsze jako pierwsza zjawia się rankiem w kuchni i jako ostatnia wychodzi wieczorem. Pani Pleasant wygasila paleniska. Zrobiła szybki remanent sztućców i przeliczyła wazy. Potem...

Potem zdała sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje. W drzwiach stał kot - wielki i szary. Jedno oko miał złośliwe i zielonożółte, drugie mlecznobiałe. To, co pozostało z jego uszu, przypominało krawędź znaczka pocztowego. Mimo to miał w sobie pewną arogancję, pewien styl mogę-cię-pobić-jedną-lapą. Wydawał się dziwnie znajomy.

Pani Pleasant przyglądała mu się przez chwilę. Była osobistą przyjaciółką pani Gogol i wiedziała, że kształt jest tylko kwestią głęboko zakorzenionych przyzwyczajęń. A jeśli ktoś mieszka w Genoi około Samedi Nuit Mort, uczy się ufać raczej własnemu rozsądkowi niż zmysłom.

- No tak - rzekła z ledwie śladem drżenia w głosie. - Pewnie znowu masz ochotę na rybnie udka, znaczy rybnie łby. Co ty na to? Greebo przeciągnął się i wyprężył grzbiet.

- W spiżarni mam też trochę mleka - dodała pani Pleasant.

Greebo ziewnął z zadowoleniem.

A potem podrapał się tylną łapą w ucho. Człowieczeństwo to miłe miejsce, które można na krótko odwiedzić, ale nie chciałby żyć tam na stałe.

Minął dzień.

- Maść pani Gogol chyba rzeczywiście pomaga - stwierdziła Magrat.

Sięgnęła po słoik, do połowy wypełniony czymś jasnozielonym i dziwnie szorstkim, co miało delikatny zapach, który - można było niemal uwierzyć - przenikał cały świat.

- Są w tym lwie paszcze - poinformowała niania.

- Nie przestraszysz mnie. Wiem, że lwie paszcze to takie kwiaty. Silnie pachnące. Zdziwiające, co można zrobić z kwiatami.

Niania Ogg, która spędziła pouczające, choć przerażające pół godziny obserwując, jak pani Gogol przygotowuje lekarstwo, nie miała serca tłumaczyć tego Magrat.

- Rzeczywiście - przyznała. - Kwiaty. Nie dasz się nabrać, jak widzę.

Magrat ziewnęła.

Mogły swobodnie poruszać się po całym pałacu. Dostały pokój, a w sąsiednim ułożono babcię.

- Idź się prześpij - poradziła niania. - Za chwilę pójde tam i zastąpię panią Gogol.

- Ale nianiu... Gytho...

- Słucham?

- Całe te... wszystko, co mówiła po drodze. To było takie... zimne. Prawda? Nie życzyć sobie niczego, nie używać czarów do pomagania ludziom, i że nie da się zrobić tej sztuki z ogniem... A potem sama to wszystko zrobiła. Jak mam to rozumieć?

- No tak... - westchnęła niania. - Wszystko to wynika z zasad ogólnych i szczegółowych. Jasne?

- Nie bardzo. - Magrat położyła się do łóżka.

- To znaczy, że kiedy Esme używa takich słów jak „każdy” i „nikt”, nie dotyczy to jej samej.

- A wiesz... kiedy się nad tym zastanowić... to okropne.

- To jest czarownictwo. Od strony ostrego końca. A teraz spróbuj się zdrzemnąć.

Magrat była zbyt zmęczona, żeby protestować. Po chwili pochrapywała już delikatnie.

Niania przez chwilę siedziała, paliła fajkę i wpatrywała się w ścianę.

Potem wstała i otworzyła drzwi. Pani Gogol spojrzała na nią ze swego miejsca przy łóżku.

- Niech pani też spróbuje się przespać - zaproponowała niania. - Posiedzę przy niej.

- Coś tu jest nie w porządku - oświadczyła pani Gogol. - Ręce już się zagoiły. Ona po prostu nie chce się obudzić.

- U Esme wszystko tkwi w głowie - stwierdziła niania.

- Mogłabym stworzyć kilku nowych bogów i skłonić wszystkich, żeby w nich mocno uwierzyli. Co pani na to? Niania pokręciła głową.

- Esme chyba by tego nie chciała. Nie lubi bogów. Uważa, że tylko zajmują miejsce.

- To może ugotowałabym gumbo? Ludzie przybywają z daleka, żeby go pokosztować.

- Warto spróbować - zgodziła się niania. - Zawsze powtarzam, że każda pomoc się przyda. Czemu nie? Proszę zostawić rum.

Kiedy kobieta voodoo odeszła, niania jeszcze przez chwilę paliła fajkę i w zadumie popijała rum. Przyglądała się nieruchomej postaci w łóżku.

Potem nachyliła się do ucha babci Weatherwax.

- Chyba nie masz zamiaru przegrać, co? - szepnęła.

Babcia Weatherwax rozejrzała się po wielowarstwowym, srebrzystym świecie.

- Gdzie ja jestem? WEWNĄTRZ LUSTRA.

- Czy umarłam?

ODPOWIEDŹ NA TO PYTANIE, odparł Śmierć, LEŻY GDZIEŚ POMIĘDZY NIE I TAK.

Esme odwróciła się, a miliard postaci odwrócił się wraz z nią.

- Kiedy będę mogła wyjść?

KIEDY ZNAJDZIESZ TĘ, KTÓRA JEST PRAWDZIWA.

- Jest w tym jakiś haczyk?

NIE.

Babcia spojrzała na siebie.

- To ta - powiedziała.

Wszystkie opowieści pragną szczęśliwych zakończeń. I wcale nie dbają o to, dla kogo będą szczęśliwe.

Drogi Jasonie i wszyscy,

to tyle z Genoi, ale dowiedziałam się o zombiowym szamaństwie, pani Gogol i dała mi jeszcze przepis i powiedziała, jak się robi bananananowe daikry i podarowała takie coś, co się nazywa banjo, zdziwisz się. Ogólnie jest przyzwoite duszą moim zdaniem, ale lepiej ją mieć na oku. Wychodzi na to, żeśmy sprowadziły Esme z powrotem chociaż sama nie wiem bo dziwnie się zachowuje i jakaś spokojna taka jest, nie jak normalnie. Dlatego ją też mam na oku, jakby ta Lily wycięła jakiś szybki numer w lustrze. Ale myślę że się jej poprawia bo poprosiła Magrat zęby popatrzeć na różdżkę, a potem tak jakby kręciła i suwała tymi pierścieniami i w końcu zmieniła nocnik w bukiet kwiatów, a Magrat powiedziała, że w życiu by nie zmusiła różdżki do czegoś takiego, i Esme na to że nie ponieważ, marnowała czas na życzenia zamiast popracować nad ich spełnianiem. Moim zdaniem dobrze że Esme nie dostała tej różdżki jak była młoda. Lily w porównaniu z nią byłaby jak jaki piknik. Dołączam obrazy smetacza i widzicie ludzi pochowanych w skrzyniach nad ziemią, bo ziemia jest tu strasznie wilgotna, a nikt by nie chciał umrzeć i utonąć jednocześnie. Mówią, że podróże poszerzają horyzonty, to ja bym mogła już wyciągnąć swoje uszami i zawiązać pod brodą. Wszystkiego najlepszego MAMA.

Na bagnie pani Gogol, szamanka voodoo, zawiesiła frak na prymitywnym stojaku, wcisnęła cylinder na czubek drąga i kawałkiem pnącza przywiązała laskę do końca jednego z ramion.

Odstąpiła.

Zatrzepotały skrzydła. Legba runął z nieba i przysiadł na kapeluszu. A potem zapał. Zwykle piał tylko wieczorami, gdyż był wcieleniem mocy. Ale przynajmniej tej jeden raz miał chęć powitać nadejście dnia.

Mawiano potem, że co roku na Samedi Nuite Mort, kiedy karnawałowa zabawa sięga szczytów, bębny grają najgłośniej, a rum niemal się kończy, mężczyzna we fraku i cylindrze, o energii demona, pojawia się znikąd i prowadzi korowód.

W końcu nawet opowieści muszą się gdzieś zaczynać.

Plusnęło i woda zamknęła się znowu.

Magrat odeszła.

Różdżka opadła w muł, gdzie dotykały jej tylko nogi przechodzących raków, które nie mają matek chrzestnych ani prawa do spełniania życzeń. Przez kolejne miesiące zapadała się coraz głębiej i wreszcie wypadła -jak większość rzeczy - z nurtu historii. Niczego lepszego nie można by sobie życzyć.

Trzy miotły wzniosły się nad Genoą. Przed świtem budynki spowijała mgła.

Czarownice spojrzały z góry na zielone mokradła wokół miasta. Genoa spała. Dni po Tłustej Porze Obiadowej zawsze były spokojne, gdyż ludzie odsypiali karnawał. Obecnie dołączył do nich Greebo, zwinięty w kłębek na swoim legowisku wśród witek. Opuszczenie pani Pleasant okazało się ciężkim przeżyciem.

- I już po naszym la douche vita - oświadczyła filozoficznie niania Ogg.

- Nie pożegnałyśmy się z panią Gogol - przypomniała sobie Magrat.

- Na pewno i tak wiedziała, że odlatujemy. Dużo wie ta pani Gogol.

- Ale czy możemy wierzyć, że dotrzyma słowa?

- Tak - stwierdziła krótko babcia Weatherwax.

- Bardzo jest uczciwa, na swój sposób - dodała niania Ogg.

- Owszem, to też - zgodziła się babcia. - A poza tym uprzedziłam ją, że mogę wrócić.

Magrat zerknęła na miotłę babci. Wśród bagażu przywiązanego do witek tkwiło duże, okrągłe pudło.

- Nie przymierzyłaś nawet tego kapelusza, który ci podarowała - zauważyła.

- Obejrzałam go sobie. Nie pasuje.

- Moim zdaniem pani Gogol nikomu nie podarowałaby takiego kapelusza, co to nie pasuje - uznała niania. - Popatrzmy, co?

Babcia parsknęła niechętnie i odwiązała pokrywkę pudła. Wyjęła kapelusz. Kule bibuły opadły w dół i zniknęły we mgle.

Magrat i niania Ogg spojrzały.

Oczywiście, nieobca im była koncepcja owoców na kapeluszu. Niania Ogg sama miała słomkowy kapelusz z woskowymi czereśniami, wkładany na specjalne okazje rodzinnych starć. Ale na tym umieszczono nie tylko czereśnie. Chyba jedynym owocem, którego tu brakowało, był arbuz.

- Jest bardzo... zagraniczny - uznała Magrat.

- No, dalej - zachęciła niania. - Załóż go. Babcia posłuchała nieco zakłopotana, zwiększając swój wzrost o jakieś dwie stopy, z których większą część stanowił ananas.

- Niezwykłe barwny. Bardzo... stylowy - oceniła niania. - Nie każdy mógłby chodzić w takim kapeluszu.

- Bardzo ci do twarzy z tymi granatami - stwierdziła Magrat.

- I cytrynami - dodała niania.

- Co? Nie żartujecie sobie ze mnie, mam nadzieję? - spytała podejrzliwie babcia.

- Może sama zobaczysz? - zaproponowała Magrat. - Mam tu gdzieś lusterko...

Cisza spadła jak topór. Magrat splonęła czerwienią. Niania rzuciła jej groźne spojrzenie.

Obie czujnie obserwowały babcię.

- Ta-ak - zgodziła się wreszcie babcia po bardzo długiej chwili. - Chyba rzeczywiście powinnam się przejrzeć.

Magrat odetchnęła cicho, poszukała w kieszeniach i wyjęła małe ręczne lusterko w drewnianej ramce. Podała je babci.

Babcia Weatherwax przyjrzała się swemu odbiciu. Niania Ogg dyskretnie podleciała miotłą nieco bliżej.

- Hmm... - mruknęła po chwili babcia.

- Zwróć uwagę, jak pięknie zwisają ci nad uchem winogrona - zauważyła niania. - Ten kapelusz dodaje autorytetu, nie ma co.

- Hm.

- Nie sądzisz? - dodała Magrat.

- Cóż... - przyznała niechętnie babcia. - Może i jest dobry w obcych stronach. Gdzie nie zobaczysz mnie nikt znajomy. W każdym razie nikt ważny.

- A kiedy wrócimy do domu, zawsze możesz go zjeść - zaproponowała niania.

Odprężyli się. Zapanowało uczucie zdobycia szczytu, pokonania niebezpiecznego wąwozu.

Magrat spojrzała w dół, na brunatną rzekę i podejrzane kłody na piaszczystych brzegach.

- Chciałabym wiedzieć - rzekła - czy pani Gogol tak naprawdę była dobra czy zła. Wiecie, martwi ludzie, aligatory i w ogóle...

Babcia patrzyła na wschodzące słońce przebijające promieniami mgłę.

- Dobro i zło to trudna sprawa - wyjaśniła. - Nigdy nie jestem pewna, gdzie kto stoi. Może najważniejsze jest, w którą stronę patrzy. A wiecie - dodała nagle - chyba naprawdę widać stąd krawędź.

- Zabawna historia - odezwała się niania. - Podobno w obcych stronach można spotkać słonie. Wiecie, zawsze chciałam zobaczyć słonia. A w Klatchu czy gdzieś tam jest takie miejsce, gdzie ludzie wspinają się na liny i znikają.

- Po co? - zdziwiła się Magrat.

- Nie mam pojęcia. Pewnie mają jakiś dziwny zagraniczny powód.

- W jednej z książek Dezyderata pisze, że z tymi słoniami to niezwykła historia. Podobno na równinach Sto, kiedy ludzie mówią, że chcą zobaczyć słonia, to znaczy, że wyruszają w podróż, bo mają już dosyć siedzenia w jednym miejscu.

- Nie w siedzeniu na miejscu problem - oświadczyła niania. - Chodzi o to, żeby nie wędrować za bardzo myślami.

- Chciałabym polecieć do Osi - westchnęła Magrat. - Zobaczyć starożytne świątynie, które są opisane w pierwszym rozdziale Drogi Skorpiona.

- A one nauczą cię pewnie czegoś, czego dotąd nie wiedziałaś, tak? - rzuciła niania Ogg z niezwykłą u siebie surowością.

Magrat zerknęła na babcię.

- Chyba nie - przyznała potulnie.

- I co? - spytała niania. - Co teraz, Esme? Wracamy do domu? Czy lecimy zobaczyć słonia?

Miotła babci skręciła łagodnie na wietrze.

- Jesteś paskudnym starym tobołem, Gytho Ogg - stwierdziła babcia.

- To ja, w samej rzeczy - zgodziła się pogodnie niania.

- A ty, Magrat Garlick...

- Wiem - przerwała jej Magrat z niebotyczną ulgą. - Jestem zmokłą kurą.

Babcia spojrzała w stronę Osi i wysokich gór. Gdzieś tam stał stary domek i klucz wisiał w wygodce. Działo się pewnie wiele rzeczy. Całe królestwo pogrążało się w ruinie i nędzy, skoro jej tam nie było, by pokierować ludzi na właściwą drogę. To jej obowiązek. Trudno sobie wyobrazić, do jakich głupstw posuną się ludzie, kiedy nie ma jej w pobliżu...

Niania stuknęła obcasami swoich czerwonych butów.

- Myślę sobie, że jednak nie ma to jak w domu - stwierdziła.

- Nie - odparła babcia Weatherwax, wciąż pogrążona w zadumie. - W tysiącach miejsc jest całkiem tak samo jak w domu. Ale tylko w jednym z nich się mieszka.

- Czyli wracamy? - upewniła się Magrat.

- Tak.

Ale wróciły okrężną drogą i zobaczyły słonia.